

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania
PARYŻ Nr 10/541 1992



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

- A. POSPIESZALSKI: **UWAGI O TOLERANCJI**
OBSERWATORIUM: **DEKOMUNIZACJA:**
POZORY I RZECZYWISTOŚĆ
- B. OSADCZUK:
UKRAIŃSKIE DEKOMPOZYCJE
- R. GORCZYŃSKA: **P O**
- J. MONDRY: **POLSKA A JAPONIA**

SPIS RZECZY

Antoni Pospieszalski:	<i>Uwagi o tolerancji</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	13
Renata Gorkczyńska:	<i>Po</i>	26
WIERSZE		
Stanisław Brejdygant:	<i>Zapewnem wydał sygnał; Głgota</i>	41
Stanisław Dłuski:	<i>Wsluchany</i>	43
Jacek Kaczmarski:	<i>Luter</i>	43
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Moskwy i Brukseli</i>	45
Janusz Mondry:	<i>Polska a Japonia</i>	62
Zygmunt Nagórski:	<i>Ameryka i Polska: współzycie czy małżeństwo</i>	66
OBSERWATORIUM		
Redakcja:	<i>Dekomunizacja: pozory i rzeczywistość</i>	71
Redakcja:	<i>Sen i jawa</i>	75
KRAJ		
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	77
Stanisław Polaczek:	<i>Jak nie reformować gospodarki</i>	88
SPRAWY I TROSKI		
—	<i>Jeszcze o sprawie p. Mroczyka</i>	92
SĄSIEDZI		
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraińskie dekompozycje</i>	94
Bohdan Osadczyk:	<i>„Sytuacja jest bardzo poważna”</i>	101
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	105
Andrzej Stach:	<i>Kronika niemiecka</i>	111
Andrzej Vincenz:	<i>Dwie konferencje naukowe w Kamieńcu Podolskim</i>	114
KRONIKA KULTURALNA		
Teresa Nawrot:	<i>Po latach wśród sępów</i>	117
E. Petraitis O'Neil:	<i>Kazimierskie „Shalom”</i>	123
Edward Możejko:	<i>O literaturze emigracyjnej i nadmiarze krytyki</i>	126
—	<i>Komunikat Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim</i>	129
CI, CO ODESZLI		
Kamila Chylińska:	<i>Edda Werfel</i>	130
Redakcja:	<i>Jerzy Lerski</i>	132
KSIĄŻKI		
Tadeusz Chrzanowski:	<i>Gdańskie tytuły</i>	133
T. Halikowska-Smith:	<i>Znad Niemna do Kornwalii</i>	135
Benedykt Heydenkorn:	<i>Biogramy Polonii Kanadyjskiej</i>	138
Piotr Skórzyński:	<i>Arka podziurawiona?</i>	140
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	143

ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 160

Wersja
W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1992

INSTYTUT  **LITERACKI**

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) — pamięci Zygmunta Hertza w 13-tą rocznicę jego śmierci — dol. 100,00	F.	500,00
oraz zamiast kwiatów na grób zmarłego nagle Jerzego J. Lerskiego — dol. 100,00	F.	500,00
Dla uczczenia pamięci mojej najdroższej Żony, Ireny W. Buczek de Stachura, zmarłej 17 lipca 1992 r. w Buenos Aires — J. Stachura z synem oraz siostra Regina Buczek de Staneczek z rodziną — dol. 50,00	F.	250,00
Anna Freymanowa, Vancouver, BC (Kanada) — dla uczczenia 22-iej bolesnej rocznicy śmierci męża Jana Freymana — dol. can. 100,00	F.	400,00
Jerzy Grot-Kwaśniewski, Melbourne (Australia)	F.	500,00
Jan i Kamila Halpernowie, Kolonia (Niemcy) — dla uczczenia pamięci Przyjaciela, Stefana Strelcyña, w 11-tą rocznicę Jego śmierci — DM 100,00	F.	340,00
Stanisław Serdakowski, Madryt — dol. 100,00	F.	500,00
W 10-tą rocznicę śmierci Jerzego Jana Piórkowskiego, zmarłego 1 października 1982 r. — żona i córka — dol. 30,00	F.	150,00
Anonimowo z Paryża, po raz 27-y	F.	220,00

DZIĘKUJEMY!

Uwagi o tolerancji*

1.

Myślę, że się bardzo nie pomylę, jeśli powiem, że w odczuciu większości ludzi tolerancja jest cnotą społeczną, która w rozwoju cywilizacyjnym ludzkości pojawiła się dosyć późno, że jest zdobyczą moralną społeczeństw wysoce zaawansowanych i cnotą przy tym raczej świecką. Wywodzi ją zwykle z wieku Oświecenia. Gdy mowa o tolerancji, prędzej czy później w rozmowie pojawi się słynne powiedzenie przypisywane Wolterowi: „Nie zgadzam się z twoim poglądem, ale jestem gotów walczyć do upadłego o twoje prawo do głoszenia tego poglądu”. Nie wiem, czy wiek Oświecenia był aż tak bardzo tolerancyjny, zwłaszcza wobec religii, ale można się zgodzić, że tolerancja została uznana za cnotę w reakcji przeciw sekciarskim sporom i wojnom religijnym poprzedniego stulecia. Prawda, że w czasach Woltera i encyklopedystów pamięć wojny trzydziestoletniej, ostatniej wielkiej wojny religijnej, która skończyła się w roku 1648, musiała już być mocno przyćmiona, ale etos społeczny kształtuje się powoli, podobnie jak etos religijny, który jest jego częścią. Kształtuje się jednak zawsze w jakimś powiązaniu z religią — pozytywnym albo, jak w tym przypadku (jeśli nasza teza jest słuszną), negatywnym. Bo na religię można patrzeć jako na tylko jeden z elementów składowych kultury, ale religia jest także twórcą kultury — albo kultur. Jeśli tak, jeśli pojęcie tolerancji zrodziło się czy zrobiło karierę w reakcji przeciw religii i jeśli wobec tego odczuwamy tolerancję jako cnotę *par excellence* świecką, to jest to jeden z wielkich paradoksów historii. Bo z

* Uzupełniona wersja wykładu wygłoszonego na PUNO (Polski Uniwersytet na Obczyźnie) w Londynie w semestrze 1990/91 w ramach cyklu zorganizowanego przez Alicję Iwańską pod hasłem „Redefinicje”.

drugiej strony, jeśli teza Arnolda Toynbee'go i Christopfera Dawsona o kulturowo-twórczym działaniu religii jest słuszna, to także pojęcie tolerancji jako cnoty świeckiej musiało mieć swoje korzenie w religii, ściślej w chrześcijaństwie, które od z górą tysiąca lat było religią Europy i zaczynem europejskiej cywilizacji. I taka jest moja teza: genezy pojęcia tolerancji jako cnoty społecznej należy szukać w chrześcijaństwie.

Nie są to nawet bardzo trudne poszukiwania. Czy Jezus nie mówił, że przyszedł nie do sprawiedliwych, którzy nie potrzebują lekarza, ale do grzeszników? Można tu jak z rękawa sypać cytatami z Ewangelii. O tym, jak to Jezus rozmawiał przy studni z Samarytanką, ku wielkiemu zdumieniu niewiasty, która wiedziała, że Jezus jest Żydem, a Żydzi przecież uważali mieszkańców Samarii za godnych pogardy odszczepieńców — i to z jaką niewiastą: taką, która miała już pięciu mężów, a teraz żyje z człowiekiem, który nie jest jej mężem (Jan rdz. 4). Albo o Syro-Fenicjance, która się uparła, że Jezus musi przyjść i uzdrowić jej córkę (Mk. 7, 24-31). O rzymskim centurionie, który przyszedł do Jezusa z podobną prośbą, Jezus powiedział: „Nie znalazłem takiej wiary w Izraelu” (Łk. 7, 10). Właśnie w kontekście sporów religijnych znamienny jest taki cytat (rzadko cytowany) z Ewangelii św. Marka: „Jan powiedział: 'Panie, widzieliśmy człowieka, który nie jest jednym z nas, a wyrzucał diabły w Twoim imieniu. Ponieważ nie jest jednym z nas, zakazaliśmy mu'. Ale Jezus odrzekł: 'Nie zakazujcie; ktokolwiek czyni cud w moim imieniu, nie będzie źle o mnie mówił. Kto nie jest przeciw nam, jest z nami'” (Mk. 9, 38-40).

A więc założyciel chrześcijaństwa był bardzo tolerancyjny. Bo tolerancja w najogólniejszym znaczeniu jest znoszeniem, tolerowaniem drugiego człowieka ze wszystkim, co się nam w nim nie podoba, czego zatem nie pochwalamy. Chrześcijaństwo jest przeciw religią miłości bliźniego. Prawda, nakaz miłowania Boga i bliźniego istniał już w Starym Testamencie, ale bliżnim w religii starożytnego Izraela był nade wszystko, jeśli nie wyłącznie, drugi Izraelczyk, członek własnego narodu. Jezus natomiast rozszerza ten nakaz na wszystkich ludzi i w Kazaniu na Górze każe miłować nawet nieprzyjaciół. To już jest bezgraniczna tolerancja.

A jednak tolerancja ma swoje granice, nawet w Ewangelii, w nauczaniu Jezusa. Bo oczywiście nie jest obojętne, czy ktoś mówi prawdę czy nieprawdę, czy czyni dobrze czy źle. Tolerancja nie jest równoznaczna z obojętnością. Nawet legendarne powiedzenie Woltera, które zacytowałem na początku, ma dwa wyraźnie przeciwstawne człony. Odwróćmy te człony. „Jestem gotów walczyć do upadłego o twoje prawo do głoszenia swojego poglądu” — to jest człon tolerancyjny. „Ale nie zgadzam się z twoim poglądem” — ten człon implikuje jakieś granice tolerancji. Możemy

się domyślić dalszego ciągu: „Nie będę wobec twojego fałszywego poglądu obojętny; pozwalam ci ten fałszywy pogląd głosić, ale go będę (także do upadłego) zwalczał”. Tolerancja nie jest także równoznaczna z zasadą nieprzeciwstawiania się złu.

2.

Ale na razie chciałbym ten problem tolerancji na chwilę zawiesić. Zanim do niego przejdziemy, musimy się uporać z innym problemem. Jak to się stało — jeśli założyciel chrześcijaństwa był tak tolerancyjny — że historyczne chrześcijaństwo tak straszliwie przeciw zasadzie tolerancji grzeszyło, tak że nowożytne pojęcie tolerancji zrobiło karierę przeciw ekscesom tego chrześcijaństwa i że nawet dziś jeszcze odczuwamy tolerancję jako cnotę anty-religijną, w każdym razie jako cnotę świecką. Ze tych grzechów przeciw tolerancji było mnóstwo, nie potrzeba chyba dowodzić: ponure anatemy, wyklinalanie się wzajemne (jak między Rzymem a Konstantynopolem w XI wieku, którego skutki odczuwamy po dziś dzień), wyprawy krzyżowe (w tym wewnętrzno-europejska krucjata przeciw albigensom), torturowanie heretyków i palenie na stosie, wojny religijne XVI i XVII wieku — nawet tak niedawna jeszcze, bo z początku bieżącego stulecia, zaciekle kampania Piusa X przeciw tak zwanemu modernizmowi. Wszystko to, robione jakoby w imię prawdziwego chrześcijaństwa, było oczywiście absolutnie anty-chrześcijańskie, bo sprzeczne z nauką i praktyką ewangelicznego Chrystusa. Apologeci zwykle, uznając że to były ekscesy, tłumaczą je tym, że to były inne czasy, bardziej prymitywne i okrutne. Takie były wówczas zwyczaje i ludzie Kościoła po prostu im ulegali; nie byli w tym gorsi od innych, świeckich władców. Oczywiście jest w tym spora doza prawdy. Można nawet powiedzieć, że to *jest* prawda. Ale to zupełnie tych ludzi Kościoła nie tłumaczy — właśnie dlatego, że to byli ludzie Kościoła, który głosił Ewangelię Chrystusa. Ich zadaniem było przeciwstawiać się złym obyczajom i realizować Ewangelię miłości, w tym także zasadę tolerancji. Przez swój brak tolerancji tej Ewangelii miłości nie realizowali, choć ją nadal głosili. Odnotujemy ten rozdźwięk między słowem a czynem jako fakt, nie wchodząc na razie w naturę tego rozdźwięku i jego moralną ocenę. Dotykamy tu mimochodem problemu granic tolerancji, do którego jeszcze wrócimy; widocznie w Kościele zakreślano te granice zbyt wysoko, jeśli nie wprost fałszywie. Tu chciałbym tylko zwrócić uwagę, że fałszywa praktyka niekoniecznie oznacza sfałszowanie ewangelicznej nauki. Faktem jest również, że instytucjonalny Kościół mimo swych straszliwych grzechów przeniósł

nauki Ewangelii aż do naszych czasów w zasadniczo nieskażonej formie. Mało tego. Nauki te zapadły niejako w świadomość cywilizowanego świata, wydając niespodziewane owoce, jak właśnie nowożytna zasada światłej tolerancji i światopoglądowego pluralizmu. I tak na przykład w *Panu Tadeuszu* Podkomorzy, krytykując świeże jeszcze nowinki rewolucji francuskiej, tak mówi:

*Jacyś Francuzi wymowni
Zrobili wynalazek, że ludzie są równi,
Choć o tym dawno w Pańskim pisano Zakonie
I każdy ksiądz to samo gada na ambonie.
Nauka stara była, szło o jej pełnienie.*

Także nauka o tolerancji stara była i szło tylko o jej pełnienie. Nawiasem mówiąc, tolerancja i równość ludzi przed Bogiem czy przed prawem to nie jedyne wartości, które w Ewangelii mają swoje źródło, lecz jakoś zatraciły swoją ewangeliczną etykietę. Należą do nich również prawa człowieka, jak je sformułowała Deklaracja Praw Człowieka ONZ, zasady demokracji i zasada państwa opiekuńczego, Międzynarodowy Czerwononóżny Krzyż i *Amnesty International*, cała nasza współczesna troska o głodnych, cierpiących i prześladowanych w innych krajach, wszystkie nasze *Oxfamy*, *Christian Aid* czy *Médecins sans Frontières*.

Kościelni władcy i urzędnicy, którzy zasadę tolerancji gwałcili, też musieli jakąś formę tolerancji uznawać (bo tolerancja jest formą miłości bliźniego, którą przecież zawodowo głosili), lecz najwidoczniej zakreślali jej nadzwyczaj ciasne granice. Bo były czasy, że nie tylko nie pozwalali pewnych poglądów publicznie głosić, ale nie pozwalali ich nawet w myśli żywić. Tropienie ukrytych heretyckich poglądów było funkcją Inkwizycji. Dziś, w kontekście kościelnym, wydaje się nam to prawie nie do pojęcia, ale mieliśmy i w naszych czasach tego rodzaju inkwizytorskie zapędy — w komunizmie. Ideologiczny komunizm w czasie swej leninowsko-stalinowskiej prężności zmierzał wprost do rządu dusz. Niepodzielny rząd dusz jest ostatecznie szczytową ambicją wszelkiego totalitaryzmu.

Moralnym uzasadnieniem poczynań inkwizytorów i cenzorów jest oczywiście troska o prawdę i dobro społeczne, przynajmniej o interes społeczny, który zresztą często jest utożsamiany z interesem rządzących. Ale niezależnie od aktualnej motywacji, u podstaw inkwizycji czy cenzury leży moralne czy pseudo-moralne przekonanie, że błąd nie ma prawa bytu. Tak samo odchylenie polityczne, działalność dysydencka i wszelka krytyka. Wszystko to zatem należy tępić. W parze z tym idzie przekonanie, że rządzący są w posiadaniu całej prawdy, oraz przekonanie, że w interesie tej prawdy i dobra społecznego wol-

no i należy używać siły i przymusu. Jest w tym z jednej strony *hubris*, pycha charakterystyczna dla gorliwych rzeczników określonej doktryny, ale z drugiej strony jest i poczucie odpowiedzialności za czystość doktryny i za dyscyplinę organizacyjną, co tych stróżów prawdy i porządku w jakiejś mierze usprawiedliwia, przynajmniej w ich własnych oczach. Oba te aspekty łącznie sprawiają, że nietolerancja staje się szczególnie groźna, bo uniemożliwiają one wszelką korekturę, reformę i rozwój doktryny czy systemu. Wtedy nietolerancja niesie w sobie śmiertelne zagrożenie tego, czego rzekomo broni, to jest prawdy i ładu moralnego. Zauważmy tu, że dotyczy to nie tylko autorytarnych czy wprost despotycznych władz, państwowych czy kościelnych. Całkiem nieformalne grupy czy sekty pod przywództwem jakiegось fanatycznego *guru* potrafią trzymać swych członków w okowach czysto moralnego, lecz niemniej nieprzewyżzonego i zabójczego dla nich terroru. (Sekta Moona, scjentologia, także chyba Świadkowie Jehowy i *Opus Dei*).

Wszystko to jest absolutnie obce duchowi Ewangelii. Jezus nikogo do wiary w Boga czy w swoje posłannictwo nie przymusza. Tym którym za trudno było iść za nim pozwalał odejść, bez słowa wyrzutu, i słuchających go tłumów nie organizował w wierne sobie kohorty. Surowe słowa potępienia miał tylko dla obłudników. Tak liberalna postawa może się nam wydawać nawet dziwna, ale jest ona jedynie sensowna. Bo akt wiary może być prawdziwie autentyczny i akt miłości może być prawdziwie autentyczny tylko wtedy, gdy jest całkowicie dobrowolny. Wszelkie religijne zaangażowanie może powstać i kwitnąć tylko w atmosferze osobistej wolności. Stwierdza to *explicite* — po raz pierwszy chyba w tak dobitnej formie — soborowa deklaracja o wolności religijnej *Dignitatis Humanae Personae* z roku 1966, dokument w pewnym sensie przełomowy w historii Kościoła. Rzuca to interesujące światło na samą istotę tolerancji. Tolerancja nie jest przygodnym dodatkiem do prawdziwej religii, nie jest ustępstwem religii wobec nie-religii, ale jest jej integralnym elementem, warunkiem prawdziwej religijności. Warunkiem koniecznym, choć oczywiście nie wystarczającym. Bo wolność sama w sobie jest moralnie obojętna i można z niej korzystać dobrze albo źle. I tolerancja zatem może dawać wyniki dobre albo złe. I tu dochodzimy znowu do problemu granic tolerancji, tym razem uzasadnionych granic.

3.

Uzasadnione granice tolerancji nie są arbitralne. Można by powiedzieć, że tolerancja jako cnota społeczna sama określa

swoje granice — właśnie dlatego, że jest cnotą społeczną. Jest ona, jak zauważyliśmy, ściśle sprzężona z pojęciem osobistej wolności, a każda strefa osobistej wolności ma swoje oczywiste granice. Kończy się ona dokładnie tam, gdzie zaczyna się strefa wolności drugiego człowieka. Przekroczenie tej granicy stanowi pogwałcenie wolności drugiego człowieka i staje się zatem nietolerancją. Można powiedzieć, że funkcją prawa w zorganizowanym społeczeństwie jest zapobieganie tego rodzaju anarchicznej nietolerancji. Prawo w swej wykształconej, cywilizowanej formie jest w zasadzie tolerancyjne, bo toleruje wszystko, co nie jest przez możliwie precyzyjnie sformułowany przepis prawny zakazane, a zakazuje tylko tego, co jest naruszeniem praw czy wolności drugiego człowieka (czyli aktem nietolerancji wobec niego). Złodziej nie toleruje cudzej własności, morderca jest nietolerancyjny wobec prawa swojej ofiary do życia, więc prawo zakazuje takiej nietolerancji. W tym sensie prawo, będąc stróżem tolerancji, równocześnie nakłada jej pewne granice. Odnosi się to zarówno do prawa wewnętrznego-państwowego jak i prawa międzynarodowego; tolerancja ma oczywiście również swój wymiar międzynarodowy.

Prawo ma także inne funkcje, ale można powiedzieć, że w tej funkcji prawo jest zinstytucjonalizowaną tolerancją. Ale instytucjonalizacja pozbawia tolerancję jej charakteru spontanicznej cnoty społecznej, jej dobrowolności, bez której zdaje się ona nie być sobą. Tolerancja obwarowana prawnymi sankcjami jest mniej wiarygodna. Oczywiście w mierze, w jakiej prawo jest wyrazem opinii publicznej i ma za sobą poparcie tej opinii (a bez tego żadne prawo nie jest skuteczne), prawna tolerancja ma w sobie element dobrowolności lub przynajmniej wewnętrznego przyzwolenia. Ale na ogromnych obszarach życia społecznego tolerancja funkcjonuje bez żadnej instytucjonalno-prawnej podpory. Jej miejsce zajmuje niesformalizowany *consensus* społeczny. Tu jednak granice tolerancji są znacznie mniej wyraźnie określone i uzasadnione. Poglądy na temat tego co wolno a czego nie wolno, co może lub nie może być tolerowane, rodzą się na ogół spontanicznie, bez głębszej refleksji. Są to przeważnie poglądy odziedziczone, tradycja, etos społeczny przechodzący z pokolenia na pokolenie, elementy kultury grupowej, narodowej czy religijnej decydujące o przynależności do danej grupy, narodu, religii, albo danej klasy czy warstwy społecznej, ale także jej wyłączności, na rzecz wewnętrznej stabilności, ale też izolacji od innych grup. Im silniejsza więź wewnętrzna danej społeczności i jej stabilność, tym mniejsza podatność na zmiany i zdolność poddawania rewizji ustalonych poglądów, wierzeń i zwyczajów, tym mniejsza podatność na wpływy z zewnątrz, tym większe przywiązanie do znanych norm etosu społecznego i mniejsza

gotowość do tolerowania odchyłeń od tych norm.

Bardzo ważne jest by zdać sobie sprawę, że ten rodzaj nietolerancji nie jest wynikiem złej woli czy świadomej wrogości do obcych i obcych wartości. Jest on w pierwszym rzędzie wyrazem umiłowania własnych wartości, rodzimej tradycji i swoich bliskich. Nietolerancja jest tylko odwrotną stroną tej pozytywnej strony medalu. A jednak jest to strona negatywna i może ona mieć zdradliwe konsekwencje. Z tego też trzeba sobie zdać sprawę. Bo właśnie ten rodzaj niewinnej nietolerancji sprawia, że zdrowy patriotyzm tak łatwo degeneruje się w chorobliwy nacjonalizm, w rasizm albo anty-semityzm, a wiara religijna w religijny fanatyzm i sekciarstwo. Chorobliwość tych zdegenerowanych form patriotyzmu i religijności polega na tym, że traktują one siebie jako jedynie wartościowe, a patriotyzm innych i inne formy religijności jako anty-wartości, które trzeba zwalczać. Dla przykładu: patriotyczny Polak staje się nacjonalistą, gdy uważa za swój obowiązek zwalczanie nie tylko nacjonalizmu, ale i patriotyzmu ukraińskiego, białoruskiego czy litewskiego w tym samym stopniu, w jakim sam swoim nacjonalizmem grzeszy. Za czasów mojej młodości katolik był zobowiązany wierzyć, że protestant czy Żyd oddaje cześć Bogu w sposób obiektywnie fałszywy i nawet jeśli nie zdaje sobie z tego sprawy, to jednak w jakimś stopniu ponosi za to winę. Wielu chrześcijan (w tym i Polaków) po dziś dzień jest przekonanych, że być Żydem jest czymś czego należy się wstydić i że ma sens doszukiwanie się, czy taka czy inna osobistość publiczna ma w sobie jakąś domieszkę krwi żydowskiej (gdyż to rzekomo w jakiś sposób determinuje jej sposób myślenia i charakter). Na dobrą sprawę wielu ortodoksyjnych Żydów ma dokładnie tak samo absurdalną opinię o wszystkich *gojach* (choć zasadniczo słowo *goj* jest w tradycji żydowskiej rzeczowym określeniem nie-Żyda, bez pejoratywnego wydźwięku). Bojowy nacjonalista, wyznaniowy bigot, anty-semita i anty-goj mają tę wspólną cechę, że każdy z nich ignoruje fakt, że jego konkurent czy przeciwnik patrzy na sytuację z innego punktu widzenia i dlatego musi ją widzieć inaczej. Pierwszą rzeczą zatem, jakiej uczy tolerancja, jest konieczność uwzględnienia w każdej debacie różnic punktów widzenia. To nie jest kompromis z prawdą, ale właśnie próba maksymalnego zbliżenia do obiektywnej prawdy, wolnej od subiektywnego relatywizmu. Coś jak w teorii względności Einsteina, która stwierdza, że różne pomiary dokonane przez różnych obserwatorów mogą być równie prawdziwe, a wyglądają różnie tylko dlatego, że zostały dokonane w różnych układach odniesienia. To samo dotyczy wielu różnic religijnych, choć oczywiście nie wszystkich. Tego nas nauczył — i wciąż jeszcze uczy — współczesny po-soborowy ekumenizm.

Ale musimy sobie powiedzieć, że ten rodzaj tolerancji — nazwijmy go *tolerancją różnych punktów widzenia* — jest w praktyce bardzo trudny. Po pierwsze dlatego, że wymaga zastanowienia, refleksji, w tym także pewnej dozy samo-krytycyzmu, a do tego większość ludzi nie jest bardzo zdolna. To jest zapewne jedną z przyczyn, dla których tolerancja w ogóle, jako cnota społeczna, pojawiła się w rozwoju cywilizacyjnym ludzkości tak późno. Po drugie dlatego, że ten typ tolerancji zdaje się jednak stawiać jakiś znak zapytania nad tym, co ludziom jest najbliższe i najdroższe, a w każdym razie relatywizuje w pewnej mierze te wartości, sugerując, że inne wartości, konkurencyjne w stosunku do naszych, mogą być dla innych ludzi równie cenne. Czy mój polski patriotyzm naprawdę nie jest niczym lepszym niż patriotyzm Ukraińca czy Litwina? Czy szacunek dla innych wyznań i religii nie oznacza podania w wątpliwość prawdziwości mojej religii? Powtarzam tu cytowane już stereotypowe przykłady sytuacji, które zdają się usprawiedliwiać nietolerancję, ale są też inne. Czy uznanie, że w pewnych sytuacjach aborcja może być mniejszym złem, nie podważa zasady nienaruszalności poczętego życia? Myślę, że odpowiedzią na te wątpliwości jest uprzytomnienie sobie, iż fakt że tolerancja bywa trudna, nie znaczy, że nie należy jej próbować.

Czerpię te ilustracje z naszej bieżącej polskiej rzeczywistości, co jednak wcale nie znaczy, by Polak potrzebował lekcji tolerancji więcej niż inne nacje. I nie tylko post-komunistyczna wschodnia część Europy jest widownią starć chorobliwie nietolerancyjnych nacjonalizmów i sprzymierzonych z nimi wyznaniowych bigoterii. Dość wspomnieć Irlandię, Francję Le Pen'a, niemieckich neo-nazistów czy południowo-afrykański apartheid. Z radością stwierdziłem, że w oszalałej byłej Jugosławii wysoki dostojnik odradzającego się serbskiego prawosławia, arcybiskup Belgradu Pawle, mocnym głosem ukróca zaborczy i mordczy nacjonalizm swoich braci Serbów. Może w Zagrzebiu podobny głos uśmierzy równie zabójczą nietolerancję swoich braci Chorwatów?

4.

Tolerancja z różnych punktów widzenia, trudna dla zwykłych śmiertelników, jest szczególnie trudna dla ludzi reprezentujących instytucję. Bo instytucja, czy to będzie państwo, partia lub kościół, jest miejscem, w którym ludzie lokują swoją lojalność, jest systemem odniesienia dla wartości, które wyznają i którym chcą być wierni. W instytucji te wartości istnieją niejako w czystej formie, nieskażonej ludzką słabością, i ludzie reprezentu-

jący instytucję czują się za nie odpowiedzialni. Dlatego jest im szczególnie trudno być otwartym na krytykę swoich wartości i istnienie wartości konkurencyjnych. Jest to więc sytuacja, która nie sprzyja tolerancji. Trudno jednak nie przyznać, że jest to postawa w realnym życiu konieczna i godna szacunku, gdyż służy zbiorowości, strzegąc jej instytucjonalnej tożsamości i konsekwencji w postępowaniu. Rzeczą ambasadora nie jest oczywiście wypowiadanie osobistych opinii, lecz reprezentowanie polityki swego państwa.

Stosuje się to także do Kościoła jako zbiorowości i ziemskiej instytucji, w szczególności do jego oficjalnego personelu, czyli duchowieństwa. Upodobnia to w pewnej mierze Kościół do państwa. Upodobnia nie tylko w sposobie reprezentowania i szerzenia swoich wartości, ale także i w tym, że Kościół, podobnie jak państwo, posługuje się prawem jako środkiem moralnego czy nawet fizycznego przymusu do przeprowadzenia swej suwerennej woli, ilekroć uzna to za konieczne. Wiemy, że w przeszłości te *quasi*-państwowe aspiracje władz kościelnych przybierały czasem drastyczne formy, całkowicie sprzeczne z naturą jego posłannictwa. Dziś przymus organizacyjny, czy raczej dyscyplina kościelna, przybiera znacznie łagodniejsze formy — nie tylko dlatego, że Kościół nie dysponuje dziś sankcjami dość silnymi do egzekwowania swej woli, ale głównie dlatego, że pragnie być bardziej wierny, także jako ludzka instytucja, swemu duchowemu posłannictwu. Niemniej przymus organizacyjny w Kościele nadal istnieje i nierealne są chyba marzenia idealistów, by można było kiedykolwiek całkowicie się bez niego obyć. Chodzi raczej o to, by przymus, o ile to tylko możliwe, nigdy nie wykraczał poza wymagania normalnego chrześcijańskiego posłuszeństwa, udzielanego ochoczo bo z przyzwoleniem indywidualnego sumienia. Także oficjalny rzecznik Kościoła, biskup czy ksiądz, nie mówiąc już o świeckich, nigdy nie powinien być postawiony w sytuacji, w której jego rola rzecznika popada w konflikt z nakazem osobistego sumienia.

To jest ideał wewnątrz-kościelnej tolerancji. Ale ten ideał, jeśli tylko jest realizowany (choćby niedoskonale) rzutuje również na tolerancję w najszerszym znaczeniu — w tym także na to, co nazwaliśmy tolerancją różnych punktów widzenia — i tym samym na autorytet Kościoła w świecie. Wszelkie formy przymusu w dziele ewangelizacji oraz korzystanie w tym z pomocy państwa, choćby to był przymus tylko natury prawnej, przyjęło się określać mianem środków „bogatyń”. Myślę, że wciąż jeszcze nie dość zdajemy sobie sprawę, jak mało produktywne (często wręcz kontr-produktywne) są te środki — i to z tego prostego powodu, że stoi za nimi autorytet inny niż autorytet chrześcijańskiej prawdy, jedyna wartość o którą w dziele

ewangelizacji chodzi. Należy tu tak pospolite zjawisko jak to, że Polak czy Irlandczyk są automatycznie uważani za katolików (nawet gdyby nimi nie byli) tylko dlatego, że urodzili się czy zostali wychowani w kraju o większości katolickiej; ich przekonania czy wartości moralne nie są tu całkiem brane pod uwagę. W przeciwieństwie do tego tak zwane środki „ubogie” polegają wyłącznie na dynamizmie wyznawanych wartości moralnych i na sile przekonującej chrześcijańskiej prawdy, o której soborowa Deklaracja o Wolności Religijnej pięknie mówi, że „wkracza do umysłu ludzkiego równocześnie cicho i z mocą”. Istotnie, środki „ubogie” zdają się działać cicho i dlatego właśnie są tak mocne. Chrześcijaństwo w ciągu pierwszych trzech wieków swego istnienia polegało wyłącznie na środkach ubogich. Tak samo w kilka wieków później, gdy na gruzach rzymskiej państwowości imperialnej budowało zręby nowej cywilizacji. W okresach prześladowań czy prawnego nieuprzywilejowania Kościoła mógł polegać wyłącznie na środkach ubogich. A były to okresy duchowo niezwykle płodne; świadczy o tym choćby historia polskiego Kościoła pod komunizmem. Ale nawet w okresach, gdy ludzka arogancja i niecierpliwość kazały korzystać ze środków bogatych do forsownego budowania królestwa Bożego na ziemi, faktyczną robotę ewangelizacyjną odrabiali w dalszym ciągu środki ubogie, działając cicho, gruntując niepostrzeżenie w umysłach ludzkich autentyczne chrześcijańskie wartości. Jedną z tych wartości jest właśnie tolerancja, cnota rzekomo tak świecka, a jednak tak bardzo chrześcijańska.

Antoni POSPIESZALSKI

Dziennik pisany nocą

Neapol, 7 czerwca 1992

Opowiadania Kafki dzieli się na wydane za jego życia i wydane pośmiertnie. W tomie pierwszym dominują *Wyrok*, *Metamorfoza*, *W kolonii karnej*. W tomie drugim *Budowa muru chińskiego*, *Dochodzenia psa*, *Jama*. Zaproszony przez Feltriniego do napisania przedmowy do tomu opowiadań pośmiertnych, zająłem do eseju, który zapoczątkował moją eksplorację twórczości Kafki.

Powstał w roku 1957, zatytułowany był *Sąd Ostateczny* z podtytułem *Camus i Kafka*. Bezpośredni impuls stanowił świeżo wówczas wydany, „kafkowski” trochę *Upadek Camusa*, ale więcej uwagi poświęciłem szkicowi Camusa *Nadzieja i absurd w twórczości Kafki*. O ile *Upadek* zestarzał się bardzo w ciągu minionych lat, nie dorównuje *Obcemu* i *Dzumie*, oraz niektórym nowelom i dramatom Camusa, to szkic o Kafce zachował po dziś dzień zalety przenikliwości i odkrywczości, góruje wciąż zdecydowanie nad ogromną literaturą „kafkologiczną”.

I wciąż jest użytecznym kluczem do „dwóch światów” Kafki. „U Kafki — pisał Camus — te dwa światy to z jednej strony świat codziennego życia, a z drugiej świat nadprzyrodzonego niepokoju”. W doli człowieczej towarzyszą sobie wzajemnie absurdalność i wzniosłość. „By dać pojęcie o tej absurdalności, trzeba tchnąć w nią życie w serii równoległych kontrastów. Kafka więc wyraża tragedię codziennością a absurd logiką”. *Zamek* nazwał Camus „powieścią, w której nic się nie kończy i wszystko zaczyna od nowa, powieścią opisującą przygodę duszy w poszukiwaniu łaski”. Kierkegaard twierdził, że człowiek musi zabić ziemską nadzieję, bo jedynie wtedy może być zbawiony przez prawdziwą nadzieję. W *Zamku* więc wkraczamy w nowy wymiar słusznie przez Maxa Broda podkreślonej

„niewspółmierności ziemskich i religijnych celów”. W *Refleksjach o grzechu, bólu, nadziei i prawdziwej drodze*, pisanych po *Procesie* a na parę lat przez *Zamkiem*, Kafka zapewniał że „istnieje cel, lecz nie ma drogi”; w *Zamku* odkrył, że sama droga jest celem i już przez to choćby musi jednak prowadzić do jakiegoś celu. Ale najważniejsza w *Refleksjach* jest inna uwaga, o której trzeba zawsze pamiętać, zwłaszcza czytając ostatnie opowiadania Kafki, *Dochodzenia psa* i *Jamę*: człowiek nie może żyć bez uporczywej ufności w coś niezniszczalnego w sobie samym, bywa wszakże przez całe życie nieświadomy owej niezniszczalnej rzeczy i jedną z form tej ustawicznej nieświadomości jest wiara w Boga.

Jeszcze jedna lektura, tym razem przypadkowa, poprzedziła moją pracę nad wstępem do pośmiertnych opowiadań Kafki. Chodzi o *Zapiski iz podpolja*, wznowione ostatnio przez *Puls* jako *Notatki z podziemia*. Kafka znał z pewnością książkę Dostojewskiego, którą uważa się słusznie za opowieść inaugurującą nowy rozdział w twórczości pisarza rosyjskiego i za punkt zwrotny w całej nowoczesnej prozie. Dostojewski pierwszy posłużył się pojęciem „winnego bez winy”, obecnym nieustannie pod piórem Kafki. Pierwszy także przeciwstawił człowiekowi „normalnemu” człowieka „o zaostrzonej świadomości”, skazując go na ciągłe poszukiwanie, w historycznym niekiedy napięciu, czegoś od siebie większego i nieprzeniknionego. Kafka szamotał się między światem codziennego życia i światem nadprzyrodzonego niepokoju. U Dostojewskiego „mystyk z podziemia” (jak sam siebie ironicznie nazywał, „gustując w cierpieniu”) doprowadzony został w udręce samotności do „uważania człowieka o zaostrzonej świadomości za mysz, a nie za człowieka”. Warto o tym pamiętać, gdy się śledzi podziemny żywot kreta w *Jamie* Kafki. Wyobrażam sobie z jakim przejęciem Kafka czytał *Notatki z podziemia*, jak bliski mu był pisarz krążący bez wytknienia (w *Notatkach* w sposób celowo karykaturalny) wokół problemu religijności świadomej.

W *Budowie muru chińskiego* uderza fragment, do którego Kafka przywiązywał widocznie szczególną wagę, skoro w tym samym roku 1917 wyłączył go bez zmian jako niewielki tekst samodzielny pod nazwą *Postanie Imperatora*. W *Budowie muru chińskiego* mowa o „legendzie”, w tekście samodzielnym wystarcza zwrot „tak opowiadają”. Opowiadają mianowicie, że na łożu śmierci Imperator (synonim bóstwa) wezwał do siebie gońca i

wyszeptał mu na ucho postanie do ciebie, „nędznego poddanego, drobnego cienia który od blasku imperialnego słońca schronił się w dalekim zakątku cesarstwa”, właśnie do ciebie „skierował swoje ostatnie słowa”. Tak wysoko zaś stawił swoje postanie, że kazał je gońcowi słowo w słowo powtórzyć, aby dopiero po wysłuchaniu skinąć potakująco głową i dać gońcowi znak, że może ruszyć w drogę. Goniec bardzo długo wędrował w labiryncie pałacu, z trudem pokonując rozliczne przeszkody. Po tysiącleciach miał wreszcie wyrwać się z pałacu i stanąć pod murami miasta imperialnego, zwanego „pępkiem świata”. Lecz do miasta imperialnego wpuszczano jedynie posłów z wieściami od umarłych. (A czy umarł już Imperator?, zdaje się pytać legenda). Ty zaś, „nędzny poddany i drobny cień”, siedzisz obok okna i czekasz, co wieczór śnisz o przybyciu gońca, niosącego postanie Imperatora, skierowane wyłącznie do ciebie.

Chińska legenda Kafki wiąże się naturalnie bardzo ściśle z jego apologiem *Przed Prawem* (1914). Stoi przed Prawem oddźwierny, przychodzi do niego człowiek i prosi o wpuszczenie. Oddźwierny nie może go chwilowo wpuścić. A później? Później się zobaczy, chwilowo nie można. Lata płyną, człowiek czeka, przeklina swój los. O krok od śmierci pyta oddźwiernego jak to jest: przecież wszyscy starają się dotrzeć do Prawa, a tymczasem przez tyle lat tylko on jeden błagał o wpuszczenie. Oddźwierny odpowiada: nikt inny nie mógł być tutaj wpuszczony, bramę zrobiono wyłącznie dla ciebie: zamknę ją natychmiast po twojej śmierci.

Zarówno w chińskiej legendzie jak w apologu istotne są słowa „wyłącznie dla ciebie”. Proza Kafki ma cechy narracyjnego rytuału. Od epizodu do epizodu, od opisu do opisu, od dialogu do dialogu, rośnie wrażenie uczestniczenia w upartym i rozpaczliwym poszukiwaniu Boga, którego imię nie zostaje nigdy głośno wymówione. Ten rytuał okazuje się nadaremny, ale jest nieuchronny i będzie powtarzał się zawsze, dopóki żyje człowiek rzucony w świat, jak w chińskiej legendzie *Postanie Imperatora*, jak w apologu *Przed Prawem*. Kafka niemal dosłownie szukał zetknięcia z Bogiem „wyłącznie dla siebie”, jego religijność (z braku lepszego określenia) była skrajnie indywidualistyczna, chciałoby się powiedzieć: prywatna do granic strzeżonej gorliwie intymności. Zaliczać tego pisarza na wskroś metafizycznego, chwila wręcz mistycznego, do kategorii „konsekwentnych ateistów” (jak to zrobił Kołakowski) jest niewybaczalnym nonsensem.

Dlaczego mieszkaniac podziemia „uważa człowieka o zaostrzonej świadomości za mysz, a nie za człowieka”? Złośliwy,

masochistyczny grymas nienawistnika, prześmiewcy „szklanych pałaców”? Nie, nie sędzę. Albo nie tylko to. Redukcja człowieka do myszy u Dostojewskiego — jak redukcja człowieka do karalucha, psa i kreta u Kafki — jest metaforyczną figurą, wskazującą samotność człowieka we wszechświecie i jego niemoc wobec nie nazwanych po imieniu sił wyższych. Jeśli posiada świadomość swego „twardego, niezniszczalnego jądra”, szuka czegoś władającego jego losem, nie dbając o imię owej siły, ba — uciekając przez pokusę jej nazwania. Jeśli jest nieświadomy owego „twardego jądra”, lecz ufa mu w nieświadomości, znajduje trwałe oparcie w wierze w Boga.

Metamorfoza Kafki na pozór doprowadza do absurdałnej skrajności samotności człowieka w najbliższym otoczeniu (także rodzinnym), w rzeczywistości jest hipostazą wyłączenia ze świata; wyłączenia tak radykalnego, że w ogromnym karaluchu zanikają stopniowo wszelkie dawne cechy człowieczeństwa. Znamienny (i na ogół przeoczany) jest jego wysiłek, czy raczej jego nieudana próba, wypełnienia z nor między meblami po ścianie do góry, na sufit: spada na grzbiet i nie może powrócić do swej normalnej pozycji. Kafka, zapewne, chciał w ten sposób pokazać wyrok ostateczny. W tym strasznym opowiadaniu nie ma żadnej nadziei. Jakież okrucieństwo tkwi w spacerze rodziny Samsa po wymieceniu martwego karalucha! Istniał kiedyś Gregor, żywiciel rodziny? Nie, nie istniał nigdy. *Metamorfoza* to czysty, ciemny, szczelnie zamknięty absurd bez żadnego, najmniejszego choćby, prześwitu.

Wspomniałem na początku, że w opowiadaniach pośmiertnych Kafki dominują trzy: *Budowa muru chińskiego*, *Dochodzenie psa* i *Jama*. Rok przed śmiercią (1923) napisał *Dochodzenie psa*, w roku śmierci (1924) *Jamę*. Wolno zatem widzieć w nich coś w rodzaju ostatniego słowa „winnego bez winy”. I zetknięcie, spotkanie z Bogiem (wciąż bez wzywiania Jego imienia) tak wyraźne, jak w żadnym z dotychczasowych utworów. W *Jamie* kret zarywa się w ziemi, uciekając przed światem (i tęskniąc do niego), aby odkryć naraz, że jego szczelne odgródenie nie odgrodziło go od wrogów; słyszy jak nadchodzą, przekopując się podziemnymi kanałami do jego jamy. Może powinien był zbudować jamę w jamie, ukryć się jeszcze głębiej, pogrążyć się w niedosięgalnych dla nikogo ciemnościach. O czym marzy? „O słuchaniu w ekstazie czegoś, brakującego mu całkowicie: szelestu milczenia w jego podziemnej twierdzy”. Nie mam wątpliwości, że w owym „szeleście milczenia” Kafka, filozoficzny i teologiczny Kret, snuł rojenia o swoim Jedynym Wybawcy. Jak pewien jestem, że pies opanowany metafizyczną gorączką swoich dochodzeń, staje pewnego dnia przed Wielkim Psem, który wydobywa z siebie boski śpiew przeznaczony wyłącznie dla niego. Tak

Kafka, do końca nie mając śmiałości nazwania po imieniu *Sacrum*, opisał ujrzone na mgnięcie oka Objawienie.

Chciałbym wierzyć że umierając po jakimś wreszcie szczęśliwy (po raz pierwszy kochał naprawdę kobietę, Dorę Diamant; była to miłość, a nie tylko fascynacja jak w wypadku Mileny Jesieńskiej), gdy poprosił lekarza żeby nie odchodził i usłyszawszy w odpowiedzi „nie odchodzę”, wypowiedział swoje ostatnie słowa „ale ja odchodzę”, chciałbym wierzyć, że w tej chwili odejścia usłyszał boski śpiew skierowany wyłącznie do niego, po czym ogarnął go na zawsze już tak upragniony „szelst milczenia”.

16 czerwca

Tomasz Mann nie był nigdy „uwielbianym” przeze mnie pisarzem (z wyjątkiem *Buddenbrooków*), ani tym więcej moim *maître à penser*, co moich młodszych przeważnie przyjaciół i znajomych wprawiało zawsze w osłupienie, graniczące prawdopodobnie z pytaniem w duchu: „Ile może być wart pisarz, dla którego Mann nie jest Złotym Piórem i Krynicą Mądrości?” Pamiętam nawet, że raz mój świeżo przybyły z Polski znajomy, inteligentny chłopak, przystanął w Rzymie na ulicy, gdy mu to spokojnie powiedziałem. „Jak to możliwe — szeptał do siebie — jak to możliwe, nie do wiary”. Mogę sobie wyobrazić, jak runęły w dół moje notowania na jego prywatnej giełdzie literackiej.

No ale nic na to nie poradzę, natomiast młodzieńcom którzy Manna mają za swojego *maître à penser* polecam lekturę tekstu świeżo odkrytego w archiwum sławnego pisarza. Narodził się w Ameryce na przełomie 1949/50, przeznaczony był dla pisma *Aufbau*, nigdy się tam jednak nie ukazał i powędrował do pudła z papierami Manna. Mann — jak widać z jego dziennika — uważał go za swoje *J'accuse*, nadał mu tytuł *Przeciw arogancji lepszego świata*, dodając: „Kawałek dobrej prozy, lecz trzeba się dobrze zastanowić nad drukiem, bo tutaj (w Ameryce) mógłby mnie narazić na wiele kłopotów. Erika (córka) zachwycona, Golo (syn) ma zastrzeżenia. Katia (żona) jest za drukiem z pewnymi łagodzącymi retuszami”.

Pod początkiem można się oburzyć podpisać, choć jego słuszność jest zbyt oczywista: Mann gwałtownie, gniewnie atakuje konwulsyjne podrygi wariata, sławetnego senatora McCarthy. Ale potem *Arogancja lepszego świata* (amerykańskiego) zamienia się w arogancję, z przymieszką zwykłej głupoty, „najlepszego pisarza epoki”, w arogancję pamfletu na Amerykę, przeciwstawioną — co gorsza — Rosji, do której Mann miał iść nie-

miecką słabość. Jego refleksje, czytane zwłaszcza dzisiaj, muszą czytelnika przyprawiać o wybuchy śmiechu. „Uważam rewolucję rosyjską za wydarzenie historyczne o pierwszorzędym znaczeniu i wierzę, że antagonizm socjo-ekonomiczny, który dziś z furją przeciwstawia Zachód Wschodowi, zostanie kiedyś wyciszony w ramach naszej cywilizacji; przekonamy się wtedy, że intensywniejsza była recepcja tzw. idei wschodnich przez Zachód, niż na odwrót”. Albowiem „mam wątpliwości, czy naród rosyjski cierpi szczególnie pod panowaniem obecnego reżimu; nowe państwo przyniosło mu wiele korzyści, pchnęło go na drogę wielkich postępów, a co do nahajki kozackiej, to przywykł on do niej od dawna”. Mann proponuje, by ustrój sowiecki nazwać po prostu „rewolucją autokratyczną”, rozwiewając w taki sposób wiele nieporozumień na jego temat. Manna oburza „kolonizacja Europy (głównie Niemiec) przez Amerykę”, przygotowująca platformę do wojny przeciw Rosji (ani słowem nie wspomina o Planie Marshalla), śmieszny zaś amerykański wiara w niezawodne lekarstwo *free enterprise* na choroby komunizmu. „Jeśli — powiada — zamierzamy tą bronią wyprzeć komunizm, to nasze widoki na przyszłość są żalosne”. I rzeczywiście.

25 czerwca

Kiedy Kadar zaprosił Armię Czerwoną do Budapesztu i szybko zbudował szubienicę dla swego przełożonego Nagy'a, był prawdopodobnie najbardziej nienawidzonym człowiekiem na Węgrzech. Wkrótce nienawiść zaczęła odpywać, ustępując miejsca najpierw życzliwej obojętności, potem pewnej sympatii. Kadar pierwszy zastosował „filozofię mniejszego zła”, która stała się niebawem jedynym komunistycznym remedium na zgubne skutki pierwotnej rewolucyjnej „idei większego dobra”. Opowiadano ze współczuciem o jego skórzanych rękawiczkach, ukrywających palce okaleczone na śledztwie w roku 1951. Jego zniszczona, lekko obrzękła, zawsze smutna twarz o otorbionych oczach zdawała się streszczać los Węgier. Weszła w użycie „kadaryzacja”, jako wzór godny pozazdrosczenia i naśladowania w kadeelach. Pierwszą zagraniczną wizytę po ogłoszeniu stanu wojennego Jaruzelski złożył w Budapeszcie; było coś wymownego, a może i symbolicznego, w tym spotkaniu dwóch komunistycznych „filozofów mniejszego zła”.

Zanim Kadar zdobył sobie opinię stosunkowo łagodnej maści na rany 1956 roku (po pierwszym roku brutalnych prześladowań uczestników rewolty węgierskiej), zanim — cofnijmy się — został sam w roku 1951 aresztowany i spędził trzy lata w więzieniu, był przykładowym towarzyszem partyjnym u władzy.

Czyli bandytą. Akty „sprawy Rajka” (przesłuchania i procesu) spalono około roku 1960. Ocalał jednak dwudziestostronicowy fragment, ogłoszony ostatnio w Budapeszcie.

W nocy z 7 na 8 czerwca 1949 Rajka przesłuchują Kadar, Farkas, Peter Gabor. Głównym inkwizytorem jest Kadar. Oczywiście równie dobrze — gdyby rachuby i plany polityczne *wierchuski* moskiewskiej i budapesztańskiej tego wymagały — głównym inkwizytorem mógłby być Rajk, a przesłuchiwanym Kadar. Komedia kłamstw w melinie szajki bandyckiej zostałaby odegrana tak samo, w innej obsadzie ról. Tyle już wiemy na te tematy, a przecież każde nowe świadectwo napelnia obrzydzeniem (już nie grozą, jak niegdyś). Wszyscy komuniści, którzy kiedykolwiek znaleźli się na krótko choćby u władzy, byli łotrami, nie mogli nimi nie być. O tym nie wolno zapominać. I nie wolno pozwolić na mydlenie ludziom oczu teorią „fałszywych zeznań jako ostatniej przysługi oddanej partii” (w stylu *Ciemności w południe*). Centralnym punktem przesłuchania Rajka jest jego prośba, by zostawiono w spokoju jego żonę i świeżo narodzonego synka. „To zależy od twego zachowania... Jeśli w ciągu czterdziestu minut nie napiszesz swego przyznania się do winy, jeszcze dziś przywieziemy tu twoją żonę”. Dokładnie tak samo jak z Bucharinem. Kochał bardzo swoją ledwie poślubioną, grubo od niego młodszą, żonę i świeżo także narodzonego synka. Tym go złamano, a nie żadną „ostatnią przysługą”. W oczach tuzów partyjnych partia była po prostu gangiem, dla którego szantaż (prócz bicia) jest naturalnym narzędziem.

Gdy się te rzeczy pamięta (a nie jest to rzekoma „chorobliwa pamiętliwość”), trudno dać kredyt zaufania generalskim piskom memuarystycznym, opowiadaniom o „dobrych chęciach”, apelom do „wrozumiałości rodaków”. Tylko głupcy dadzą się na takie sztuki nabrać. Ludzi rozsądnych obowiązuje zasada: każdy komunista, którego dopuszczono kiedykolwiek do wyższych rejonów władzy, nie wyzwoli się nigdy z mentalności gangsterskiej. Jak z mentalności mafijnej nie potrafi się już wyzwolić nawet *un mafioso pentito*, skruszony boss *Onorata Società*.

3 lipca

Piękny film włoski *Złodziej dzieci* opowiada historię karabiniera, któremu kazano odwieźć z Mediolanu do ochronki sycylijskiej dwoje dzieci: trzynasto-czternastoletnią dziewczynkę, zmuszaną przez matkę do uprawiania prostytucji, i jej młodszego braciszka. Wzruszony, wyszedłem poza ograniczony, prosty

motyw filmu i równolegle, patrząc na ekran, przypomniałem sobie wszystko, co ze słyszenia lub z lektury wiem o losach niektórych dzieci we Włoszech (i nie tylko).

Nie należy tu do rzadkości kazirodztwo, o nie. Można bez obaw popełnienia wielkiej pomyłki powiedzieć, że współżycie seksualne ojca z dojrzewającą córką (właśnie trzynasto-czternaście lat) jest wypadkiem prawie nagminnym na wsi (głównie południowej) i w miastach takich jak Neapol: wszędzie tam, gdzie cała rodzina śpi w jednym, szerokim łożu, i gdzie ojciec jest tyranem i brutalą, przed którym drżą w domu wszyscy. Opisują to zresztą w moim opowiadaniu *Krótką spowiedź egzorcysty*. Nie chodzi, jakby ktoś mógł pomyśleć, o osobliwość naszych „zepsutych czasów”. Z całą pewnością proceder był równie rozpowszechniony dawniej, tyle że wiemy o nim dziś więcej, bo w porównaniu z przeszłością zmalą obecnie „strach rodzinny”. Odzyskana śmiałość sprawia, że skargi matek i córek docierają teraz do konfesjonatu, lub na posterunek policji.

Błędem także byłoby przypisywanie podobnych zjawisk „społecznym dołom”. Kilka lat temu przeczytałem wstrząsający dla mnie artykuł w bardzo poważnym piśmie. Oto w Zürichu pewna lekarka, specjalistka w dziedzinie psychiatrii, mężatka i matka trojga dzieci, zorganizowała niezwykle doprawdy zjazd: zaprosiła nań swoje szwajcarskie koleżanki i rówieśnice, których doświadczenia z dzieciństwa były analogiczne; w wieku około czternastu lat (magiczny wiek „nimfetek” Nabokowa) były przez swoich bogobojnych zapewne ojców, przeważnie zamożnych bankierów i przemysłowców, zamieniane w nieletnie kochanki. Matki nie tylko nie stawały w obronie córek, lecz zaklinały je (prawdopodobnie „na wszystkie świętości”) by rzecz pozostała „rodzinnym sekretem”, w przeciwnym bowiem razie narażone byłyby kariery zawodowe ojców... Zjazd w Zürichu miał, naturalnie, cele „naukowe” — dzisiaj wszystko jest „naukowe”. Przypuszczam, że podobne zjazdy mogłyby się też odbywać w innych krajach Zachodu. Na Wschodzie „naukowość” nie zaszła jeszcze tak daleko.

A jeśli w naszkicowanych przeze mnie pobieżnie okolicznościach zdarzało się zajście w ciążę? Na południu Włoch dziewczęta dojrzewają wcześniej i szybciej. Historia czternastoletniej dziewczyny irlandzkiej, zgwałconej przez ojca swojej przyjaciółki i oczekującej dziecka, dowodzi że i północ nie pozostaje zanadto w tyle; można więc, bez wahania, włączyć do problemu Szwajcarię. A problemem jest, a raczej bywa, konieczność aborcji. Gdy w arcykatolickiej Irlandii ważyły się losy czternastoletniej zgwałconej, aby przeważać się w końcu w kierunku zgody władz na dokonanie zabiegu w Londynie, w środowisku przysięgłych i zaciekłych przeciwników aborcji w Polsce modlono się

na intencję ocalenia płodu zbrodni w Dublinie. Tu nawet polski Kodeks Etyki Lekarskiej nie sprzeciwiałby się aborcji, skoro chodziło przecież o zgwałcenie nieletniej. Ale co z dziewczętami, które nie są gwałcone, nie stawiają oporu, godzą się z wyznaczoną im rolą w imię cnoty posłuszeństwa rodzicom? Ksiądz czy pastor (?), wierni zasadzie świętości poczętego życia, zachęca dziecko do urodzenia dziecka, oddając w ręce policji ojca i zarazem dziadka?

7 lipca

Zachwycająca jest zwięzłość i uniwersalność Starego Testamentu. Każdy rozdział może służyć za lekcję, budującą lub mniej, lecz zawsze wszechstronną, dającą się zastosować przy wielu okazjach. Nowy Testament czytany z ambony jest przypomnieniem, konsekracją życia i męki Chrystusa; Stary jest niekończącą się nauką, tym rodzajem nauki, jaki powinien tkwić, niezauważalny, u podstaw każdej dobrej prozy. Wstępne, starotestamentowe kazanie pastora w *Moby Dicku* ma wszelkie cechy ekspozycji powieściowej.

Bez żadnej potrzeby naciągania zobaczyłem naraz nasze ostatnie półwiecze w *Proroctwie Jonasza*. We wstępie biblistów do Księgi czytam, że jest bliska Ewangelii: Chrystus postawił Niniwę za przykład nawrócenia, a pobyt Jonasza w brzuchu wieloryba uznał za typ swego zmartwychwstania. A gdyby na *Proroctwo* spojrzeć okiem współczesnym? Jahwe przemówił do Jonasza: „Wstań, idź do Niniwy — wielkiego miasta — i głoś, że nieprawość jej dotarła przed moje oblicze”. Jonasz nie wykonał tego rozkazu, wiedząc że „Jahwe jest Bogiem łagodnym i miłosiernym, cierpliwym i pełnym łaskawości, litującym się nad złem”. Że, słowem, chciałby Niniwę nawrócić, nie przelewając ani jednej kropli krwi, nie używając gwałtu. Sceptyczny Jonasz pojechał w przeciwnym kierunku, na emigrację do Tarszisz, ale po drodze rozgniewany Jahwe zesłał na okręt burzę i Jonasza wrzucono do morza, gdzie połknął go wieloryb. W brzuchu wieloryba spędził trzy doby biblijne, czyli kilka naszych dziesięcioleci emigracyjnych. Wreszcie, znudzony śmiertelnie, poprosił Jahwe o przebaczenie. Wieloryb, na polecenie Jahwe, wyrzucił Jonasza na ląd. Emigracyjny rozbitek znowu dostał od Boga nakaz nawrócenia Niniwy. Pozostał, jak każdy były emigrant, sceptyczny. Głosił co prawda w Niniwie dla postrachu: „Jeszcze czterdzieści dni, a Niniwa zostanie zburzona”, nie wierzył jednak by Jahwe posunął się tak daleko, skoro zależało Mu na uniknięciu gwałtu i przelewu krwi. Skończyło się wszystko dobrze, król Niniwy kazał swój kraj poddać *przebudowie*, Jahwe zaś

zobaczył, że nieprawi władcy „odwrócili się od swej złej drogi” i uwierzył im. A Jonasz? Nie potrafił pokonać w sobie nieufności. I w skrytości ducha tęsknił do życia w brzuchu wieloryba.

13 lipca

Nie lubię André Gide'a. *Lochy Watykanu* są doskonałą powieścią, ale to za mało, by Gide'a zaliczyć do wielkich pisarzy naszego stulecia. Był klasycznym literatem, francuskim literatem, pomysłowym, zręcznym, w miarę dowcipnym, pracowitym, bardzo wykształconym i czytany, pierwszorzędnym „rzemieślnikiem” pióra, bez szczególnego rozmachu i o dość ograniczonej wyobraźni. Czasem tylko pokonywał przyrodzoną oschłość, jakby chłód jego serca ustępował na chwilę przed falą powściągniętych dotąd emocji. *La Porte Etroite*, piękne opowiadanie, o ileż piękniejsze od *Immoralisty*, mózgowego „manifestu”, który miał doprowadzić po latach do *Corydona*. Jego upodobanie do gry psychologiczno-intelektualnej znalazło pełny wyraz w *Falsze-rzach*, tyleż błyskotliwych co pustych i jałowych.

Najbardziej nie lubię osławionego, powszechnie chwalonego *Dziennika*, swoistego skrzyżowania samodurstwa i fałszywej szczerości. Gide marzył o szczerości jak (nie przypadkowy przykład) papież Paweł VI marzył o darze wzbudzenia ludzkiej sympatii. I jedno i drugie nie wychodziło, istnieją ludzie niezdolni przezwyciężyć pewnej charakterologicznej pieczęci od urodzenia. Gide więc skręca się w *Dzienniku*, żeby swoją szczerością obezwładnić czytelnika, a wciąż towarzyszy tym wysiłkom zimny i fałszywy uśmiezek. Nie może go się pozbyć, niekiedy pisząc zaślania usta, ale i to nie pomaga. Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego ten ogromny diariusz (milion słów, obliczyli gide'owscy badacze) budził respekt (a może i więcej) Gombrowicza.

Niespodzianką był dla mnie wydany ostatnio we Włoszech tomik *Montaigne, teksty wybrane przez André Gide'a*. Okazuje się, że Gide przygotował ten tomik w roku 1938 dla wydawcy amerykańskiego, a potem ogłosił go również we Francji. Wybór z *Prób* poprzedzony jest obszernym i ciekawym (dla mnie) szkicem Gide'a.

Szkic wstępny Gide'a wydaje mi się ciekawy, a nawet po jakimś pasjonujący, gdy śledzi się jego miłość (kompensacyjną, że tak powiem) do Montaigne'a. Podkreśla, że dla autora *Prób* cnotą kardynalną była znajomość samego siebie (albo bezustanny wysiłek poznawania samego siebie), przy założeniu że wszystko inne poddaje się poznaniu w sposób kaleki. Stąd zachwyty Gide'a: Montaigne jest szczery, prawdziwy, miałby wręcz pra-

wo powtórzyć za Chrystusem odpowiedź na pytanie Piłata: „Co jest prawdą?”, boską odpowiedź „Ja jestem prawdą”. Podziw Gide'a wznosi się do zenitu wobec wezwania Montaigne'a do „zdzierania masek z ludzi i rzeczy”. W obliczu załamywania się wszelkich pewności umacnia się, zdaniem Gide'a, w duszy Montaigne'a jedyna pewność: że nikt nie dorównuje mu w znajomości samego siebie, nikt bowiem nie zagłębia w głąb swojej natury z taką dokładnością i wiernością.

Nie jest łatwo opędzić się przed podejrzeniem, że Gide zapisywał na rachunek Montaigne'a własne niespełnione pragnienia. Po pierwsze, Montaigne zdawał sobie doskonale sprawę, że „im więcej ze sobą przestaje i lepiej się zna, tym mniej rozoznaje się w sobie”. Po drugie, ostrzegał za Cyceronem: „Fałsz jest tak bliski prawdy, że mędrzec nie powinien się udawać nad tę przepaść”. Po trzecie wreszcie, nic bardziej go nie odpychało niż osobowość sztucznie i mozolnie skonstruowana (co, według mnie, było przypadkiem Gide'a). Montaigne posunął swoją szczerość i prawdziwość do tej granicy, która przejmowała Gide'a instynktownym, podskórnym lękiem: zdierał rzeczywiście maskę z twarzy przed każdorazowym zerknięciem do lustra.

26 lipca

Wolę zamieszkiwać Irak,
wolę mieć na dupie czyrak,
wolę w wacie nosić wata,
niż za wodza mieć Michała.

Ten nieprzyzwoity czterowiersz powinna uwzględnić Pani Łomnicka, wdowa po wielkim aktorze Tadeuszu, która pisze książkę o Broniewskim. Ostatecznie także on jest częścią dorobku twórczego Broniewskiego, jest „poetycko doskonały”, jak zresztą „wszystko co piszę” (powiedział mi Broniewski za panowania Gomułki, broniąc *Słowa o Stalinie*). Był w wojsku na Bliskim Wschodzie, zwłaszcza w Iraku, bardzo popularny, choć mniej oczywiście popularny od *Zamieci* w armii „amnestyjnej” w ZSSR i od przedwojennego *Waryńskiego*. Czemu poeta zawiał się tak na generała Michała Karaszewicz-Tokarzewskiego, człowieka kulturalnego i miłego, chyba masona, na pewno wysoko postawionego teozofa? Gdy nasza wspólna przyjaciółka Wanda Hoffmannowa umierała na raka w Londynie, Tokarzewski odprawił nad nią jakiś teozoficzny modły, które nie mogły jej już pomóc, ale wyglądały przynajmniej skurcze bólu na wykrzywionej chorobą twarzy.

„Wolę zamieszkiwać Irak”. Tylko żołnierze polscy w Iraku

mogą powiedzieć, ile poświęcenia kryło się w tym „woleniu”. Irak był dla nas ciężkim postojem. Rozgrzane namioty na pustyni, obwieszane u wejścia buklakami z gorącą prawie wodą, całodzienne wylegiwanie się nago po krótkich ćwiczeniach o bardzo wczesnej godzinie. Rzadko wieziono wyposażone bractwo do Bagdadu, na jednodniową wyprawę, która z konieczności była bardziej erotyczna niż turystyczna. Lepiej od Bagdadu pamiętam uroczy Mosul, gdzie z braku innych rozrywek łatwiej było o zwiedzanie. Byłem w Mosulu zakochany; po latach wyszło na jaw, że wraz z Jerzym Giedroyciem, który nawet upatrzył sobie tam mały dominikański klasztor, na wypadek gdyby rozwój sytuacji na świecie skłonił go do porzucenia świata. W każdym razie pierwszą napisaną przeze mnie na obczyźnie rzeczą był *Mosul nieznany*, wydrukowany przez Jana Bielatowicza w *Kurjerze Polskim w Bagdadzie*.

Z Bielatowiczem połączyła mnie później prawdziwa przyjaźń, mimo różnic politycznych (ale nie literackich). Był endekiem, nazywano go nawet „zakutym endekiem”, co było nieścisłe. Wojna wyleczyła go w znacznym stopniu z endeckości, zachował po prostu pewną lojalność wobec swych dawnych nauczycieli i przewodników politycznych. Bielatowicz był postacią kolorową, krwistą, napisał kilka dobrych rzeczy, zasługiwałby na przyzwoitą monografię, a nie na hagiograficzną kapliczkę przydrożną, jaką mu ostatnio w rodzinnym Tarnowie wystawił Jacek Głomb książką pod poronionym tytułem *Zielony Jasiiek*. Po raz ostatni widziałem go w londyńskim szpitalu, kiedy wiadomo już było, że jest skazany. Był do tego stopnia nie do poznania, że Pani Irena (żona) musiała mnie podprowadzić do jego łóżka na ogólnej sali.

Bagdad pozostał tedy dla mnie barwną legendą, niewiele bogatszą od konwencjonalnych wyobrażeń w stylu kalifa Harun Al-Raszida, opowieści z tysiąca i jednej nocy, złodzieja z Bagdadu. Dopiero niedawno zetknąłem się z Mesjaszem z Bagdadu. Ta niezwykła historia rozegrała się w XII stuleciu, na fali ruchów mesjanicznych po wyprawach krzyżowych. Młody bagdadzki Żyd, o dużej urodzie i jeszcze większej imaginacji, nazwiskiem Menahem ben Solomon, ogłosił się Mesjaszem, przybrał imię David i nazwisko Al-Ruhi albo Alroy, oraz rozesłał listy do gmin żydowskich na Bliskim Wschodzie, obiecując że chętnych przeniesie „w locie na anielskich skrzydłach” z bagdadzkich dachów wprost do Jerozolimy. Chętnych było wielu, głównie z dzielnicy żydowskiej w Bagdadzie i z zamieszkałej przez ludność żydowską Amadii pod Mosulem. W oznaczonym przez Mesjasza dniu, zwanym później „dniem odlotu”, tłumy wyległy na dachy Bagdadu, w tym dużo kobiet z dziećmi i z całą posiadaną biżuterią. Biżuterią zajęli się zaufani Mesjasza,

zapowiadając jej zwrot w Jerozolimie natychmiast po „przylocie”. Przez całą noc oczekujący poruszali się miarowo i modliwie do przodu i do tyłu, ten bowiem ruch wahadłowy miał być umówionym znakiem dla aniołów. Wiele osób spadło z dachów, bądź z winy ciemności, bądź wierząc że na widok ich skoku przyfruną szybciej aniołowie, aby otulić skrzydłami gorliwych. Trupy roztrzaskane o ziemię nie zniechęciły czekających, lecz — o dziwo! — wznieciły w nich jeszcze większą nadzieję mesjaniczną. Dopiero świt odstąpił prawdę, świt spełnia zawsze taką rolę. Podniosły się krzyki i lamenty, szczególnie gdy zobaczono, że pod osłoną nocy ulotnili się (bez pomocy aniołów) wysłannicy Mesjasza z biżuterią. Długo przeklinano Mesjasza z Bagdadu, który znikł bez śladu.

Asocjacje? Nazbyt okropne, aby je palcem wskazywać.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Po

Tłumaczę

Smell of putrefaction. Bob, poeta kalifornijski, nie rozumiał tej linii. Siedzieliśmy w drewnianym domku i zajmowaliśmy się rozbiorem wiersza, który on z moją pomocą przekładał na angielski. Przez otwarte okno wdzierał się zapach eukaliptusów. W gałęziach sekwoi skrzeczały sójki, szop buszował w śmietniku. Powiedziałam, że to odnośnik historyczny, sytuujący wiersz w konkretnym czasie i miejscu. Nawet się zdziwiłam, że nie pojmuje. Przecież to zapach wojennej Warszawy, trupów na ulicach. Zrujnowane miasto wydziela odór rozkładającej się materii, trwalszy od zniszczenia. — *Putrefaction?* — chciał się upewnić Bob, który lubił myśleć precyzyjnie. — Dokładnie. Zmieszaj zapach rozkładającego się mięsa, krwi, pleśni, rozbitych cegieł. Dodaj woń spalenizny. Gdy raz poznasz ten zapach, rozpoznasz go wszędzie.

Odór rozkładu, ale jak go dokładnie opisać? Symbolami chemicznymi? Towarzyszy pamięci pierwszego domu. A raczej jego otoczenia, bo mieszkanie było strefą wydzieloną, pozornie bezpieczną, nasiąkniętą zapachem życia codziennego. A zewnętrzność wyglądała mniej więcej tak: narożna czynszówka na Walicowie wysoka na cztery piętra, z brudnoszarą fasadą zrytą pociskami i odłamkami granatów, z rzędem osuwających się balkonów. Naprzeciw bramy znajdują się zgłiszczą fabryczki za szczybatym murem. Patrząc w prawo widzę zwaly gruzów ciągnące się od Ceglanej do Żelaznej. Patrząc w lewo, w kierunku Chłodnej, widzę rząd kamienic w zaawansowanym stanie rozkładu. Cała dzielnica jest odrażająca w swojej okaleczonej szpetocie, ale dla mnie jest to widok tak codzienny, że nie wzbudza żadnej emocji. Myślałam, że tak wygląda każde miasto.

Baedecker

Nie zastanawiałam się przedtem, dlaczego Waliców nazywa się Walicowem. Dopiero w Nowym Jorku przeczytałam, że nazwa ulicy pochodzi od Walickiego, kasztelana sochaczewskiego i wojewody rawskiego, którego Stanisław August powołał na stanowisko przewodniczącego Komisji Dobrego Porządku. Miała ona opracować projekt połączenia starej i nowej Warszawy w jednolitą całość administracyjną. Zdaje się, że jak zwykle skończyło się na dobrych intencjach, bo zaraz wkroczyła prywatna. Ten Walicki musiał być obrotnym *entrepreneur*em, bo kupił w wieczystą dzierżawę część gruntów folwarku starościńskiego i teren rozparcelował. W ten sposób powstała osada jego imienia, zajmująca obszar nieforemnego czworoboku między dzisiejszymi ulicami: Chłodną, Żelazną, Grzybowską, Ciepłą. Wzdłuż głównej ulicy, do której przygłęła nazwa Waliców, znajdowały się zrazu trzydzieści dwie parcele. Co roku, na święto Marcina, osadnicy płacili czynsz Walickiemu. Do czasu jednak. Zostali bowiem zwolnieni od opłat przez jurysdykcję grzybowską. Kasztelan procesował się z nimi o swoje przez wiele lat.

Pod koniec XVIII wieku powstały na Walicowie browary, cegielnie i gorzelnie. Zabudowa była mieszana, wiejsko-miejska, i murowane dworki sąsiadowały z drewnianymi chatami pospółstwa. Rok 1794 jest ważną datą dla osady, bo wtedy została formalnie przyłączona do Warszawy. U schyłku XIX wieku zbudowano tam wiele kamienic czynszowych w pobliżu manufaktur i wielkich szklarni przemysłowych. Na Krochmalnej była pewnie wytwórnia krochmalu, na Żelaznej — odlewnie i składy żelazne, a na Kotlarskiej wyrabiano kotły. Nieopodal, na terenie dzisiejszej Hali Mirowskiej znajdowały się koszary, gdzie stacjonował dywizjon żandarmów, więc jeszcze dodajmy stajnie, warsztaty siodlarskie, kuźnie, szynki. No i jakieś nędzne burdele. I błoto, koniecznie dużo błota. Słowem, nie była to godna uwagi dzielnica stolicy Przywiślanii i przewodnik sprzed stu lat, który właśnie wpadł mi w ręce, wiele miejsca jej nie poświęca. Nazywano ją po prostu Dzielnicą Zachodnią.

W Warszawie tych lat ulice były podzielone według kategorii. Do kategorii pierwszej należało na przykład Krakowskie Przedmieście z przyległościami i przepisy zabraniały Żydom zamieszkania w cyrkulach o tak wysokim statusie. Tylko najbogatsi i najbardziej wpływowi mogli uzyskać dyspensę. Natomiast Waliców nie miał takich rasistowskich ograniczeń, więc ludność żydowska osiedlała się tam masowo i w końcu zdominowała go demograficznie. Jak wyglądał ten skrawek miasta w latach międzywojennych, mogę sobie niedokładnie odtworzyć na podstawie

starych fotografii i niektórych opowiadań Izaaka Singera. W każdym razie było ludnie, gęsto i krzykliwie. Czyszówki obwieszzone szyldami, mrowie sklepików i zakładów rzemieślniczych, składy szmat i butelek. Wytwórnice wód gazowanych. Piekarnie i koszerne jatki. Kocie łby i szare mury, w oknach wietrzące się piernaty. Waliców był wtedy dłuższy, bo ciągnął się do Prostej i rozpierała go energia. Po wojnie urywał się na Ceglanej, którą później przemianowano na Pereca. Stał się pusty, ledwie żył.

Miejsce urodzenia

Domowi pod numerem dziesiątym jestem przypisana w metryce urodzenia. Nie jest to ściśle, bo choć data narodzin się zgadza, miejsce trzeba przesunąć o kilka przecznic dalej na południe — na Złotą. Tam właśnie mieściła się prywatna klinika położnicza doktora Stankiewicza. I pod nią pewnego majowego dnia podjechała dorożką młoda kobieta, ofiara przymusu prokreacji bez względu na okoliczności. Mieszkała wtedy we Włochach i wcale nie myślała o przeprowadzce na Waliców, tym bardziej że w jego najbliższym sąsiedztwie od paru tygodni trwała rzeź.

Nazwy „Złota” i „Waliców” pojawiają się w zarządzeniu gubernatora dystryktu warszawskiego, Fischera, o utworzeniu getta w Warszawie. Dokument nosi datę 2 października 1940 roku. Złota oddziela odtąd dzielnicę żydowską od reszty miasta na odcinku od Zielnej do Żelaznej, a Chłodna — od Walicowa do Ciepłej. O ile dobrze zrozumiałam, pod koniec 1941 roku Waliców znajdował się na terenie „małego getta”. Sławetny most przerzucony nad „aryjską” jezdnią ulicy Żelaznej na wysokości Chłodnej znajdował się bardzo blisko mego przyszłego domu. Zastanawiałam się, kto tam wtedy mieszkał, ale może lepiej tego nie dochodzić. Wystarczy w milczeniu obejrzeć album ze zdjęciami getta, żeby zobaczyć zwłoki dzieci zmarłych z głodu na chodnikach. I szkielety obciążone skórą zrzucane z ręcznego wozu do dołu z wapnem.

Gdy po wielkiej akcji likwidacyjnej latem 1942 roku pozostało już tylko getto szczątkowe, w niektórych domach na Walicowie umieszczono niedobitków zatrudnionych przez wielki szop Toebbensa. Wyczytałam, że panowała tam ogromna ciasnota. W jednej izbie upychano po ośmiu-dziesięciu robotników, samych mężczyzn. Nie było żadnych urządzeń sanitarnych, światła, gazu. Do pracy i z powrotem szli w kolumnie marszowej, pod strażą. Jednak nawet mordercza praca nie dawała im prawa do przeżycia. Likwidacja trwała dalej; tym razem niedo-

bitków wywożono głównie do obozu w Trawnikach. Na ulicach szczątkowego getta — odnotował kronikarz — trwała martwa cisza przerywana strzałami patroli SS. Między wysepkami getta istniała bardzo ograniczona łączność. W styczniu 1943 roku niewolnicy usiłowali stawić opór kolejnej akcji przesiedleńczej, ale ponieważ byli bez broni, na około dziesięć tysięcy wysiedlonych tysiąc zostało rozstrzelanych na miejscu. *Smell of putrefaction.*

Gdy wypowiadam słowo „powstanie”, wyobrażam sobie popłoch w mieście, trwożę na widok słupów ognia, walące się ściany domów, krzyk palonych żywcem, pandemonium. Ringelblum przytacza zasłyszane w kwietniu 43 na ulicy lub w tramwaju rozmowy: „Nie żałuj pan, getto to była śmierdząca dzielnica i dobrze się stało, że już jej nie mamy. Odbudujemy tę dzielnicę o wiele piękniejszą, czystsza, ale bez Żydów”.

W świetle takiego komentarza bezrozumny wybór na miejsce porodu kliniki na Złotej nie jest aż tak absurdalny. Ciężarna kobieta chodziła regularnie do dr. Stankiewicza i teraz przyjechała na rozwiązanie. Patrząc przez okna kliniki położniczej w tamtych wiosennych dniach można było ulec złudzeniu, że pada czarny deszcz. Tłuste płatki sadzy niesione wiatrem północnym opadały na prześcieradła położnic. Syrena alarmowa nakazywała zejście do schronu, ale przecież nie brakowało ani eteru, ani jodyny. W niklowanym pojemniku gotowały się kle-szcze, parowała woda na pierwszą kąpiel. Trzymetrowy mur zwieńczony drutem kolczastym zakreślał granicę. Jasność i krzyk po obu jego stronach oznaczały co innego.

Adres

W papierach po zmarłym wuju odnalazłam nieco notatek i koślawy szkic drzewa genealogicznego (karłowate). Znana mi z opowiadań prababka, która umarła w czasie wojny, mieszkała w kamienicy na rogu Złotej i Twardej, może tej samej, która przeszła następnie do krótkiej historii PRL jako miejsce założenia przez Bieruta i ska KRNU. Jej synowie mieli kiedyś cukiernię na Żelaznej pod numerem 45. Pradziadek od innej prababki w chwilach wolnych od walki o prawa klasy robotniczej pracował w fabryce na Woli i był majstrem. Trzykrotnie skazany na zesłanie w głąb Rosji, systematycznie stamtąd uciekał i wracał do Warszawy. Pewnie także mieszkał w Dzielnicy Zachodniej.

W ewidencji rodzinnej adres Waliców 10 pojawił się po raz pierwszy latem 1943 roku. Narożną kamienicę — już opróżnioną, ale w zupełnie znośnym stanie — przejął bank PKO i

zaczęto na nowo wynajmować mieszkania. Pewnie zaludniła się szybko, bo domów w Warszawie przecież brakowało. Moja rodzina wykorzystwała nadarzającą się sposobność. Włochy były adresem przejściowym, po eksmisji z mieszkania służbowego na terenie zakładów „Ursus”. Dziadkowie, rodzice i ja wprowadziliśmy się na trzecie piętro, pod numer dziewiętnasty.

Gdy otwierały się drzwi, widać było najpierw długi korytarz, dzielący mieszkanie na pokoje (było ich cztery, wszystkie w amfiladzie) i część gospodarczą. Do pokoi prowadziły drzwi ze szklanymi szybami u szczytu. Wielka kuchnia ze służbówką mieściła się po prawej, oddzielona od hallu małym korytarzykiem, gdzie znajdowały się również drzwi do (nieczynnej) łazienki i ubikacji. Do kuchni można się też było dostać wejściem służbowym. Prowadziły tam z podwórza drewniane schody, ciemne i upstrzone kocimi odchodami.

Kobiety w mojej rodzinie przejawiały zamiłowanie do porządku, a latem 43 roku mieszkanie wymagało solidnego remontu. Z początku unosił się swąd spalenizny. Wezwano zduna, który za winowajcę uznał piec kuchenny. Kiedy rozkręcił kolanko, wysypały się z niego tysiące zagazowanych karaluchów. Było ich tyle, że trzeba było szufelką zgarniać trzeszczącą chitynę.

Wszystko to należy do prehistorii, bo pierwsze własne wspomnienia domu są co najmniej o trzy lata późniejsze. Na razie odnotowuję to, co ustaliłam w trakcie dochodzenia początków. Więć mieliśmy dość obszerny dach nad głową. Był to okres, kiedy moja matka pracowała w cukierni, a dziadek i ojciec w fabryce. Babka wychodziła z domu rzadko, bo stale chorowała. Należałoby tu dodać, że latem 43 zgodzono do mnie niańkę, Żydówkę na aryjskich papierach. Odeszła po kilku miesiącach, ale dlaczego, a przede wszystkim dokąd — nie udało mi się ustalić. Zostało jej niewyraźne zdjęcie. Była też pomoc, ale to był również element ruchomy w mieszkaniu. Jedną z tych pomocy została nakryta w alkwie przy kuchni w objęciach Pana Starszego. Oboje spali, zmęczeni. Po tym wstydliwym epizodzie przyjmowano do posług kobiety brzydkie, zmieniano je często, by na koniec obowiązki kuchty scedować na moją matkę.

Dom ocalał także z drugiego powstania, pod naszą w nim nieobecność. Rano pierwszego sierpnia ojciec, matka i chwilowa służąca wsiadli do kolejki EKD i pojechali pod Warszawę po zakupy żywności. Ojciec wprawdzie był w konspiracji, ale chyba ostrzegł go instynkt i o godzinie zero znalazł się w bezpiecznej odległości od miejsca zbiórki. Ojciec lubił wojsko i czule wspominał czasy w podchorążówce, ale jako rodzaj obozu sportowego, wakacji dla atletów. W jego wołę walki natomiast powat-

piewam, nie czyniąc mu z tego powodu wyrzutów. Podobno bał się panicznie nalotów i w takich razach chował się do klozetu. Obawy takie rozumiem, a nawet podzielam na wypadek burzy.

Słowem rodzice zostawili mnie pod opieką dziadków i odtąd przez następne dwa miesiące mogli oglądać, jak na odległym ekranie, co działo się z miastem. Nieliczni uciekinierzy na pytanie co ze śródmieściem wznosili znacząco oczy ku niebu. A z nieba leciało żelazo. W związku z tym moja matka przechodziła stany mistyczne i składała liczne obietnice Bogu. Następnie ich nie dotrzymała, ale przecież podjęła je w warunkach przymusu. Miała też proroczy sen, w którym głos jej matki zapewniał ją, że wszyscy wyjdą żywi, prócz naszego pudła, a ja cudem ocaleję. I tak też się stało. Wiadomość ze snu słowo w słowo powtórzył brat matki-powstaniec, gdy wydostał się z Warszawy. Pies pewnie został zjedzony. Ja natomiast zaraziłam się w schronie na Marszałkowskiej krwawą dyzenterią i w miarę postępu choroby cofałam się w rozwoju. Ale przecież jestem. Połączenie rodziny nastąpiło w obozie przejściowym w Pruszkowie, gdzie matka zgłosiła się w charakterze wolontariuszki miłośniczki. Wyprowadziła stamtąd nas, jak i pewną liczbę nieznajomych.

Stalość

Na Waliców wróciliśmy wczesną wiosną 45, po zimie spędzonej w chłopskiej chacie. Trzeba się było spieszyć, żeby inni nie wprowadzili się do mieszkania. I znów szukano szklarzy, malarzy, zdunów, o co było trudniej, bo wyginęli. Stopniowo jednak życie w narożnej czynszówce wracało do normy. Myślę, że toczyło się jak przed wojną albo prawie tak samo. Warszawa tuż powojenna w obyczajach przypominała przedwojenną i stare nawyki okazały się trwalsze od domów, ulic i ludzi. Więc choć naokoło ruiny i *smell of putrefaction*, czas jakby stanął. Podwórze wyglądało jak ze stronic Prusa. W kamienicznej Warszawie jest coś takiego co pcha w naturalizm, żadnej podniety dla wyobraźni. No bo proszę: pośrodku podwórza stoi trzepak, obok drewniana skrzynia na śmiecie, cuchnąca zbutwiałymi resztkami, do których ciągną szczury i szkieletowate koty. Z dna ospowatej od pocisków studni docierają na trzecie piętro rytmiczne razy trzepaczek i nawoływania domokrążców. Zawodzą urywanymi krzykami gałganiarze, Cyganie błyskają patelniami, wędrowni szlifierze ostrzą noże w snopie iskier. Z akompaniamentem akordeonu i mandoliny chrypią śpiewacy uliczni, którym zrzuca się pieniądze zawinięte w papierek. Najczęściej śpiewali:

Warszawo ty moja Warszawo
i
Siekiera motyka

Na podwórzu zachodzą też kaleki, mnóstwo kalek. Mężczyźni o kulach, z pustymi nogawkami lub rękawami, wyciągają bez słowa czapkę. Z sutereny patrzą na nich maglujące baby. Z klitki szewca na parterze dochodzi miarowy stukot młotka. Dzień podwórzowy rozpoczynają szare mleczarki w tułubach z koca, brzęcząc blaszankami. Wieczorem pijany stróż zamyka bramę na klucz.

Nic dziwnego, że od baśni przesłam szybko do Zoli.

„Je me souviens”

Najbardziej utrwalił mi się wzrokowo pokój dziadków, pierwszy od drzwi frontowych. Miał ściany pomalowane w niebiesko-srebrny wzorek i sufit zdobiony gipsową sztukaterią. Z okien zwisały się koronkowe firany i kotary z szafirowego brokatu w srebrne kwiaty. Komplet tapicerski był także szafirowy — tapczan, kozetka, fotel. Na szafce przy tapczanie świeciła nocą lampka z niebieską żarówką. W rogu pod oknem stała biblioteczka z grzbietami klasyków, głównie rodzimych. Oraz encyklopedie zdrowia i atlasy anatomiczne w dwu tomach, o mężczyźnie i kobiecie. Medyczna Ewa na kolorowej rycinie miała brzuch z klapką. Gdy się ją uchylało, ukazywał się zwinęty jak robak płód.

Pod ścianą koło kozetki znajdowała się toaletka z dużym lustrem, a na niej — kryształowe pulweryzatory. Obok wisiała fotografia młodego dziadka, spłowiła sepia w owalnej ramie. Jedyny w pokoju obraz przedstawiał żołnierza trzymającego za uzdę konia u wodopoju. Nie wykluczam, że namalował go brat matki, niezdarnie kopiując dzieło polskiego kiczu patriotycznego.

Drugi pokój był na co dzień jadalnią. Pośrodku stał okrągły stół dębowy w otoczeniu krzesel o wysokich oparciach, wyściełanych spękana brunatną skórą. Pod oknem stało masywne biurko należące do dębowego kompletu, na nim maszyna do pisania obok staroświeckich przyborów: kałamarza i suszki z marmuru. Prawy róg biurka zajmowała lampa z brązu w kształcie drzewa palmowego, z zielonym szklanym kloszem. Najbardziej nieużytecznym przedmiotem była ciężka figura górnika odlana z brązu i ocalona z przedwojennego mieszkania ze względu na sentymentalnych. Górnik i wiszący nad biurkiem zbiór fotografii, jakby nagrobkowych, w fantazyjnych ramach, były da-

rami dla dziadka od wdzięcznych podwładnych z odlewni w zakładach „Ursus”. Na zdjęciach wszyscy mają wąsy, łącznie z moim dziadkiem, który figuruje pośrodku i jest większy od innych.

To była jego przestrzeń. Na tej samej ścianie stał też rzeźbiony kredens z serwantką. Za kryształowymi szybkami rżniętymi w romby stał komplet do herbaty z porcelany w stylu japońskim. A także patery i komplety stołowe, kryształowe barwne kielichy na wysokich nóżkach. W futerałach spoczywały plater i srebra. To była przestrzeń babki.

Dwa pokoje za stołowym zajmowali moi rodzice. Te pamiętam najślabiej, może dlatego, że matka stale zmieniała konfigurację mebli. W pokoju narożnym stało moje łóżko — białe, metalowe, z ochronną siatką.

Kuchnia natomiast emanowała ciepłem i unosił się z niej bukiet zapachów: smażonego mięsa, mydlin, gotowanych kalafiorów, kopru gnijącego w słoju. Obok okna stał stół kuchenny z wyszorowanych do białości desek, szafot ryb i kur. Nad nim wisiały sita, durszlaki i stolnica. Pod parapetem znajdowała się spiżarka, bo ktoś wtedy myślał o lodówce. Z drugiej strony okna były drzwi kuchenne zamknięte na sztabę. I dalej, w lewym rogu mieściła się duża wnęka zwana alkową, z antresolą, surogatem strychu. Pod ścianą naprzeciwko kaflowej kuchni stał niebiesko lakierowany kredens z zapasami w stanie sypkim i suchym. Między innymi z płatkami owsianymi, na które wtedy mówiło się herkulo.

Imiona rodziców; nazwisko panięskie matki

W zasadzie zajmowaliśmy mieszkanie w pięcioro, ale ciągle ktoś się wprowadzał i wyprowadzał. Rodzice ścieśniali przestrzeń życiową do jednego pokoju, kozetka wędrowała do stołowego, z antresoli zносиło się łóżko polowe. Mieszkańcy ciemnej alkowy zmieniali się najczęściej.

Babka była niestara i powabnie ubrana, najczęściej na fiolkowo i popielato. Brano ją za moją matkę, co łechtało jej próżność. Miała kasztanowe włosy i duże brązowe oczy. Pachniała *Soir de Paris*. Często leżała w ciągu dnia i z pokoju dziadków unosił się melancholijny zapach lekarstw. Pijawki przeciągały się w szklanej kuli na szafce nocnej i obmacywały ścianki grubymi wargami. Babka, polegając z kompresami na czole, przystawiała sobie za uchem pijawkę, która nabrzmiwała jej krwią. Robiła sobie zastrzyki z brunatnego wyciągu z wątroby, połykała proszki w opłatku i często wzywała lekarzy. Powtarzała często: — O, jak mnie serce boli. Obiecała, że gdy umrze, zostawi mi

swój pierścionek z szafiru w otoczeniu brylancików. Ponieważ pierścionek mi się podobał, dopytywałam, kiedy w końcu umrze. Nie rozumiałam żalu w jej głosie. Śmierć — byłam wtedy przekonana — była rodzajem wyjazdu na dłużej i dalej, niż zwykłe wakacje.

Babka miewała humory, a nawet skłonność do hysterii. Mówiło się po cichu, że kiedyś się truła. Zapamiętałam ton jej głosu, miękki i śpiewny, różny od warszawskiego akcentu pozostałych krewnych. Dużo później dowiedziałam się, że jej matkę, Rosjankę o śmiesznym nazwisku, przywiózł sobie z Chersonia, miejsca jednego z zesłań, pradiadek-rewolucjonista, który brał także udział w odbiciu Dziesięciu z Pawiaka. Była to sensacja Warszawy w kwietniu 1906 roku. Grupa bojowców PPS przebranych w mundury żandarmów wykradła wtedy swoich towarzyszy skazanych na śmierć, i to tuż przed egzekucją w Cyta-deli. Akcją kierował Jur Gorzechowski, udający rotmistrza żandarmerii, barona von Budberga. Pradiadkowi przypadła pośledniejsza rola, ale jednak. Ten wyznawca idei zbrojnej nie był natomiast człowiekiem stałym w uczuciach, bo porzucił rosyjską żonę z pięciorgiem dzieci dla innej kobiety. Stąd legenda jego w rodzinie nie była tak silna, jak by na to zasługiwały jego czyny. Gdy w Rosji zawrzało, pojechał wspierać swoich towarzyszy, i tyle go było. Zaginął bez śladu, mimo usilnych poszukiwań syna, też pepeesowca. Jego rosyjska żona zmarła ze zgrzyoty i suchot w czterdziestym czwartym roku życia, ale póki żyła, starała się zasłużyć na tytuł honorowej matki-Polki. Wiem o niej tyle, że jedynie gdy mleko kipiało, traciła kontrolę językową i sobaczyła po rosyjsku. Chciała jednak zostać pochowana u siebie, w jakimś folwarczku pod Chersoniem. I tak się stało.

Jej starszą córkę, czyli moją babkę, kobiety chasydzkie przed wojną zagadywały na ulicy w jidisz. Brały ją za swoją. Ona się wtedy okropnie srożyła i syczała, że nie rozumie. Te jednak nie wierzyły i uważały, że udaje gojkę. Rzecz nie jest do końca wyjaśniona, kto miał rację. Babka wprawdzie nosiła złoty krzyżyk na grubym łańcuszku, ale nie przypominam sobie, żeby chodziła do kościoła. W młodości grywała w teatrach amatorskich i półzawodowych, podkochiwała się w Mieczysławie Milewskim — swoim partnerze w założymy to „Skizie”. I obie z moją matką uczyły mnie na pamięć wierszy. Ubolewam jednak nad ich repertuarem, który wyciskał łzy:

Nie miała Kasieńka ni ojca ni matki

albo:

Mamo najmiłsza bądź zdrowa

Licząc na moje niewątpliwe uzdolnienia artystyczne babka

kupiła poniemieckie pianino i sprowadziła nauczyciela, który nas obie bez powodzenia uczył z zeszytu Różyckiego. Ożywiałam się dopiero przy „kotletach”, które grałyśmy na cztery ręce po wyjściu zatabaczonego nudziarza.

Kuźnia

Dziadek był postawnym mężczyzną ze szpakowatymi włosami w falach i jasnymi oczami. Pod nosem miał szczoteczkę wąsów. Golił się brzytwą, długo ją najpierw ostrząc na skórzanym pasie. Nosił garnitury z kamizelką; z kieszonki zwieszała się dewizka omegi. Po wojnie założył odlewnię na Dworskiej, ale z upodobań nie był kapitalistą. Odwrotnie, z takimi jak on sam walczył w młodości. Pierwszą wojnę spędził w Kijowie, wówczas jako czeladnik ewakuowany z całą fabryką, a po rewolucji, jak dowiedziałam się z niemałym zdumieniem czytając jego odręczny życiorys — był krótko komisarzem do spraw polskich. Wrócił do Polski w 1918. Z okresu rosyjskiego znał Woroszyłowa, który o dawnego towarzysza partyjnego bardzo dopytywał się, gdy przyjechał z wizytą do Warszawy zaraz po drugiej wojnie. Dalej wyczytałam w życiorysie, że do 1922 roku mój dziadek był członkiem PPS-Frakcji Rewolucyjnej, przemienionej następnie w KPP. Ponieważ dokument był pisany w 1949, zawierał mnóstwo ostrożnych przemilczeń. Fakt wycofania się z czynnego życia partyjnego dziadek tłumaczył złym stanem zdrowia. Łgał, nic mu nie było. To babka, córka rewolucjonisty, zmusiła go do tego. Więc dziadek, który — mówiąc jego słowami — „odlewał od wczesnej młodości”, nadwyżki energii użytkował odtąd wyłącznie w zawodzie. Jeździł na praktyki do Szwajcarii, opatentował kilka wynalazków i udzielał się potem w piśmie *Odlewnik Polski*.

Pochodził z wielodzietnej rodziny, sądząc po nazwisku — z Węgier. Wedle nie sprawdzonego podania część jego przodków po kądzieli przywędrowała do Polski z Francji. Miała kolejne dziwnie brzmiące nazwisko i kiedy w Yale zapytałam zaprzyjaźnionego językoznawcę o jego etymologię, wyśmiał moją rzekomą galijską domieszkę krwi. Jego zdaniem był to raczej zniekształcony wyraz „rabinek”. Więc może moi francuscy przodkowie pochodzili z Portugalii (śląd samogłoski nosowej w nazwisku) i byli sefardyjczykami. Kto ich tam zresztą wie.

Do odlewni na Dworską nosiło się dziadkowi obiad w piętrowych menażkach. Szło się Ceglana, Żelazna, Chłodna w kierunku Woli i wcale nie dziwił wygląd miasta. Po obu stronach ulic ciągnęły się rumowiska i parterowe budynki kryte papą. W ocalałych murach wykuto krzywe okienka. Ceglany pył wciskał

się do nosa, napisy wapnem zapewniały: „Min niet. Żygajło”, z pogiętych latarni wystawały zwoje przewodów, jak wyprute flaki. Odlewnia była wzniesiona ze szerniałej cegły i miała dziedziniec wybrukowany kocimi łbami. Dziadek w granatowym ochronnym fartuchu wstawał zza biurka w kantorze i prowadził mnie do hali, gdzie stał piec hutniczy z okrągłym wizjerem. Migotał w nim jasnoblękitny płomień. I niebieski był dla mnie kolorem tajemnicy, marzenia: żarówki w lampie nocnej, buteleczek po *Soir de Paris*, teatru dziecięcego o nazwie „Niebieskie Migdały”. Chronił przed natarczywością gruzów.

Sublokatorzy

Zaliczam do nich poniekąd mojego ojca, który był krępy męczyzną z ciemnymi, gładko przyczesanymi włosami. Należał do gatunku ciężko przystojnych. Niedokończony inżynier. Już wtedy był dla mnie nieprzenikniony. W domu nie bardzo go lubiano, bo charakter miał trudny i jego obecność na Walicowie słabo wryła mi się w pamięć.

Mimo nienajlepszego doświadczenia z nim, lubiłam mężczyzn ogromnie. Atrakcyjny był nawet młodszy brat dziadka, który zaraz po wojnie wrócił ze Szwecji i stopniowo dogorywał na naszej gościnnej kozetce. Pluł do chusteczki krwią, co było intrygujące, i na dodatek sam sobie robił zastrzyki z insuliny. Czasami brał mnie na spacer do Ogrodu Saskiego, gdzie grałszy w serso. Kaszłał coraz bardziej i zaraz potem go nie było. Jakby zniknął, zdmuchnięty z Walicowa. Ma dla mnie konsystencję zjawy w czarnych kamaszach i obowiązkowo białych skarpetkach.

Innym zagadkowym sublokatozem był Józefowicz. Tak się o nim wyłącznie mówiło. Sprowadziła go sobie siostra babki, też nasza sublokatorka, wojenna wdowa z potrzebami cielesnymi. Ale choć go potem rzuciła, Józefowicz nie ruszył się z alkowy. Był fryzjerem męskim, znieawidzonym przez babkę i matkę, które go nazywały „ten folksdojcz” — słowo to dla mnie było zagadkowe — ale nigdy w jego obecności. Do Józefowicza czasem zaglądałam, albo go przynajmniej podglądałam. Alkowa za jego pobytu śmierzdziała zwiędłą cebulą. Nad łóżkiem polowym przykrytym kocem z wojłoku Józefowicz zawiesił sobie duży portret Generalissimusa wycięty z gazety, także jako puklerz przed furiami kobiet. Pamiętam go stale, w tej samej pozycji: siedzący na łóżku zgarbiony, z twarzą jak kiszony ogórek i je salceson albo śledzia z papieru. Na tym go historia żegna.

Po

W spiżarni pod oknem kuchennym stały puszki oliwkowego koloru bez etykietek. W większych był sok pomarańczowy, w mniejszych — mleko skondensowane. Z paczek UNRRA pochodziła też oranżada w proszku w porcjowanych torebkach. Wszystkie te rzeczy miały smak Ameryki. Ubrana byłam od małego w amerykańskie ubrania. Nazwę „Ameryka” powtarzałam z upodobaniem i umieszczałam tę krainę dobrobytu niewątpliwie ponad ziemią, przynajmniej w połowie drogi do nieba.

Na Walicowie wszystko było po kimś: mieszkanie, meble, ubrania, zastawa stołowa. O domu mówiło się, że jest pożydowski, a o sprzętach, że są ponemieckie. Te dwa słowa wymawiało się bez zastanowienia i brzmiały tak naturalnie, jak szaber. Meble oprawców w domach ofiar. Ale nic w tym mieszkaniu nie straszło. Stoły i krzesła statecznie stały na nogach, nad gruzami nie unosiły się duchy. Materia była niewzruszona.

Rejestr rzeczy ruchomych

Rok 1947 był chyba najlepszy dla odlewni. Kobiety chodziły do krawcowej, modystki, bieliźniarki. Już nie wystarczały ubrania z UNRRY, płaszcze szyte z koca, drewniaki na lato i kapce na zimę. Matka i babka nosiły pantofle na korku, z wierzchami z nubuku lub jaszczurki, zamawiały u kuśnierza karakuły, błamy na pelisy, lisa ze szklanymi oczami. Nosiły biusthaltery z koronką, milanezowe kombinacje, figi z falbankami, „kryptałki”, pierwsze nylony z czarnym szwem. Stały się zachłanne na szelest francuskiego jedwabiu, zamawiały kostiumy w stylu *New Look*, suknie z baskinkami, kapelusze z dużym rondem i woalkami. Idąc do miasta, między ruiny, naciągały rękawiczki *glacé* i wpinały broszki. Chodziły do fryzjera na trwałą wodną, malowały się francuskim różem i pomadkami. Wozily mnie do swoich krawcowych, robiły na miarę sukienki z seledynowego aksamitu i różowej tafty, futro z piżmowców. Na specjalne okazje kręcono mi anglezy gorącymi żelazkami.

Letnisko w Świdrze też już nie wystarczało. Należało jeździć do Międzyzdrojów, Sopotu, do prywatnych pensjonatów. Na plaży dorośli obmacywali się w koszulach obitych pasiastym płótnem. Z głośników rozlegały się stosowne szlagiery:

Pocałuj raz pocałuj dwa dziś nie odmawiam ci

Na dancingu moja matka wygrała tort za popisowe boogie-

woogie. Znaczący kobiety mówili do niej „Gilda”. Tyrmand prowadził pogadanki jazzowe w YMCE na Wale Miedzeszyńskim. Wakacyjne podróże odbywało się *sleepingiem*, ale szczytem luksusu była salonka. Do Krakowa można już było polecieć samolotem z demobilu, z twardymi ławkami wzdłuż kadłuba. Po Warszawie należało najpierw poruszać się riksą, potem czerwonym piętusem, ale najlepiej taksówką — chevroletem. Staliśmy się posiadaczami czarnego vauxhalla ze skórzanymi siedzeniami i z kierownicą po prawej stronie.

Groby

Nie wiem kto wzbudził we mnie potrzeby metafizyczne. W domu, jak myślę, czciło się tylko śmierć. Wtedy nabożeństwa żałobne, gromnice i wieńce z fioletowymi szarfami, kapelusze z kirem, welony zarzucane na twarz, obowiązkowo czarne pończochy. Żałobę nosiło się długo i w ówczesnej Warszawie zapamiętałam mnóstwo czarno ubranych kobiet.

Po śmierci babki nosiłam czarną opaskę na rękawie i nie pytana chwaliłam się: — A moja babcia umarła. Dzieci wyraźnie mi zazdrościły. Pogrzeby były nadal zjazdami rodzinnymi i trasę na Bródno znałam na pamięć. W drewnianym kościele rozległa się Ave Maria na zdarty alt z jęklivą wiolonczelą, potem kondukt długo sunął główną aleją. Stało się na warcie do końca, czekając aż pijani grabarze zamurują trumnę. Spłakani i zmęczeni, ale z poczuciem spełnionego obowiązku, szliśmy rozgrzać się do knajpy naprzeciwko muru cmentarnego, przed właściwą stypą. Bródno lubiłam, bo było lepsze niż tajemniczy ogród. Szczególnie w Zaduszki, gdy migotały płomyki zniczów. Najwspanialej było na grobach cygańskich. Krewni zmarłych ucztowali i pili, zostawiając nieboszczykom poczęstunek. A pod cmentarzem trwał odpust, gdzie raz tylko udało mi się naciągnąć matkę na szklany domek. Jest to dotychczas jedyny domek, jaki posiadam.

Dziadek nie podzielał tych turpistycznych pasji. Jego żywiołem był przecież ogień, rozgrzana do białości struga metalu. Przed wojną był komendantem ochotniczej straży ogniowej. Przechowywał wśród swoich skarbów błyszczący kask i toporek. Jednak na starość przespał pożar we własnym domu. Od czajnika elektrycznego zajęła się paka z węglem, podłoga i niebieski kredens. Sąsiedzi, dostrzegłszy w oknie kuchennym łunę, wezwali straż. Strażacy wyłamali drzwi kuchenne i pożar ugasili. A myśmy spali, zaczadzeni.

Ten pożar mógł być sygnałem ostrzegawczym, któregośmy nie pojęli. Bo już się kończył krótki okres dobrobytu, a babka

uczyła mnie nowych nazw chorób. Trumnę trzeba było spuszczać z okna na sznurach, bo nie mieściła się na klatce schodowej. Sąsiedzi wylegli, żeby sobie popatrzeć. Mieliśmy w kamienicy opinię lepszego towarzystwa.

To była jesień 1949; zaraz potem odlewnię upaństwowiono i przyszła wymiana pieniędzy. Czarne Citroëny BL 11 budziły na ulicy zrozumiały popłoch. Słowem, którego lękałam się najbardziej stały się domiary. Komornicy z rozbieganymi oczami zapisywali meble. Odebrano nam vauxhalla, saharę i pianino. Odtąd postanowiłam nie przywiązywać się do rzeczy.

Także do domów. Moi rodzice wyprowadzili się z Walicowa, dziadek ożenił się pospiesznie po raz wtóry, ale i tak dokwaterowano mu lokatorów. Nasze dwa pokoje zajęła rodzina buchaltera z odlewni. Do stołowego wprowadziła się siostra dziadka, niedoszła tancerka. A dom zaroił się obcymi ludźmi i ich krewnymi. Kuchnia była kotchozowa.

Kiedy umarł dziadek, a potem jego druga żona, moja cioteczna babka zajęła dawną szafirową sypialnię i zgromadziła w niej wszystkie pozostałe meble. Odwiedzając ją, przychodziłam do antykwariatu wspomnień. Z kozetki wystawało włosie, blat biurka służył za stół kuchenny. Tapczan miał góry i doły, ale — rzecz dziwna — gdy otworzyło się drzwiczki serwantki, można było wyczuć zapach babki: *Soir de Paris* i wyschniętej skórki cytrynowej. Cioteczna babka, tłamszona przez rosnącą zgraję szybko rozmnażających się współlokatorów, liczyła, że dom pójdzie do rozbiórki, a ona dostanie mieszkanie z przydziału. Nie doczekała się. Kiedy przejeżdżałam Żelazną po siedemnastu latach nieobecności w Polsce, dostrzegłam, że ta rudera ciągle stoi. *Smell of putrefaction*.

Iluminacja

W 1973 poszłam do kina na „Iluminację” Zanussiego. Bohater filmu, student relegowany za Marzec 68, szuka z żoną pokoju sublokatorskiego. Trafia do typowej starej czynszówki. Dzwoni do drzwi wejściowych, które otwiera wdowa po buchalterze, ta sama, która z rodziną zamieszkała niegdyś w naszym narożnym pokoju. Prowadzi studenta — grał go Staszek Latało — do pokoju do wynajęcia zastawionego meblami mojego dzieciństwa. Kamera najeżdża na fotografię młodego dziadka, spłowiła sepię. Ta scena była nakręcona na Walicowie, w mieszkaniu pod dziewiętnastym, w pokoju, od którego zaczyna się moja pamięć.

Staszek Latało zginął wkrótce potem w Himalajach. Przedmioty utrwalone w filmie Zanussiego rozeszły się w nie-

znane po śmierci ciotecznej babki. Nikt z pozostałych krewnych ich nie chciał, nie mieściły się w ciasnych nowych mieszczaniach. Zresztą co to za meble — zwykłe stare graty.

Myślę o nich niekiedy jako o świadkach, ale kogo i czego, nie potrafię powiedzieć.

Renata GORCZYŃSKA

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach*. Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkowicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.

Wybór poprzedza wstęp Stefanii Kossowskiej.

Str. 335

Cena F. 100,00

Wiersze

Stanisław BREJDYGANT

Zapewnem wysłał sygnał
nic nie wiedząc o tym
ja — meteoryt w pustce

Tyś odpowiedziała

Poczułem rękę Boga
Wstrzymała spadanie

Gdzie jestem — czarna dziura
albo biały karzeł
Oddech wstrzymałem
Wiem
Nie ma przemijania
I wołam prawnuk Fausta
„chwilo trwaj”

Trwa ona

gdy ja przebudzony
trzymam w ramionach Wszechświat
Twoje śpiące ciało

11. VI. 90

GOLGOTA

Podąłem Mu gąbkę
pełną wody z octem

Chłód i wilgoć
ulga i ból
Zarazem
Wróciła świadomość
I zmysły
Na chwilę

Wzrok Jego spoczął na mnie
miłosiernym oprawcy

Nim umrze
niech przełknie
niech się wreszcie przedrze
tam
na drugą stronę
do Ojca
skoro wierzy Ojcu

Przez żar i płomienie w gardle
niech się przetoczy wąski strumień śliny

Sprawiam mu ulgę
pomagam wykrzyzczyć pytanie

Opuścił Go
Zaiste

Zostaliśmy sami
On i my
oprawcy i bliźni oprawców

To za nas wykrzyzczał nim skonał:
„Elái Elái: Lamá Sabachtaní!”

Tallin-Warszawa
10/11. III. 92

Stanisław BREJDIYGANT

Stanisław DŁUSKI

WSŁUCHANY

Zbigniewowi Herbertowi

Zgiełk coraz większy.
Poeci tracą słuch.
Krzyk stał się modlitwą
cichych i pokornego serca.
Prawda broni się historią.
Zło uśmiecha się do dobra.
Dobro stroi złe miny.
Skrada się noc.

A ja, zapomniany przez
siebie, w traw szelest,
lot trzmieli, oddech ptaków.
wsłuchany, ziemi oddany
(1992)

Stanisław DŁUSKI

Jacek KACZMARSKI

LUTER

W zamku Wartburg, na stromym urwisku
(Te niemieckie przepaście i szczyty)
Wbrew mej woli, a gwoli ucisku
Wyniesiony pod boskie błękity
Pismo Święte z wszechwładnej łaciny
Na swój własny język przekładam:
Ożywają po wiekach
Dawne cuda i czyny,
Matką Ewa znów, Ojcem znów — Adam.

Bliźnim jest mi tragiczny Abraham
Gdy poświęcić ma syna w ofierze;
Widzę ogień na Sodomy dachach,
Gdzie zwęglają się grzeszni w niewierze.
Bezmiar winy i kary surowość

Brzmia prawdziwie w mym szorstkim języku.
Na początku jest słowo,
I okrutnie brzmi słowo,
Ale spójrz wokół siebie, krytyku!

Grzechy Rzym za gotówkę odpuszcza,
Lecz w wojennej się nurza rozkoszy.
Papież w zbroi, w ubóstwie tkwi tłuszczca,
Z której groszy katedry się wznosi.
W nawach katedr transakcje wszeteczne
Ksiądz spowiednik rozgrzesza za bilon.
Tak jest, było i będzie,
Zło i dobro jest wieczne,
Lecz nie może być wieczny — Babilon!

Z tym walczyłem ja, mnich Augustinianin,
Moralności teolog: to przytyk,
Bo w Stolicy wołał — poganin!
Reformator, heretyk, polityk!
Tak, papieską ja bullę spaliłem,
Lecz szukajcie miast, które on spalił!
Ja na grotach kościelnych
Tezy swoje przybiłem,
On mnie wyklął, a mnisi śpiewali.

Słowa palą, więc pali się słowa:
Nikt o treści popiołów nie pyta.
Ale moja ze Stwórcą rozmowa
Jak Syn Jego — do drzewa przybita!
Niech się gorszy prałacia elita,
Niech się w mękach świat tworzy od nowa!
Lecz niech czyta, kto umie,
Niech nauczy się czytać!
Niech powraca do Słowa! Do słowa!

5. 12. 91

Jacek KACZMARSKI

Archiwum polityczne

Widziane z Moskwy i Brukseli

KRAJOBRAZ (ROK) PO PUCZU

Motto: „Nie jest to może dobra książka o Rosji 1839 roku, ale jest to z pewnością doskonała książka, niewątpliwie najlepsza ze wszystkich, o Rosji Stalina i całkiem niezła książka o Rosji Breżniewa i Kosygina”.

George Kennan o „Listach z Rosji” Markiza de Custine

Zgadzam się z Kennanem. Mogę tylko dodać, że ta książka o Rosji cara, Stalina i Breżniewa, jest także pomocna w zrozumieniu Rosji Jelcyna. I zgadzam się z de Custinem, że „podróżowanie to prawdziwe nieszczęście”. Zwłaszcza do Rosji. Nieszczęście de Custina musiało być ogromne. Narodziła się przecież z niego wielka, pod każdym względem, książka, składająca się, w pełnym tekście, z czterech 400-stronicowych tomów, zawierających każdy po 36 listów. W moim przypadku nieszczęście musiało być, choć trudno to sprawdzić, niepomernie mniejsze. Zmieści się w kilku krótkich listach. Kolejność obojętna.

List z cmentarza

Zieleń, przycienione uliczki między tradycyjnymi metalowymi ogrodzeniami okalającymi groby, cmentarz Wagankowo w Moskwie to przystań (głównie wiecznego spokoju), niedaleko centrum Moskwy. Byłem tam w przeddzień pierwszej rocznicy puczu z 19 sierpnia 1991 roku. Tylko w kilku miejscach, przy kilku grobach, grupy ludzi, niektóre z przewodnikami. Sporo kwiatów i świec, dużo starych fotografii i świeżych krzyży.

Pierwszy przystanek, tuż przy wejściu na cmentarz, to grobowiec Władimira Wysockiego. Pieśniarz i poeta, Wysocki to ciągle, a nawet dziś bardziej niż kiedyś, idol i sumienie Rosjan. Tłum się kłębi, grobowiec tonie w kwiatach. Niektórzy płaczą, ktoś recytuje, a potem nawet śpiewa jakiś wiersz Wysockiego...

Kilkaset metrów dalej, tuż za tylną ścianą krematorium, kilka grobów obok siebie. Dwa zadbane. Najbardziej ukwiecony, choć mniej od Wysockiego, pod wielkim krzyżem z drzewa, to grób Igora Talkowa. Kto to jest, a raczej był? Kogo tutaj ludzie wspominają z tak wyraźną czułością i nieukrywaniem żalem? Talkow był także pieśniarzem i poetą. Nowoczesnym. Śpiewał „rock” i „country”, pomieszanie rosyjskiej duszy z politycznym protestem i patriotycznym zadęciem.

Talkow został niedawno zamordowany w niejasnych ciągle okolicznościach, na zasadzie porachunków gdzie krzyżowały się interesy mafii, miłość do przepięknej Azyty, śpiewaczki uzbeckiej, i zazdrość rywala. Fakt, że Talkow opiewał wielkość Wielkiej Rosji i że jego rzekomy zabójca ukrywa się, też rzekomo, w Izraelu, sprawia, że w tłumie otaczającym jego grób złączeni są w żalu młodzi miłośnicy wysokich decybeli i starzy „prawdziwi patrioci”.

Obok Talkowa, większy, ponad 2-metrowy, także pod kwiatami, ale ponadto pod ogromnym pomnikiem, naturalnej a może i więcej, wielkości, leży, a w betonie i stoi, Aleksander Jaszyn, największy futbolista sowiecki, dziś jeszcze uznawany za największego bramkarza Europy.

Tuż obok dziwna pustka. Nie ma nikogo wokół czy przed wielką zimną płytą betonową. Ani jednego świeżego kwiatka, tylko kilka zwiedłych badyli przypadkowo zapewne przyniesionych wiatrem. To wspólny grobowiec. Płyta kryje trzy ciała, których nazwiska z trudem tylko odczytać można z trzech brudnawych małych tabliczek drewnianych. Tak, dokładnie w przeddzień pierwszej rocznicy i śmierci, wygląda grób trojga ludzi, „bohaterów barykad”, jedyne bezpośrednie ofiary niedanego puczu.

Przez rok żaden przechodzień, nikt, z wyjątkiem najbliższych, a i oni szybko przestali tu płakać, nie przystanął, nie zakłócił spokoju „bohaterów poległych za demokrację”. Naturalnie, 24 godziny po mojej wizycie krajobraz się zmieni. Na płycie stanie pomnik. Będą kwiaty i przemówienia, zapewne nieco też, będzie naturalnie rodzina.

A przecież to tylko rok. Ponad milion moskwičan szło przed rokiem w kondukcje poległych na barykadach broniących Białego Domu, parlamentu, fortecy Borysa Jelcyna. Kondukt przeszedł Moskwą w szpalerze łkających ludzi i rzucanych kwiatów. Władimir Ussow, księgowy, lat 37, Ilia Kryczewski, archi-

tekt, lat 26, Dymitri Komar, lat 23, weteran z Afganistanu, zostali pośmiertnie, dekretem prezydenta Gorbaczowa, mianowani „bohaterami ZSSR”. Pochód, prowadzony przez kilku popów i rabina (Kryczewski był Żydem), zatrzymał się przed Białym Domem, aby Borys Jelcyn mógł oddać hołd bohaterom i przeprosić ich rodziny za to, że republika nie potrafiła uchronić ich synów, poległych za „Wolność i niepodległość ich ojczyzny”.

Wszystko to smutne, ale z innych powodów. Przez cały rok nikt się nie troszczył ani o groby, ani o historię i prawdę także. Nie starczyło czasu ani na składanie choćby raz na miesiąc wiązanki kwiatów, ani na odtworzenie okoliczności, w jakich naprawdę i w jaki sposób zginęła ta trójka. Dziś już to jest w ogóle niemożliwe, tak różne, a nawet sprzeczne są świadectwa świadków i uczestników zająć, których liczba bardzo szybko wzrosła. Nie wiadomo dlaczego akurat o 1 w nocy z 20 na 21 sierpnia 1991 kolumna tuzina czołgów podjęła, bez entuzjazmu zresztą, próbę zniszczenia jakiejś barykady niedaleko parlamentu, ale w miejscu „strategicznym” mało ważnym? Nie wiadomo, dlaczego tam akurat wojskowi stracili panowanie nad sobą? Dlaczego tam akurat, choć mogło stać się to w kilkuset innych punktach „oblężenia”, gdzie Rosjanie stali twarzą w twarz z czołgami, Komar zabity został kulą w głowę strzeloną wprost przez jakiegoś żołdaka, Ussow został zmiżdżony przez cofający się czołg, a Kryczewski padł od zabłąkanego, nie dla niego przeznaczonego, pocisku?

Nieszczęście, fatum, przypadek? Zginęli za coś? Też nie wiadomo. Jedni twierdzą, że to właśnie kropla ich krwi zadecydowała o reszcie, że tłum tak się wściekł, iż puczyści uznali, że nie mają żadnych szans, a Kriuczukow nakazał odwrót wyborowej dywizji idącej z Mińska. Inni twierdzą, że, wprost przeciwnie, była to śmierć niepotrzebna, że kiedy trójka ginęła, kości były już rzucone, gra skończona.

Byłem w Moskwie kiedy — w wielkiej sali okropnego Pałacu Zjazdów, zbudowanego przez Chruszczowa wewnątrz murów Kremla — na rocznicowej konferencji prasowej Jelcyn, z uśmiechem Giocondy na ustach, powiedział, że tylko on zna całą prawdę i że kiedyś wobec tego będzie musiał napisać książkę. Szkoda, że każe czekać, że nie ujawnia choć części prawdy, tej na przykład dotyczącej okoliczności śmierci trójki poległych. Wtedy uchroniłby się może od refleksji ojca jednego z nich, byłego wysokiego oficera Armii Czerwonej. „Dziś, powiedział, nikt się na barykadzie już nabrać nie da”.

Smutno. Jak na cmentarzu. Nie ludzi, a nadziei. Mój przewodnik na Wagankowie zacytował Sołżenicyna: „Nie wystarczy zniszczyć komunizmu. Trzeba jeszcze nie dać się zasypać pod jego ruinami”.

List z więzienia

Poetów w Moskwie można spotkać nie tylko na cmentarzu. Można także, z dużą zresztą łatwością, w więzieniu. Broniewski albo Tuwim potrafiliby to zapewne przetłumaczyć lepiej. W nieudolnym tekście inwokacja do wiersza, jaki mam przed sobą, brzmiałaby mniej więcej tak: „To my, rycerze, poeci rosyjscy, nasza droga to droga tortury...” I tak dalej w tym samym stylu. Kto jest rycerzem i poetą, kto idzie drogą tortury? Kto, w rocznicę puczu, wziął lutnię po Puszkynie i Pasternaku? Poeta i rycerz nazywa się Anatol Łukianow, do puczu był przewodniczącym parlamentu sowieckiego, w czasie puczu był — jak twierdzą wtajemniczeni — mózgiem konspiracji, a od puczu jest lokatorem zakładu o nie mniej poetyckim nazwaniu „Wypoczynek marynarza”.

Skąd taka natchniona nazwa dla tego, jednego z wielu, więzień byłego i obecnego KGB w Moskwie? Niezorientowanym czytelnikom donoszę więc, że, jak się dowiedziałem po dłuższych interpelacjach, nazwa jest prastara, sięga czasów Piotra Wielkiego, pochodzi od szpitala, w którym leczyli się, jeżeli można to tak nazwać, matrosi zatrudnieni w warsztatach produkujących żagle dla cesarskiej floty. Nazywał się więc tak najpierw szpital, potem ulica, a teraz więzienie.

Nie wiem w jakim stopniu nazwa więzienia wpłynęła na nagłą erupcję talentu i natchnienia u jego lokatorów. Łukianow jest, w zasadzie, sam w celi, ale nie w więzieniu. Wszyscy (z dwoma drugorzędnymi wyjątkami) aresztowani członkowie junty, która rok temu próbowała (to słowo jest chyba za mocne) przejąć władzę w ZSSR, wypoczywają po marynarSKU. I piszą: Bołdin napisał już sztukę teatralną, b. marszałek Jazow tworzy opowiadania, b. premier Pawłow traktaty politologiczne. Wszyscy zaś — choć każdy oddzielnie — piszą apele do narodu i teksty przemówień obronczych. Linia obrony puczystów rysuje się już jasno: nie działali ani sami ani z niskich pobudek.

Po pierwsze więc, nie sami. „Jakże można nas — pyta Łukianow w wywiadzie dla zawsze otwartej dla niego *Prawdy* — oskarżać o spisek, skoro uprzedziliśmy o wszystkim prezydenta Gorbaczowa, który niczego nie uczynił dla zapobieżenia naszej akcji?” Po drugie, pobudki były szlachetne, działali wyłącznie z poczucia patriotyzmu. Chcieli ratować kraj i naród, a jakie są skutki tego, że im się nie udało — każdy widzi. Janajew, b. wiceprezydent ZSSR, znalazł argument. „Do prawdziwego puczu doszło — powiada oficjalny szef junty (prawdziwym według Jelcyna był Kriuczkow) — kiedy społeczeństwo sowieckie zamienione zostało w teren łowiecki Międzynarodowego Fun-

duszu Walutowego”. Pawłow uderzył nawet w ton ironii, życząc swym czytelnikom „Wesołych wakacji spędzanych na niszczeniu Rosji”.

Więźniowie nie są sami. Książkę o puczu zapowiedział, jak już wiemy, sam Jelcyn, a także generalny prokurator Stepankow, który, wraz z głównym sędzią śledczym Lissowem, bliski jest wydania tomu rewelacji pt. „Spisek na Kremlu”.

Choć jednak konkurencja nie śpi, poezja i proza „matrosów” jest powszechnie znana, albowiem mają oni swobodny dostęp do prasy, mikrofonów i kamer. Dziennikarze zagraniczni także właściwie nie mają większych trudności: łatwość dostępu była po prostu funkcją wysokości opłaty wstępu. Dziś zresztą nie muszą się wysilać, natchnione słowa z za krat przychodzą do nich. Byłe wydawnictwo byłej partii komunistycznej z ochotą wydaje prawdziwe antologie literatury. Tytuł jednej z nich *Matroskaja Tiszina*, jest mało oryginalny, wymowny i przyciągający czytelnika. 35 stron bitego druku i na zakończenie okrzyk pewności, że „sprawiedliwość zawładnie duszami”.

Duszami, być może. Co do w ogóle, nie ma żadnej pewności. W Moskwie jest co do tego, wprost przeciwnie, sporo wątpliwości. Dwa procesy polityczne znajdują się, teoretycznie, na wokandzie „Pałacu Sprawiedliwości” (te słowa trzeba brać w cudzysłów) Federacji Rosyjskiej. Mój rozmówca np. nie ma żadnych wątpliwości: „To wszystko gadanie na wiatr, powiada, oba procesy nie dojrzały, obecna ekipa także zresztą nie, nie jest w stanie — jeżeli założyć, że miałyby taki zamiar — naprawdę tego wrzodu przeciąć”.

To delikatne określenie dotyczy, z jednej strony, procesu o konstytucyjną legalność partii komunistycznej, a z drugiej — procesu uczestników nieudanego puczu.

Pierwszy jest formalnie w toku. Zrodził się właściwie z nieporozumienia, jeżeli nie z głupoty. Sprawę do Trybunału Konstytucyjnego (nowość w Rosji) wnieśli komuniści zarzucając Jelcynowi, że delegalizując KPZS złamał prawo. Skorzystali z tego doradcy prawni Jelcyna, z dr. ...Szachrajem na czele i odwrócili stawkę. Obok skargi na Jelcyna sąd rozpatrzy także wniosek prezydenta o uznanie istnienia, a zwłaszcza działania partii za sprzeczne z prawem i konstytucją.

Dowodów nie brakuje. Otworzyły się archiwa i rozwiązały języki. Nieśmiałą porcję rewelacji polscy czytelnicy otrzymali w postaci materiałów dotyczących finansowania zagranicznych — w tym polskich — komunistów, ale w porównaniu z tym czym dysponuje ekipa Szachraja, to próbka prawie bez wartości.

Wcale nie wykluczone, że na poznanie prawdy trzeba będzie czekać aż Szachraj, jak Jelcyn, napisze kiedyś książkę. Na razie proces jest odroczony, sąd musi się zapoznać z wnioskami

ekspertów. Jest ich 65 i wszyscy, według nich, mają rację, jedna trzecia orzekła, że wszystko się zgadza z Konstytucją, jedna trzecia — wprost przeciwnie, a ostatnia trzecia, że częściowo tak, a częściowo nie.

To wszystko brzmi niepoważnie. Trudno się dziwić. W istocie bowiem nie chodzi o konstytucję, to nie najważniejsze, Rosja przecież jeszcze nie jest takim idealnym „państwem prawa”; chodzi o politykę. Pytanie bowiem brzmi, czy można już sądzić komunizm. Moja odpowiedź jest negatywna: na taki sąd za wcześnie, no i sędziów, zwłaszcza w Rosji, może zabraknąć.

Podobną wątpliwość można sformułować w odniesieniu do procesu puczystów. Pytanie dziś nie brzmi, kiedy się ich proces zacznie, a brzmi czy do procesu w ogóle dojdzie. Jest ich dwunastu (dwaj figuranci są na wolności), którzy, gdyby im się udało, rządiliby dziś państwem pod nazwą Związek Sowiecki, przyjmowani byłiby we wszystkich salonach świata (zresztą jak wiadomo, niektóre zaproszenia już były przygotowane) w charakterze przedstawicieli państwa zapewne niedemokratycznego i niesympatycznego, ale super-potężnego. Ale, na szczęście, im się nie udało, i dlatego dziś wypoczywają nie w salonach i daczach, a w „Matroskiej Tiszinie”.

Lista oskarżonych oddaje całkowicie i dokładnie skład najwyższych władz ZSSR, z wyjątkiem Gorbaczowa, który — odmiennie niż Chruszczow w podobnej sytuacji — odmówił kapitulacji i Pugo, ministra spraw wewnętrznych, który wolał popełnić samobójstwo. Są na tej liście szefowie rządu, wojska, KGB i parlamentu. *Kleine aber nette Gesellschaft* — powiada kolega. Czy data procesu jest już znana, pytam naiwnie. „Nie jest i tak szybko nie będzie. Jeżeli w ogóle będzie” — odpowiada.

Ulica jest sceptyczna. U nas — tłumaczą mi znajomi — ludzie nie są przyzwyczajeni do widoku byłych wielkości na ławie oskarżonych, na baczność przed sądem. Stalinowskich procesów moskiewskich nikt już właściwie nie pamięta, a zresztą pozostawiły one właśnie trwałą wątpliwość, czy chodzi o sprawiedliwość czy porachunki lub zemstę. Zresztą, z wyjątkiem Żiwkowa (ale to farsa) w Bułgarii i Honeckera (to będzie tragedia, jeżeli Honecker dożyje) żaden przywódca komunistyczny nie został jeszcze nigdzie za nic skazany. W Moskwie śmieją się na samą myśl, że właśnie Rosja miałaby stać się pierwszym krajem po-komunistycznym (?!), gdzie sprawiedliwość miałaby zostać naprawdę wymierzona.

Wątpliwości prawników są bardziej legalistyczne. Nic się nie zaczęło przed upływem roku, a może i lat. Obrona właściwie zażądała, a praworządny sąd nie mógł odmówić, ponownego

zapoznania się z aktami. Chodzi o 125 tomów już zebranych, a śledztwo jeszcze trwa...

Specjaliści mają wątpliwości natury bardziej politycznej. Wszyscy oskarżeni — powiada znajomy dziennikarz rosyjski — należeli do najbardziej intymnego kręgu władzy. Wszelkie publiczne ich przesłuchanie stałoby się okazją do generalnej „dintojry”, która, jak lawina, nie oszczędziłaby nikogo. Z bardzo, ale to bardzo, niewielkimi wyjątkami, wszyscy ludzie obecnie znajdujący się u władzy należeli, stosunkowo jeszcze niedawno, do ścisłej elity i nomenklatury sowieckiej. Zachodzi ewidentne ryzyko, że gdyby proces zamachowców naprawdę został puszczony w ruch, to domino mogłoby padać właściwie bez końca...

Toute proportion gardée, mój rozmówca nie waha się sięgać po szokujące porównanie, po to właśnie aby takiego domina uniknąć. Rumuni zamknęli, na zawsze i na swój sposób, usta Ceaucescu. „U nas, powiada, już dziś tak nie wypada... I, chyba — dodaje po namyśle — nie można”.

List z Fundacji

„Michaił? Jaki Michaił?”... To naturalnie miał być złośliwy dowcip, ale to wcale nie był dowcip. Jak wiele udanych skrótów, ten też zawiera mało humoru, a sporo prawdy. Znacznie więcej niż się sądzi na Zachodzie, gdzie Gorbaczow ciągle jeszcze obcina kupony od — z naszego punktu widzenia — niewątpliwych zasług w likwidacji sowietyzmu. W Moskwie Gorbaczow nie ma niczego do obcinania, a co do jego zasług panują tutaj bardzo rozmaite poglądy, w większości niepoehlebne. Mówiąc inaczej, rok po puczu, który zapoczątkował jego agonię polityczną, Michaił Gorbaczow, kilka miesięcy temu jeszcze jeden z najpotężniejszych ludzi na świecie, jest dziś, u siebie w domu, w Moskwie, człowiekiem, który, zanim zostanie zapomniany, jest już nie lubiany, nieszanowany. I, kiedy można, ignorowany.

Z okazji rocznicy puczu Gorbaczow postanowił tę barierę zapomnienia złamać. Chciał uprzedzić ataki i przypomnieć się swym byłym poddanym. Nie udało się. Byłem na jego drugiej, od eksmisji z Kremla, konferencji prasowej. Zainteresowanie prasy, a zwłaszcza telewizji, było ogromne. Odwrotnie proporcjonalne, jak się okazało, do zainteresowania opinii publicznej. Dekoracja była pierwszorzędna. Fundacja Gorbaczowa, instytucja o bardzo niesprecyzowanych zadaniach i mało przekonujących rezultatach (średniej wartości analizy sytuacji polityczno-gospodarczej Rosji), mieści się w kompleksie gmachów byłej wyższej Szkoły Partyjnej i pod względem metrażu, jakości wyposażenia

(tłumaczenia w symultance), ilości biur, korytarzy, snujących się bez wyraźnego celu sekretarek itd. nie ustępuje Kremłowi. W pewnym sensie nawet go przewyższa: na terenie Fundacji czynny jest basen kąpielowy, do którego wstęp jest, jak mi powiedziano, ściśle ograniczony do nowego typu, pro-gorbaczowskiej i kosmopolitycznej, w szerokim sensie tego słowa, nomenklatury. Bardziej niż Fundacja, to basen kąpielowy jest dziś rzekomo najbardziej *in*, najbardziej atrakcyjnym salonem politycznym stolicy.

Konferencja prasowa była mniej atrakcyjna. Była żadna. „To nie konferencja prasowa — mówi PAP-owiec, ściśnięty jak sardynka obok mnie za stołem z za którego w ogóle nie widać Gorbaczowa całkowicie zasłoniętego przez oszalałych kamerzystów kilkudziesięciu kanałów telewizyjnych. — To operacja polityczna: Gorbaczow chce zawczasu okupować teren przeznaczony na uroczystość rocznicy puczu, chce uniemożliwić taki rozwój sytuacji, w której to właśnie on, a nie puczyści, mógłby stać się negatywnym bohaterem celebracji”.

To się udało tylko częściowo. Choć cała konferencja Gorbaczowa poświęcona była atakom na Jelcyna i krytyce bilansu epoki po-gorbaczowskiej, to właściwie nikt jej nie potraktował poważnie; wszyscy, z wyjątkiem najbliższych, ją zlekceważyli. Jelcyn, który był, aż do przesytu (nie schodził z ekranów telewizji i przez trzy dni właściwie nie przestał przemawiać) prawdziwą gwiazdą rocznicy puczu, załatwił Gorbaczowa odmownie w najbardziej bolesny sposób: kpina. Zapytany na jego własnej (48 godzin po gorbaczowskiej) konferencji prasowej, co myśli i czy pragnie odpowiedzieć na zarzuty swego byłego rywala, Jelcyn spokojnie odpalił: „Nie warto, Gorbaczow wyjeżdża dziś na wakacje do Hiszpanii, nie trzeba mu psuć zabawy”.

Nie wiem czy Jelcyn, nawet gdyby chciał, potrafiłby państwu Gorbaczow popsuć wakacje i zabawę. Odniosłem wrażenie, że Gorbaczow ma w nosie to, co o nim myśli Jelcyn i inni w Rosji. Przypuszczam, że Gorbaczow, nawet kiedy omawia sprawę specyficznie rosyjskie czy sowieckie (on ciągle jeszcze zdaje się uważać, że jakiś związek sowiecki jest niezbędny i możliwy), zwraca się właściwie przede wszystkim do Zachodu.

Od razu, w grudniu ub. roku, w dniu swojej dymisji, Gorbaczow dumnie zapowiedział, że nie ma zamiaru „zniknąć gdzieś w tajdze” ani zainstalować się za granicą. Nie zniknął i nie zainstalował się ani w tajdze, ani za granicą, ale w Moskwie właściwie także nie. Były prezydent nie bardzo wie co robić: na emeryturę za wcześniej, na powrót do czynnej polityki — za późno.

Gorbaczow, co widać wyraźnie, nie ma zmartwień materialnych. Nawet jeżeli założyć, że, jak mi powiedziano w Moskwie

(sprawdzić naturalnie nie mogłem), całe pieniądze z nagrody Nobla (dobrych kilkaset tysięcy dolarów) poszły na cele dobroczynne (szpitale, dzieci z Czarnobyla itp.), to pozostają jeszcze wpływy z książek wydawanych na Zachodzie, których nikt, i słusznie (kupa banałów), nie czyta, ale wszyscy kupują, no i honoraria za odczyty, których wysokość, według fachowców, równa się stawkom dla największych gwiazd politycznego cyrku: Thatcher, Kissingera itp. Jeżeli do tego dodać podróże po całym świecie, od Kalifornii po Izrael, na koszt wdzięcznych gospodarzy, to możemy, z nieukrywaną zawiścią, dojść do wniosku, że się Gorbaczowowi, w pewnym sensie, powodzi nie najgorzej.

On się jednak skarży. Nie tylko na Jelcyna, grabarza potęgi rosyjskiej, ale na Jelcyna, brzydkiego zawistnika. Przy każdej okazji on sam, lub jego współpracownicy i doradcy (spotkałem w Fundacji Aleksandra Jakowlewa, jest tam także stary, „posezonowy” znajomy Wadim Zagladin), wskazują na nieposzanowanie przez obecne władze klauzul umowy rozwodowej z grudnia 1991. Nie wiem, czy emerytura prezydenta Gorbaczowa, która była ustalona w kontrakcie na 4.000 rubli miesięcznie, została rewaluowana, ale jeżeli nie, to dziś już jest to folklor, albowiem suma ta odpowiada (3 września 1992 po południu) 20 dolarom USA.

Ale przecież nie samymi rublami człowiek żyje. Odchodzący prezydent otrzymał do dyspozycji dwie limuzyny, daczę, ochronę itd. Dziś, tak mi dano do zrozumienia, to jeszcze nie nędza, ale... Limuzyn nie ma, daczy też nie, ochrona chyba została, bo na konferencję do Fundacji trzeba się było z góry zapisać i przy wejściu legitymować, ale łażą się jednak w oku kręci, bo państwo Gorbaczow muszą rzekomo sami robić zakupy, co w Moskwie do przyjemności nie należy, chyba, że się dysponuje SKW, *Swobodno Konwertibelną Walutą*, czyli dolarami, których mają, jak już wiemy, tylko 20 miesięcznie. Ktoś mi pokazał wycinek nie pamiętam już z jakiej gazety, która, nie bez wyrażonej przyjemności, opisała tragiczny epizod, kiedy Gorbaczow nieopatrznie zaprosił jakichś gości na lunch do kantyny swojej własnej Fundacji, ale, jak się okazało, nie miał czym zapłacić...

Wspominam o tym z kronikarskiego obowiązku, jako szkic do ewentualnego portretu, ale tak naprawdę to trudności materialne byłego prezydenta nie obchodzą właściwie nikogo, a jeżeli tak, to wzbudzają tylko pusty śmiech...

Śmiechu natomiast nie wzbudza, u tych których to dotyczy, stała, ostra, często demagogiczna krytyka, jaką były prezydent uprawia, w domu i za granicą, wobec obecnego prezydenta. Żeby zacząć od czegoś wesołego, to Gorbaczow oskarża obecną władzę o „knebel”, cenzurę i utrudnianie mu kontaktów z prasą, co, jeśli sądzić po ścisłości na konferencji prasowej, z regu-

larnego wywiadu dla *Komsomolskiej Prawdy*, z licznych wywiadów dla największych mediów (BBC etc.), artykułów prasowych z coraz większym trudem na międzynarodowym rynku przez włoską *La Stampa*, należy włożyć między bajki.

Gorbaczow jest w bardzo dobrej formie fizycznej i intelektualnej. Robi wrażenie wypoczętego, jest, po sowiecku, elegancki (ciemny garnitur, krawat, przy 30 stopniach w cieniu). Wyraża się jasno, jest pewny siebie, mówi dużo, za dużo jak na to, co ma do powiedzenia. Z całym szacunkiem dla laureata Nobla (słowo „szacunek” jest w tym kontekście ostro tutaj kontestowane), trzeba powiedzieć, że laureat się powtarza. Tak więc, wszelkie aluzje do jego współnictwa w spisku (patrz wersja Łukianowa z więzienia) to zwykle kalumnie. Proces partii komunistycznej to zwyczajne nadużycie polityczne i on, „nawet w kajdankach”, nie powie przed sądem ani słowa. Rosja jest na skraju katastrofy, bo reformy Jelcyna i Gajdara to „neobolszewizm i utopia”. Jeżeli nie zostaną szybko podjęte odpowiednie kroki w celu powstrzymania zapaści gospodarczej i spadku produkcji, to obecny ustrój może zostać przewrócony siłą i „nie trzeba wielkiej wyobraźni” aby zrozumieć, jaki reżym go zastąpi. „Z takiego chaosu wyłonić się może tylko dyktatura” — uprzedza Gorbaczow, nie ukrywając, że jest gotów wziąć na siebie ciężką misję człowieka opatrnościowego.

Perspektywa raczej wątpliwa. Choć „remanent” rosyjski spisany przez Gorbaczowa w dużym stopniu odpowiada rzeczywistości, to jego prognozy są, naturalnie, trudniejsze do sprawdzenia, tylko życie pokaże. W ogóle jednak, to rola Kassandry nie pasuje do byłego prezydenta. Z jednej bowiem strony, w tym teatrze horroru jakim jest dziś Moskwa i Rosja, jest to rola najłatwiejsza. Z drugiej strony, wielkich ludzi, nawet byłych, powinna cechować skromność i Gorbaczow nie powinien zapominać, że sześć lat jego *pieriestrojki* ma swój udział w niepowodzeniach ośmiu miesięcy Jelcyna.

Kassandra Gorbaczow jest ponadto mocno podejrzana. Były prezydent, powiadają tutaj, nie zapomniał Jelcynowi całej serii upokorzeń. Od tego pierwszego, tuż po niesławnym powrocie z Foros, kiedy Jelcyn zmusił go do odczytania przed parlamentem i kamerami całego świata listy puczystów, których Gorbaczow osobiście mianował był na najwyższe stanowiska w państwie. Aż po ten ostatni, w grudniu ub. roku kiedy Gorbaczow zastał, bez żadnego wypowiedzenia, Jelcyna na swoim prezydenckim fotelu w swoim gabinecie na Kremlu...

Ale nie zamartwiajmy się. Będzie jeszcze święto i na jego ulicy. Na razie pojechał na wakacje, nie na Krym a do Hiszpanii. A jak jeszcze poczekamy, to doczekamy się nowej książki pisarza Gorbaczowa. Pisanie książek, to jest, jak twierdzą domow-

nicy, ulubione zajęcie byłego prezydenta. Michaił Siergiejewicz spędza na pisaniu codziennie dwie, trzy godziny. A co ma jeszcze do powiedzenia światu? A, powiada zausznik, Gorbaczow zna jeszcze kilka tuzinów tajemnic, które sprawią, iż jego następna książka będzie figurować przez długie miesiące na listach światowych *best-sellerów*.

Poczekamy, poczytamy. I postawimy na półce, obok *best-sellerów* już obiecanych przez puczystów, przez prokuratora Stepankowa i przez prezydenta Jelcyna. Będzie to półka niespełnionych obietnic i nie dopowiedzianych prawd...

List z ulicy

Gdzie się podział lud moskiewski? Gdzie się zapadł tłum, który rok temu wszedł do śródmieścia, kłębił się na barykadach wokół Białego Domu i wołał, że jest gotów bronić własną pierśią Jelcyna i jego polityki? Do ataku nie doszło, i to lepiej, twierdzą nieuleczalni sceptycy, nie wiadomo bowiem, jak by się tłum zachował w razie co...

Rok po wszystkim, i po kilkudziesięciu książkach wydanych w Rosji i na Zachodzie, ciągle zresztą nie wiadomo właściwie dlaczego tego „w razie co” nie było. To, że spiskowcy byli pijani, w rosyjskich warunkach naturalnie niczego nie tłumaczy. W zestawieniu np. z polskim stanem wojennym — na który fachowcy niektórzy zresztą z żalem i podziwem często się tu powołują — pucz sowiecki był wyjątkową amatorszczyzną. Zestawienie to jest uwłaczające dla generała Jaruzelskiego: sowiecka sierpniowa próba skopiowania polskiego grudnia potwierdza tylko jedną, ostatnią chyba przydatną refleksję Marksa, że historia się nie powtarza, ale jeżeli do tego dochodzi, to w pierwszej wersji jest to dramat, a w następnej już tylko farsa.

Rok po puczu diagnoza moskiewska jest bezlitosna. Puczysci pomylili wszystko a przede wszystkim epokę, przeciwnika i siebie samych. Złożona, wydawać by się mogło, z samych gromowładnych (szefa rządu, wojska, KGB, wywiadu, ochrony) junta okazała się, na trzeźwo, stadem zależnionych fuszerów. A przecież, dziwią się tutaj, oni dobrze znali precedensy, a zwłaszcza polski grudzień i swój własny październik 1964, kiedy Chruszczow też w czasie wakacji i także na Krymie został zmuszony do odejścia także ze względu „na zły stan zdrowia”.

Mniejsza o technikę, wszystko przecież było na odwrót. Spiskowcy nie mieli żadnego scenariusza politycznego, posłali czołgi oficjalnie „w misji humanitarnej”, tak jakby Moskwa była Czarnobylem. Terror już także nie ten sam. Dziś, wśród innych bajek, mówi się o planie zgładzenia Jelcyna lub, z innej strony,

o groźbie zbombardowania Kremla, gdyby doszło do szturmu na „pałac sierpniowy”. Prawda natomiast jest taka, że przez cały czas tej parodii puczu Jelcyn — on sam to właśnie potwierdził — był w kontakcie z Kriuczkowem. Dziś już wiadomo, że kiedy ludzie na barykadach myśleli, że zatrzymują własnym ciałem czołgi KGB, Jelcyn z Kriuczkowem negocjowali przez telefon, akurat wtedy doskonale funkcjonujący, warunki wycofania wojska spod parlamentu. Dziś już wiadomo, że wojsko i KGB było po obu stronach barykady, że monolit wojska, policji, tak jak i partii, można już było wtedy uznać za legendę, że wszystkie organy represji były tak samo zgangrenowane i przeżarte rdzą korupcji, jak wszystkie inne organy władzy i całe społeczeństwo.

Ale lud moskiewski wtedy naprawdę wierzył, że wszedł do śródmieścia i, że tam, w przenośni, zostanie. Wtedy, na barykadach, padły dwie bariery: poddaństwa i strachu. Wtedy wszystko wydawało się możliwe. Wtedy wierzone, że to pierwsze zwycięstwo ludu rosyjskiego w starciu z knutem zdynamizuje ludzi, pozwoli stworzyć prawdziwy ruch demokratyczny, sprawi, że zrodzą się siły zdolne do podjęcia wyzwania, jakie niosła już widoczna epoka po-sowiecka.

Tak się nie stało. Dlatego trzeba dziś, po roku, wrócić do pytania postawionego na wstępie: gdzie jest ten lud wolny od poddaństwa i strachu? Ten lud wyszedł ze śródmieścia. Nie było go ani przed telewizorem, kiedy szła na żywo niekończąca się rocznicowa konferencja prasowa Jelcyna, ani przed „Białym Domem”, w czasie rocznicowego meetingu. Na 11 milionów mieszkańców, zebrało się ich kilka tysięcy, aby dość szybko zacząć się rozchodzić i nie słuchać tradycyjnego, w czystym sowieckim stylu, gadulstwa. Tylko deszcz i parasolki przypominały krajobraz sprzed roku. I tylko jedno hasło potrafiło nieco poruszyć tłum: to mianowicie, żeby wyeksmitować zwłoki Lenina z mauzoleum na Placu, ciągle zwanym Czerwonym. Jak na rewolucyjny program mający porwać masy, to może się okazać za mało.

No i znowu obsesyjne pytanie: gdzie te masy? Są. Znalazłem. Są na przykład w prowincjonalnym mieście Dmitrow, jakieś 100 km na północ od Moskwy. Obywatele Rosji tam właśnie zabrali głos. I powiedzieli: „nie!”. Odbyły się tam wybory uzupełniające do parlamentu, gdzie wolnych jest, z rozmaitych przyczyn, 24 miejsc. Otóż w mieście Dmitrow poszło do urn tylko 30% uprawnionych, a i z tego spora część starszych i doświadczonych przezornie pytała członków komisji wyborczej, na kogo mają oddać głos... Ze zapadła prowincja? Niekoniecznie. Podobny, a właściwie identyczny wynik, przyniosły takie same wybory w jednej z dzielnic Moskwy.

O czym to świadczy, jeżeli w ogóle świadczy o czymś? Wybory zostały unieważnione, ale pytania pozostały. Czy i w to jakim stopniu jest to próbka wiarygodna? Jest wiarygodna i to bardzo. Apatia, zniechęcenie, zrozumiowanie widoczne są gołym okiem, na ulicy. W pewnym stopniu, i z uwzględnieniem wszystkich ewidentnych różnic historycznych i kulturowych, zjawisko to można zestawić z podobną sytuacją po 40-procentowej frekwencji wyborczej w Polsce.

Kłęska puczu uruchomiła mechanizm demokracji kielkującej, ale autentycznej i „agresywnej”, spowodowała jednak także prawdziwą eksplozję nadziei, zrozumiałych ale nierealnych. „Od początku — tłumaczą mi koledzy — był naiwnością pogląd, że po tylu dziesięcioleciach komunizmu, nowa władza będzie w stanie prowadzić jakąś politykę spójną, logiczną i koherentną. Nie mamy ani kadr, ani czasu aby coś takiego wyprodukować. Ale obecny 'bardak' przekracza najbardziej pesymistyczne prognozy”.

Nic nie klapuje. Jelcyn w roli menagera przedsiębiorstwa pod nazwą „Federacja Rosyjska” jest znacznie mniej przekonujący niż jako charyzmatyczny trybun ludowy mobilizujący tłumy z czołgu pod parlamentem. Zmierzch charyzmy i koniec piedestałów nie jest zjawiskiem wyjątkowym czy tylko rosyjskim, amatorstwo po-komunistycznych ekip u władzy jest widoczne wszędzie, w Polsce czy Czechosłowacji, ale przepaść między nadziejami a rzeczywistością nigdzie nie jest tak głęboka jak w Rosji. Może kiedyś, w innych listach, będzie miejsce na remanent naprawdę oszałamiającej listy trudności, z jakimi się Jelcyn musi równocześnie i równolegle borykać, na wypis ze spadku posowieckiego i pokomunistycznego, który ciągnie Rosję do dołu, jeżeli nie w przepaść, ale już widać, że z tymi trudnościami pokolenie Jelcyna na pewno nie zdąży i nie potrafi sobie poradzić.

Jechałem, jak zwykle, „na łebka” do centrum, albowiem, ciekawe i niezrozumiałe zjawisko, taksówki w tym mieście (tak jak w Warszawie opanowane przez mafie) zatrzymują się najrzadziej. Prywatny albo służbowy „łebek” jest najbardziej popularnym i dostępnym, tańszym od taksówki, środkiem samochodowego poruszania się po mieście. Za 100 rubli (50 centów USA) dojechałem do jednej z prywatnych restauracji, drogich i złych, niedaleko hotelu „Metropol”, tuż obok Kremla, gdzie za obiad na dwie osoby z butelką okropnego gruzińskiego wina zapłaciłiśmy średnią pensję miesięczną profesora uniwersytetu. Janek Krauze z *Le Monde* streścił mi sytuację. „Potrzebna jest końska kuracja. Ale aby ją zastosować, trzeba mieć lekarstwa i potrzebny jest koń. Tutaj nie ma ani jednego, ani drugiego”.

Marek Car (dobre nazwisko na Moskwę) i Zdzisław Raczyń-

ski z PAPu i Jerzy Malczyk z *Gazety Wyborczej* prowadzili na mój użytek nieprzerwane właściwie seminarium z ich ogromnej wiedzy o Rosji (a Car, genialny informatyk, dodatkowo z tajemnic mojego, bezradnego wobec moskiewskiej sieci telekomunikacyjnej, komputera *portable*). Ich diagnozy były (w drugiej połowie sierpnia 1992) zbieżne: los reformy w jej obecnym kształcie i z jej obecną ekipą jest przesądzony, to tylko kwestia czasu.

„Pytał Pan — powiadają papowcy — gdzie jest lud moskiewski, ten z barykad sprzed roku? Ten lud, proszę pana, stoi w kolejkach i psioczy na władzę. Nikt nie powinien go dziś wzywać na nowe barykady. Po pierwsze, nie pójdzie, a po drugie, jeżeli pójdzie, to nie wiadomo, w którą stronę się obróci”.

Wystarczy spacerować po Leninskim Prospekcie (tam mieszkałem) aby się o tym przekonać. Poza bazarami (to inny temat i inna historia), moskwiźnianie zaopatrują się w czterech źródłach: sklepy dolarowe, gdzie wszystko jest, specjalne sklepy rublowe, gdzie też wszystko jest, ale po kursie dnia (co wychodzi na jedno z dolarami), sklepy „normalne” za ruble bez przeliczenia, gdzie, jeżeli coś jest (rzadko, jak w loterii), to jest bardzo złej jakości i bardzo drogo, no i stragany, a nawet „kuczki” na ulicy, gdzie handluje się wszystkim i niczym, za ruble i za dolary, z przemytu i z „zagranicznych” fabryk usytuowanych pod Moskwą. Nigdy w Polsce, za najgorszych czasów, upokorzenia biednych, arogancja bogatych (nie wspominając o mafii, to także inna i prawdziwa epopeja) i bezradność władzy nie były tak ostentacyjne.

„Wie pan — powiada mój rozmówca — na tle biedy, z perspektywy ogonka, demokracja traci wiele ze swojego szarmu”. Wiem. W Moskwie to bardzo wyraźnie widać.

List z „*Izwestii*”

„Panie drogi, to wszystko należy do pana”.

„Właściwie tak, na razie na pewno. Potem się zobaczy”.

Gabinet naczelnego redaktora *Izwestii*, Igora Gołombiowskiego, zmieściłby cały parter domu *Kultury*, z gabinetem Jerzego Giedroycia i Zofii Hertz oraz kuchnią i jadalnią właściwie, a sala zebrań kolegium ma wymiar kina średniej wielkości. To ładnie i wygodnie, ale kłopoty *Izwestii* są na tę samą skalę. Przez gabinet Gołombiowskiego biegnie dziś pełna chwały, ale niebezpieczna linia frontu o wolność prasy, o *glasnost* i o demokrację w ogóle w Rosji.

„Jeżeli chcą wojny, to będą ją mieli. I przegrają” — mówi, z większą nadzieją, niż pewnością Gołombiowski, dobra pięćdziesiątka, były zastępca naczelnego, który był przed puczem w

trakcie odstawki i został wybrany przez zespół na naczelnego od razu po puczu. „Oni” to znaczy parlament, a zwłaszcza jego przewodniczący Chazbułatow na czele komunistycznej większości, pochodzącej z wyborów w zamierzczłej epoce roku 1989. „My” to znaczy redakcja *Izwestii*. „Oni” postanowili zawiązać gazetą, która dziś należy do najlepszych (i najbogatszych) tytułów demokratycznej prasy w Rosji. „My” się nie dają i, na razie, się bronią.

Najwyższy Sowiet nie jest pozbawiony argumentów. To przecież zawsze była nasza gazeta, powiadają, Lenin drukował tu swoje dekrety, m.in., podkreśla Gołombiowski, ten o kontroli... prasy. Redakcja także nie jest bezbronna. Pucz, powiadają, zmienił wszystko. „My” potrafiliśmy zamienić nieczytelną płachtę w prawdziwą, niezależną i wiarygodną gazetę. I tego im nie oddamy. Gołombiowski i jego ekipa nie są sami. Jelcyn i jego premier Gajdar są z nimi solidarni i powiedzieli, że nie dadzą im zrobić krzywdy.

Na pozór paradoks: Jelcyn, poprzez *Izwestia*, broni *glasnosti*, ostatniego właściwie skrawka po Gorbaczowie. W istocie broni siebie. „Stara ideologia się nie poddała — mówi Gołombiowski — byłoby naiwnością sądzić, że pójdzie tak łatwo. Wojna się dopiero zaczyna. Niech pan nie zapomina, że pierwszą decyzją puczystów przed rokiem było zawieszenie całej niekomunistycznej prasy”.

To prawda. Grzebiąc wolność *Izwestii*, konserwa chce pogrzebać to, co w Rosji jest dziś na pewno wolnością prasy i określa się jako demokracja. Ale podobieństwa w sytuacji dziś i przed rokiem idą dalej niż zbieżność ataków junty i Chazbułatowa na wolną prasę. W wielu parametrach skojarzenia są uderzające.

W kilkumiesięcznym okresie przed puczem radykalny program gospodarczy „500 dni” został odrzucony, minister spraw zagranicznych Szewardnadze podał się do dymisji, ostrzegając przed chmurą dyktatury, najbliżsi doradcy Gorbaczowa, Jakowlew czy Petrakow, opuścili go protestując przeciwko awansowaniu konserwatystów. Dziś reforma rynkowa dogorywa, minister spraw zagranicznych Kozyrew ostrzega przed groźbą puczu (choć się do dymisji nie podaje, ale, według fachowców, długo na urzędzie nie zostanie), liberałowie jak Popow, mer Moskwy, odchodzą lub jak Sobczak, mer Petersburga, zamykają się u siebie, w swoim już prawie feudalnym księstwie, a konserwa, jak np. generał Gromow i Mikołaj Gołuszko, obejmuje kontrolę nad wojskiem i bezpieczeństwem.

Przed puczem Gorbaczow znacznie wzmocnił kompetencje KGB. Polityka i dyplomacja „nowego myślenia” Szewardnadzego była ostro krytykowana. Dziś polityka Kozyrewa określana jest

przez to samo KGB, pod zmienioną nazwą, jako „kampania inspirowana przez CIA”.

Co najważniejsze, tak jak Gorbaczow przed puczem, tak dziś Jelcyn traci powoli, ale nieuchronnie na autorytecie i zakresie władzy. Gorbaczow tracił na rzecz Jelcyna, Jelcyn nie ma Jelcyna, ma konserwę. Jelcyn z sierpnia 1991 miał barykadę wokół Białego Domu. Jelcyn z sierpnia 1992 ma barykady wewnątrz Białego Domu. W czasie puczu Biały Dom był symbolem demokracji. Rok po puczu takiego symbolu demokracja w Moskwie nie ma. Zaraza jest już w Grenadzie.

Trzy są potencjalne (mówię tylko o najważniejszych) źródła zagrożenia. Najpierw znany już nam parlament. Wszystkie rozmowy prowadzą do wniosku, że „w razie co...”, większość tego parlamentu uchwaliby i zalegalizowała, tak jak polski Sejm po grudniu, wszystko czego by nowa władza od niego zażądała.

Ważniejszy jest odrodzony, a właściwie nigdy nie zanikły, „kompleks przemysłowo-wojskowy”. Partia komunistyczna szczyła, ale komuniści zostali, powiada Gołembowski. Szefem jest Arkady Wolski, były doradca i zaufany Andropowa i Gorbaczowa, przewodniczący nowo-starej nomenklatury pod mylącą nazwą „Rosyjskie Zjednoczenie Przemysłowców i Przedsiębiorców”, przyszły, jak przepowiadają, premier Rosji. Jest to siła ogromna. 90% przemysłu jest w ręku państwa, z czego trzy czwarte pod kontrolą ludzi Wolskiego. Wolski ma swoją grupę parlamentarną, należy do „Unii obywatelskiej”, sojuszu ugrupowań politycznych, których łączy jedynie krytyka i odrzucanie Gajdara i jego programu. Wolski uważa, że reforma powinna być „rosyjska”, że państwo ma obowiązek chronić potencjał przemysłowy i naukowy Rosji, że nie można się pakować w awanturniczą prywatyzację i liberalizację cen i, zwłaszcza, ulegać (skąd my to znamy), „wpływowi zagranicy”.

Jeszcze ciekawszy jest samobójczy, jak twierdzą, pomysł Jelcyna powołania Rady Bezpieczeństwa. Pomysł ten tak bardzo przypomina juntę sprzed roku (i warszawską Wronę z 1981 roku), że ktoś nazwał go „ukrytym zamachem stanu”! Rada powołana przez Jelcyna wyposażona została w ogromne prerogatywy. Dubluje właściwie wszystkie organy władzy, a jej sekretarz Jurij Skokow ma większe kompetencje niż premier rządu rosyjskiego: ministrowie, organy wojskowe i bezpieczeństwa zobowiązane są do realizacji decyzji Rady. Gazeta *Komersant* porównała, nie bez racji, Radę Bezpieczeństwa do Biura Politycznego KPZS. Rada ma pięciu członków głosujących: Jelcyn, jego bardzo samodzielny i bardzo nielojalny wiceprezydent Ruckoj, Filatow, zastępca przewodniczącego parlamentu, premier Gajdar, i sam Skokow. Do rady wchodzi spora grupa członków bez prawa głosu, co nie znaczy, że nie będą oni, w „razie co” mieli czegoś do powiedzenia.

Główna kwestia sprowadza się do pytania, czy i na ile Jelcyn kontroluje sytuację. Kiedy piszę ten list, wiadomo już, że idą rozmaite próby sił: miejsca Gajdara i Kozyrewa się chwieją, reforma wchodzi w zakręt. Jako model i inspirację cytuje się coraz częściej, może pod wpływem Sołżenicyna i jego „Roku 14”, nazwisko Stołypina, to znaczy reformatora o żelaznej pięści, liberała, który nie znosił oporu. Nikomu, powiadają „stołypinowcy” nie udało się jeszcze przejść do zupełnie nowej formacji politycznej w warunkach parlamentarnej demokracji.

W obliczu takiej koalicji Jelcyn nie dysponuje żadną decydującą ripostą. „Demokratyczna Rosja”, entuzjastyczny i spontaniczny ruch, który mimo mgławicowej formy potrafił jednak właściwie doprowadzić Jelcyna do władzy i narzucić potem Gajdara na premiera, rozwalił się na frakcje i frakcyjki. Naturalnie, takie rozwoły są zjawiskiem normalnym w każdym takim ruchu po upływie euforii po zwycięskiej bitwie, ale rodzaj i zasięg konwulsji w demokratycznym ruchu w Rosji nasuwają bardzo pesymistyczne refleksje. Moi rozmówcy radzili, abym się nie martwił za bardzo i za wcześnie. „Niech się pan nie przejmuję — mówili — proszę spojrzeć na Solidarność w Polsce. Ruch ten, z którego się zrodziła polska demokracja, dziś już nie odgrywa większej roli politycznej, a przecież demokracja w Polsce nie jest zagrożona...”

Hm... może. Ale Rosja to nie Polska, ma zupełnie inne tradycje, inną historię, inne dramaty i dylematy. No i ma nie czterdzieści lat „miękkiego” — mimo wszystkich dramatów — komunizmu polskiego, a ponad siedemdziesiąt lat ciężkiego, stalinowsko-sowieckiego komunizmu do odrobienia. Aluzja do doświadczenia polskiego nie jest w tych okolicznościach ani optymistyczna ani uspokajająca.

Gołembowski także mnie nie chciał martwić. Opowiedział jak zareagował Gajdar, kiedy Chazbułatow zagroził policyjną eksmisją opornego zespołu. Premier przefaxował wtedy do redakcji: „Trzymajcie się, jestem z wami, jak dotąd policja podlega premierowi”.

Pytanie ogólne brzmi: co będzie, kiedy Gajdar nie będzie miał już fax'a?

List z samolotu

Czytam gazety w czasie lotu do Brukseli. Depesza AFP z Moskwy: moskiewski etap rajdu Paryż-Moskwa-Pekin zgromadził tłumy rozentuzjasmowanych widzów. Dziesięć tysięcy mieszkańców stolicy przeniosło się o 60 km za miasto, do Podolska, gdzie odbyła się próba techniczna, na dnie wyschnię-

tego kamieniołomu. Liczba widzów, podaje francuski korespondent, była wielokrotnie wyższa od tej, jaka przed kilku dniami zgromadziła się pod Białym Domem w Moskwie w pierwszą rocznicę zwycięstwa nad puczem.

Notowane w Moskwie w drugiej połowie sierpnia 1992
Pisane w Brukseli w pierwszych dniach września 1992

Leopold UNGER

Polska a Japonia

Polska, jak żaden inny kraj w rejonie Europy Środkowo-Wschodniej, miała wyjątkowo dogodną pozycję wyjściową do większego zbliżenia z Japonią, z tytułu długiej historii tradycyjnie przyjaznych stosunków oraz niewątpliwego zainteresowania Japonii bliższą współpracą z Polską. Strategiczne znaczenie Polski w tej części Europy było zawsze w Tokio doceniane, a upadek komunizmu otwierał tu szerokie możliwości dla większego zbliżenia polityczno-gospodarczego między Japonią a Trzecią Rzeczpospolitą. Liczni politycy japońscy, przy różnych okazjach, niejednokrotnie nazywali Polskę „sąsiadem Japonii, oddzielnym obszarem ZSSR”, sygnalizując chęć do współpracy i wymiany doświadczeń w obliczu postępującej dezintegracji i niepewności dalszego rozwoju politycznego w byłym Związku Sowieckim. Niestety, sondaże japońskie w tym kierunku spotykały się z brakiem odzewu ze strony polskiej. Nie mogło być inaczej, gdyż w polityce zagranicznej odradzającej się Polski nie uwzględniono konieczności właściwego rozwijania stosunków dyplomatycznych z tak ważnym mocarstwem jak Japonia. Nie zrozumiano, iż zabiegi dyplomacji polskiej w żywotnych sprawach gospodarczo-finansowych powinny być kierowane w równej mierze pod adresem Tokio, jak Waszyngtonu. Braku własnej, niezależnej polityki japońskiej Polska o mało nie przyplaciła (na tle konfliktu polityczno-gospodarczego na osi Waszyngton-Tokio) japońskim veto w zawitej sprawie redukcji zadłużenia w kwietniu ub. roku. Rzutuje to w dalszym ciągu ujemnie na szanse większego zbliżenia gospodarczego Polski z Japonią, chociaż niedawne pociągnięcia Tokio dają podstawy do przypuszczeń, iż jeszcze nie wszystko jest po tym względem stracone.

Pomimo głębokiego kryzysu gospodarczego, długofalowy poten-

cjał gospodarczy Polski był wysoko notowany w Tokio. Będąc największym krajem Europy Środkowej, z wysokim stopniem wykształcenia ludności oraz znacznymi zasobami bogactw naturalnych, Polska ma wszelkie dane po temu, by stać się najbardziej prosperującym krajem w tym rejonie. W kwietniu 1990 r. przybyła do Polski ważna misja gospodarcza pod egidą MITI (Ministerstwa Handlu z Zagranicą) i *Keidanren*'u (zrzeszenie przemysłowców japońskich), żeby się zorientować w ogólnym klimacie inwestycyjnym kraju oraz możliwościach praktycznego wykorzystania uprzednio przyznanego pakietu pomocy gospodarczej¹. Wyniki badań tej misji zostały przedstawione w formie dwu raportów². Pierwszy prezentuje zwięzłą analizę przemian polityczno-gospodarczych w Polsce oraz japoński punkt widzenia na zachodzące w kraju zmiany. Japończycy wyszczególniają tu dwa najważniejsze problemy, od których rozwiązania zależy stabilizacja i dalszy rozwój gospodarczy Polski. Pierwszy dotyczy niedostatecznego rozwijania domowej bazy kapitałowej oraz niewłaściwego sposobu przeprowadzania prywatyzacji. Stworzenie odpowiednich bodźców podatkowych dla akumulacji pieniądza, poprzez konsekwentną politykę wzmocnienia złotówki i zasobów oszczędnościowych ludności, uważają oni za jeden z podstawowych czynników w procesie odbudowy kapitału domowego. Kolejny punkt krytyczny dotyczy braku (w negatywnym porównaniu z Węgrami) odpowiedniej polityki przemysłowej, realizowanej równoległe z reformą wolnorynkową. W ocenach japońskich gospodarka polska powinna od samego początku skupiać się na rozbudowaniu nowej bazy wytwórczej dla produkcji części składowych dla przemysłów konsumpcyjnych w najszerszym tego słowa znaczeniu, na modernizacji rolnictwa oraz rozwoju przemysłów przetwórczo-spożywczych.

Drugi, znacznie obszerniejszy raport, przedstawia szczegółowe relacje z pobytu misji w Polsce. Jest on o tyle ciekawy i pouczający, iż zawiera sporo szczerych, nieskrępowanych wypowiedzi członków misji, w formie wywiadów, notatek dla prasy itp., a więc interesującą mozaikę osobistych wrażeń. Przeważa tu, niestety, obraz zawodu i rozczarowania, w pierwszym rzędzie odnośnie samego przyjęcia misji (znów w porównaniu z Węgrami) w Polsce. Brak należytego przygotowania, słaba organizacja spotkań w terenie, słaba znajomość Japonii oraz brak zainteresowania misją ze strony polskiej prasy należą tu do najczęściej powtarzanych zarzutów. Szczę-

1. Pakiet pomocy gospodarczej na sumę 1 bln dol. przyznany przez premiera Japonii Kaifu w styczniu 1990 r. (patrz „Japońska pomoc gospodarcza dla Polski”, *Kultura* Nr 3/1990).

2. Chodzi tu o następujące raporty:

— Raport pt. *The Japanese Survey Mission on the Economic and Investment Environment in Poland and Hungary* (Japan Overseas Enterprises Association/Nihon Zaigai Kigyoo Kyookai, Tokio, Maj 1990) oraz

— *Porando, Hangari — Keizai Tooshi Kankyoo Choosadan Hookokusho* (Raport Misji Gospodarczej w Polsce i na Węgrzech, NZKK, Tokio 1990, str. 312).

gólnie uderzający był sposób potraktowania misji ze strony rządu, który do rozmów z Japończykami wydelegował ministrów i urzędników średniego rzutu, przeważnie jeszcze ze starej nomenklatury komunistycznej. Najlepsze wrażenie odnieśli Japończycy ze spotkania z członkami „Towarzystwa Przemysłowego” w Krakowie, które jedyne wykazało żywe, autentyczne zainteresowanie w nawiązaniu bliższych kontaktów gospodarczych i politycznych z Japonią.

Pierwsza, wielka szansa zbliżenia gospodarczego z Japonią została więc zmarnowana. Niekorzystne wrażenie z Polski odbiło się ujemnie na dalszym znikomym przyływie kapitału japońskiego oraz stopniowym pogarszaniu ogólnych stosunków gospodarczo-handlowych z Japonią. Opieszale reakcje (a często brak reakcji) ze strony polskiej na różne propozycje japońskie spowodowały, iż lwia część japońskiego pakietu pomocy gospodarczej leży niewykorzystana. Jednym z największych problemów, utrudniających przyływ kapitału japońskiego, jest nieuregulowana sprawa tzw. repatriacji zysków. W sytuacji mało przejrzystego prawa w tej dziedzinie, strona japońska już od dwu lat bezskutecznie zabiega o zawarcie dwustronnej umowy odnośnie odpowiednich gwarancji rządowych (jaką np. Polska ma z USA), co ułatwiłoby proces udzielania gwarancji kredytowych i eksportowych ze strony japońskiego Eximbanku. Problem ten został jeszcze bardziej spotęgowany po częściowej redukcji zadłużenia polskiego przez Klub Paryski w kwietniu ub. roku³. W konsekwencji podpisane w lutym br. porozumienie z Japonią o częściowej redukcji zadłużenia przyniosło Polsce więcej szkody niż korzyści. W tym czasie zaufanie inwestycyjne do Polski w Japonii (podsycane niepewną sytuacją polityczną w kraju) spadło niemal do zera. Świadczy o tym najdobitniej complete wykluczenie Polski z rządowego pakietu kredytowego dla Europy Środkowo-Wschodniej (w wys. 300 mln dol., z czego same Węgry i Czechosłowacja otrzymały po 100 mln, przyznanego (pod presją USA) w kwietniu br.

Podobnie jak w sprawie redukcji zadłużenia, w sukurs Polsce przyszło wstawiennictwo Waszyngtonu. Do pierwotnej sumy 300 mln dol. dołączono, z myślą o Polsce, dodatkowe 9 mln jenów (ok. 90 mln dol.), w postaci funduszy JAIDO⁴. JAIDO jest stosunkowo

3. Tło konfliktu japońsko-amerykańskiego wokół redukcji polskiego zadłużenia szczegółowo naświetlił szef Japońskiego Instytutu Polityki Finansowej w Tokio Nishimura na łamach *Nikkei Biznesu* (22.4.91). Z jego wyjaśnień wynika m.in., iż Japonia była do ostatniej chwili utrzymywana w niewiedzy o planach Waszyngtonu w tej sprawie.

4. JAIDO (Japan International Development Organisation Ltd.) — powstałe w marcu 1989 z inicjatywy japońskiej federacji przemysłowców *Keidanren'u*, celem promocji inwestycji japońskich w krajach o wysokim stopniu zadłużenia. Polityka inwestycyjna JAIDO wychodzi z założenia, iż najlepszą

nową formą japońskiej pomocy gospodarczej, szczególnie wygodną dla krajów o wysokim stopniu zadłużenia. Stwarza ona idealne warunki minimalnego ryzyka dla prywatnego kapitału, a wyklucza zwiększenie istniejącego stanu zadłużenia. Fundusze JAIDO preferencyjnie finansują projekty nowoczesnych zakładów wytwórczych w przemyśle, umożliwiając transfer najnowszej technologii japońskiej. Polska, wg wyjaśnień japońskich, ma być pierwszym krajem w Europie Wschodniej dla wypróbowania tej metody pomocy gospodarczej.

Pierwsze projekty próbne są już w toku przygotowania. Początkiem lipca br. przybyła do Polski specjalna delegacja JAIDO na spotkanie z japońskimi przedstawicielstwami handlowymi w Warszawie, na którym uzgodniono główne sektory przemysłowe dla pierwszych projektów JAIDO. Na pierwszy plan wysuwa się projekt wprowadzenia japońskich technologii do górnictwa węglowego (produkcja briketów węglowych *bio-col*), celem redukcji zanieczyszczenia, podniesienia oszczędności energii obraz obniżenia kosztów wydobycia węgla. Dalsze projekty przewidują montaż kompletnych zakładów wytwórczych w dziedzinach produkcji rolno-spożywczej, produkcji nowoczesnych materiałów budowlanych oraz przeróbce aluminium. Nie przypadkiem chodzi o projekty w sektorach, którymi zainteresowała się już japońska misja gospodarcza przed dwoma laty.

Zaplanowane w ramach JAIDO projekty próbne przedstawiają więc kolejną, miejmy nadzieję nie ostatnią, szansę na wejście kapitału japońskiego do kraju. W wypadku ich pomyślnej realizacji, plany japońskie nie wykluczają możliwości dalszych projektów, czy też poszerzenia pomocy JAIDO na inne sektory. JAIDO odgrywa dziś coraz większą rolę w inwestycjach kapitału prywatnego i transferze technologii, a najprawdopodobniej będzie kluczową formą finansowania w ramach japońskiego planu pomocy gospodarczej dla Europy Wschodniej (tzw. 'Program Japonia', patrz *Kultura* Nr 7-8/92).

Po okresie przewlekłego impasu przed Polską otwierają się więc nowe możliwości zbliżenia gospodarczego z Japonią. Podstawowym warunkiem sukcesu pozostaje jednak nadal konieczność uregulowania i usunięcia wszystkich przeszkód biurokratyczno-administracyjnych, które dotąd hamowały przyływ kapitału japońskiego. Dalszym, niemniej ważnym warunkiem jest wypracowanie i konsekwentna realizacja własnej, niezależnej od USA polityki japońskiej.

Janusz MONDRY

metodą redukcji zadłużenia jest pomoc we wzmocnieniu gospodarki zadłużonych krajów. Głównym źródłem kapitału JAIDO są fundusze prywatne (ok. 100 największych korporacji japońskich) oraz rządowe fundusze pomocy gospodarczej. Zadaniem JAIDO jest identyfikacja odpowiednich projektów, które po sprawdzeniu technicznym są przedkładane do zatwierdzenia przez Komitet Współpracy Gospodarczej *Keidanren'u*.

Ameryka i Polska: współżycie czy małżeństwo?

Oderwana od więzów sowieckich, chłonąca powietrze wolności, Polska zaczęła nowymi oczami rozglądać się po świecie, oceniać swoje nowe możliwości, analizować stosunki wewnętrzne i zagraniczne. Na rynek wewnętrzny wkroczyła natychmiast — i w sposób oczywisty — koncepcja rządów parlamentarnych; na rynek zewnętrzny — koncepcja własnej, suwerennej polityki zagranicznej. Otworzyły się nowe horyzonty, pełne wielkich nadziei i w dużym stopniu wielkich iluzji.

Dzisiaj, po kilku latach doświadczeń, nowe władze polskie znajdują się wobec innej rzeczywistości aniżeli ta, którą sobie wymalowali romantycy okresu wielkiej Solidarności. Rządy parlamentarne okazały się nietrwale, niezdolne do podejmowania decyzji. Narzuca się porównanie historyczne: okresy przedrozbiorowe i okres lat dwudziestych. Podnoszą się głosy (krajowe i zagraniczne), że sytuacja obecna może spowodować nawrót do rządów prezydenckich; są to znaki niepokojące, które mogłyby łatwo doprowadzić do radykalnej zmiany światowej opinii publicznej, która do bardzo niedawna stawiała Polskę za przykład najbardziej światły, najbardziej godny naśladowania przez inne państwa Europy Wschodniej.

Stany Zjednoczone tradycyjnie uważały Polskę za jednego z najbardziej interesujących sojuszników. Podczas drugiej wojny światowej Armia Krajowa uważana była za wzór armii podziemnej. W okresie zimnej wojny opór Polski przeciwko okupacji sowieckiej i narodziny Solidarności były kontynuacją kraju, który się nigdy nie poddaje. W oczach przeciętnego Amerykanina Polska stała się symbolem tego, co się uważało za szlachetne, słuszne i godne podziwu. Ta powszechna opinia, niestety, nie zawsze znajdowała wyraz w decyzjach politycznych i strategicznych, podejmowanych przez rządy w Waszyngtonie. Deklaracje poparcia — począwszy od Roosevelta, a skończywszy na Reaganie — były dużo bardziej symboliczne, aniżeli to, czego oczekiwali i spodziewali się Polacy. W rezultacie wyidealizowany obraz Ameryki zaczął się w opinii publicznej w Polsce coraz bardziej zacierać. Z obu stron nastąpiło, i dalej trwa, pewnego rodzaju wzajemne otrzeźwienie. Romantyzm strony polskiej powoli ustępuje miejsca dużo bardziej realistycznej analizie wzajemnych stosunków. Polska walcząca powoli przechodzi do historii w oczach Amerykanów. Zamiast tego wyłania się nowy kraj, dobijający się o uznanie w innym kontekście. W tej chwili w Polsce toczy się inna walka: walka o stabilizację gospodarczą, walka o równouprawnienie polityczne różnych warstw społeczeństwa i wreszcie walka o to, żeby kapitalizm, który nie zawsze przynosi ze sobą równo-

uprawnienie gospodarcze, nie przerodził się w instrument destrukcyjny.

Tak wygląda jedna strona medalu wzajemnych stosunków Ameryki i Polski. Ale jest także jej druga strona, o której często w Polsce się zapomina. Stany Zjednoczone są dzisiaj innym państwem niż to, którym były przez ostatnie pół wieku. Ameryka otworzyła swoje wrota szeroko; emigracja ze wszystkich stron świata przeorała strukturę demograficzną; zmieniła profil socjologiczny; stworzyła ogromne warstwy ludzi nieprzygotowanych do normalnej walki o byt, przed którą tradycyjnie stawał każdy nowoprzybyły emigrant. Z południa napłynęły warstwy ludności bez znajomości języka i bardzo często bez wykształcenia, zarówno ogólnego, jak i technicznego. Zaczęło wzrastać bezrobocie; jednocześnie, na skutek polityki budżetowej, Stany znalazły się na czele krajów najbardziej zadłużonych. Według opinii poważnej grupy ekonomistów, Ameryka straciła niepodległość i suwerenność gospodarczą; jest w ogromnym stopniu zależna od napływu kapitałów obcych — zarówno z Azji jak i z Europy. Poważne zaburzenia natury budżetowej w takich krajach jak Japonia, Niemcy i Wielka Brytania mogą mieć silne reperkusje wewnętrzne w Ameryce. Już w tej chwili, na skutek recesji, widać początki tego rodzaju zaburzeń.

Te oddalone dość konsekwencje zbladły w umysłach Amerykanów w momencie, kiedy zaburzenia natury niemal rewolucyjnej wybuchły w Kalifornii. Pożary, napady i rabunki, uczucie szalonego rozczarowania do amerykańskiego systemu praworządności, wszystkie te elementy zmieniły krajobraz polityczny. Zainteresowania problemami gospodarczymi, deficytem budżetowym czy nawet polityką zagraniczną zeszyły na dalszy plan. Na pierwsze miejsce problemów socjalnych wysunęły się zagadnienia rasowe. Prasa amerykańska w dalszym ciągu publikuje artykuły dotyczące innych zagadnień, ale zarówno prasa jak i inne ośrodki masowego przekazu poświęcają większość czasu i miejsca wypadkom kalifornijskim i refleksjom, co one oznaczają — także dla pozycji Ameryki poza granicami państwa.

Dygresja o Ameryce jest rzeczą konieczną, jeżeli chcemy trzeźwo popatrzeć na stosunki polsko-amerykańskie. Pomoc finansowa dla Polski jest już zatwierdzona, ale ten akt natury polityczno-charytatywnej nie zmienia bynajmniej faktu, że zarówno Polska, jak i reszta krajów Europy centralnej i wschodniej przestały być terenem, uważanym przez Waszyngton za istotny. Teren ten odegrał ogromną rolę w przeszłości; w polityce zagranicznej nie tylko Stanów, ale całego Zachodu, był symbolem walki o narodową niepodległość; był także znakomitą odskocznią polityki antysowieckiej. Oba te elementy przestały odgrywać rolę. Polska, kraj najbardziej związany z symboliką zimnej wojny, stała się nowym symbolem: symbolem zmiany. Ustrój demokratyczny i przetrwanie się na koncepcje gospodarki rynkowej stały się dwoma głównymi celami tej zmiany. Tylko, że Zachód w chwili obecnej, zamiast włączyć się

w te poważne procesy, stał się dalekim i raczej zimnym obserwatorem. W Białym Domu przyjmuje się dostojników przyjeżdżających z Warszawy; w Departamencie Stanu przyjmuje się dyplomatów polskich. Ale zarówno te przyjęcia jak i rozmowy rzadko mają wydźwięk polityczny. Utrzymywane są przeważnie w formie rytualnej i grzecznościowej; upadek imperium sowieckiego spowodował także upadek zainteresowania krajami, które się wyzwoliły z granic tego imperium. A kiedy podczas wizyty ostatniego premiera polskiego w Waszyngtonie podniesiono ze strony polskiej ciekawą i bardzo śmiałą koncepcję przyszłej współpracy Polski z byłymi republikami sowieckimi — Ukrainą i Białorusią — reakcja amerykańska nawet nie została odnotowana w oficjalnym komunikacie.

Analiza obecnych stosunków polsko-amerykańskich nie byłaby kompletna bez wspomnienia roli, jaką odgrywała i nadal odgrywa Polonia Amerykańska. I tutaj też nastąpiła zmiana; zmiana związana ściśle z sytuacją międzynarodową.

Tradycyjnie Polonia, skoncentrowana w okolicach wielkich skupień Polaków — Chicago, Buffalo i New York — była politycznie atrakcyjna, ważna, i prawie zawsze uważana za blok głosów, o który kandydaci na prezydenta mocno się ubiegali. Polonia, antykomunistyczna, zakorzeniona głęboko w dogmaty Kościoła katolickiego, tradycyjna i konserwatywna, miała duże wpływy. Kongres Polonii wyrobił sobie dość mocną pozycję. W ubiegłych latach żaden polityk amerykański starający się zdobyć głosy polskie nie śmiał nigdy sugerować współpracy z Moskwą, nie mógł sobie także pozwolić na pominięcie sloganów antykomunistycznych. Dzisiaj Polonia przestała być jednolitym, łatwym do przeanalizowania blokiem; zarówno w Kongresie, jak i w wielu innych organizacjach polonijnych, rozbitcie polityczne do pewnego stopnia odzwierciedla to, co dzieje się w kraju. Jednocześnie zabrakło celu istnienia; celu, który w okresie konfliktu sowiecko-amerykańskiego był jasny i prosty. Dzisiaj cel zniknął, zamiast niego pojawił się na horyzoncie zagadnień polonijnych cel bardziej przyziemny, bardziej odpowiadający nastrojom wewnętrznym. Tym nowym celem jest zdobycie dla Amerykanów pochodzenia polskiego stanowisk rządowych, które z jednej strony dalyby dostęp do sfer politycznych podejmujących ewentualne decyzje w sprawach Polski, a z drugiej strony prestiżowo podbudowałyby również Kongres Polonii. Czy tego rodzaju zmiany utrzymają sfery polonijne na szczeblu poważnego zainteresowania kandydatów na prezydenta w okresie wyborów, pokaże czas. Obie dotychczasowe wizyty Busha i Clintona na terenie Chicago były raczej formalne; z chwilą kiedy kampania wyborcza stanie się bardziej dynamiczna, kiedy głosy polskie zaczną się naprawdę liczyć, wpływy — czy ich brak — Polonii amerykańskiej przejdą ostry egzamin.

W jaki sposób, wobec tych wielkich zmian, można oceniać dzisiaj charakter stosunków polsko-amerykańskich? W jaki sposób można nakreślić ogólne zarysy polityki zagranicznej Warszawy, która

stałaby się bardziej atrakcyjnym partnerem dla Waszyngtonu? Mam wrażenie, że trzeba być bardzo pragmatycznym: Amerykanie szukają rynków zbytu; szukają partnerów, którzy pozwolą na to, aby podeprzeć stanowisko Stanów na rynku światowym. Polska może w tej nowej chwili dać robociznę; może dać to, co do niedawna dawały niektóre kraje azjatyckie: warsztaty pracy lokalnej, które mając dostęp do ludzi chętnych do szybkiego zarobku, nie mających wielkich wymagań zarobkowych (w porównaniu do tego, czego wymagają robotnicy amerykańscy); innymi słowy w tym okresie przejściowym Polska może stać się dla wielkich amerykańskich przedsiębiorstw źródłem niedrogiej robocizny.

Ale to nie wystarczałoby na to, żeby Polska weszła z powrotem na agendę polityki zagranicznej Stanów i Zachodu. Do taniego rynku pracy powinna dojść także możliwość inwestycji kapitału; na to z kolei potrzebne jest zaufanie banków i inwestycji kredytowych. To zaś wymaga dość solidnych podstaw stabilizacji politycznej, której w tej chwili brakuje. Jakkolwiek kapitał zachodni — szczególnie niemiecki — penetruje szereg polskich przedsiębiorstw, jakkolwiek coraz więcej spółek międzynarodowych pokazuje się na polskim horyzoncie handlowym, to wciąż jest to bardzo niewiele w stosunku do tego, czego Ameryka potrzebuje. Przy ostrej konkurencji japońskiej, koreańskiej i Wspólnoty Europejskiej byłoby rzeczą niesłychanie pożyteczną dla obu stron, gdyby Europa Wschodnia wyłoniła się nagle jako partner, współpracownik i rynek zbytu zarówno dla kapitału jak i dla produktów amerykańskich. Podkreślam tutaj bardzo istotny element tej przyszłej współpracy oparty nie na konkurencji, ale wyłącznie na wspólnym interesie. Tylko w takich ramach wzrosnąć może zainteresowanie Polską. Tak jak dawniej Polska była „Chrystusem narodów”, tak pod koniec bieżącego stulecia może ona zejść z piedestału wielkości ducha, a zamiast tego stać się współtwórcą bardziej przyziemnego celu: ulepszenia życia przeciętnego obywatela. To ulepszenie jest konieczne i w Polsce i w Ameryce. Niedawno opublikowane statystyki wskazują na bardzo groźne ostrzeżenia natury socjalnej po amerykańskiej stronie Atlantyku: na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat dochody ludzi najmniej zarabiających w Ameryce spadły o 14,8%, podczas kiedy zarabiający najwięcej (jeden procent ludności) zyskali w tym samym czasie 49,8%. Ale to nie jest wszystko; dramatycznie wzrosła liczba bezdomnych; dramatycznie wzrosła grupa ludzi, którzy są pozbawieni ubezpieczeń społecznych; dramatycznie wzrosły zastępy dzieci poniżej lat dziesięciu, których rodzice nie są w stanie normalnie wyżywić.

Oprócz zagadnień czysto społecznych istnieje także element bezpieczeństwa. Jakkolwiek Związek Sowiecki przestał istnieć, jakkolwiek całe nastawienie Zachodu uległo radykalnej zmianie, obawa istnieje, że wewnętrzne walki na terenie byłego Związku mogą łatwo przerodzić się w konflikty natury szerszej, zagrażające bezpieczeństwu sąsiadów. Tutaj Polska, razem z innymi krajami regionu, mogłaby odegrać ważną rolę z punktu widzenia Zachodu. Zakładając,

że Organizacja Narodów Zjednoczonych potrafi kontynuować swoją rolę czynnika pokoju i sprzyjać rozładowywaniu konfliktów, Polska mogłaby stać się pośrednikiem, niemalże agentem ONZ-tu. Tak jak dotychczas brygady pokojowe ONZ-tu składały się zwykle z żołnierzy krajów skandynawskich, tak w przyszłości mogłyby składać się z jednostek rekrutowanych z krajów Europy Wschodniej.

Czytelnik tego artykułu, uważający Amerykę za kraj wolności, dobrobytu i pełnej sprawiedliwości społecznej, może mieć wielkie wątpliwości co do danych, na których opiera się moja analiza. Kiedy podawałem je kilka miesięcy temu na odczycie w Krakowie, oskarżony zostałem o propagandę antyamerykańską. Jest rzeczą normalną, że ludzie nie chcą łatwo się pozbyć złudzeń; że obraz dalekiego kraju, który od lat był symbolem tego wszystkiego, czego brakowało w Polsce, jest w dalszym ciągu obrazem wyidealizowanym. Ale po to, żeby zrozumieć w pełni dość zasadniczą zmianę stosunków polsko-amerykańskich, trzeba trzeźwo spojrzeć na przyczyny, jakże często nie mające nic wspólnego ani z wzajemnymi sentymentami, ani z dawną historią. Romantyzm dawnych lat ustąpił obecnie pragmatyzmowi.

A zatem — czy te wzajemne stosunki są małżeństwem, czy tylko współżyciem? Odpowiedziałbym na to pytanie w sposób, który na pewno nie zadowoli nikogo: małżeństwo oparte na młodocianej miłości rozbiło się, kiedy obie strony spojrzały na siebie przez nowy pryzmat: Polska przestała być symbolem walki; Ameryka przestała być symbolem ideału. Za dziesięć lat być może, że małżeństwo się znów scementuje; tylko, że wtedy nowi partnerzy będą bardziej realistyczni, doroślejsi i znacznie bardziej pewni tego, że utrzymanie mocnych więzów leżeć będzie w ich obopólnym interesie.

Waszyngton, 27 maja 1992

Zygmunt NAGÓRSKI

Obserwatorium

Dekomunizacja: pozory i rzeczywistość

Sejm skierował do rozpatrzenia przez komisję pięć projektów ustaw dekomunizacyjnych i jeden projekt ustawy lustracyjnej. Nie będziemy tu omawiać ich szczegółowo, gdyż żaden nie zostanie zapewne uchwalony w jego obecnym brzmieniu. Wyjaśnijmy tylko, że projekt ustawy lustracyjnej ma na celu uniemożliwienie dostępu do najważniejszych urzędów w państwie osobom, którym zostałyby udowodnione, że uprawiały w czasach PRL działalność agenturalną. Zaś wszystkie projekty ustaw dekomunizacyjnych łączy to, że proponują, by każdy kto kiedykolwiek w czasach PRL pełnił określone — w każdym projekcie inaczej — funkcje w aparacie PZPR, w MSW, MON, cenzurze, urzędzie do spraw wyznań, był, z tego tylko tytułu, pozbawiony prawa do zajmowania stanowisk kierowniczych w instytucjach publicznych na okres 10 lat; wedle projektu Senatu obejmuje to również zakaz wykonywania pewnych zawodów (m.in. notariusza, adwokata, radcy prawnego).

Idea ustawy lustracyjnej nie budzi zastrzeżeń zasadniczych. W każdym państwie sprawdza się życiorysy kandydatów na urzędy wrażliwe, zwłaszcza związane z obronnością i bezpieczeństwem. Musi natomiast budzić je sam pomysł ustawy dekomunizacyjnej. Powodów po temu jest kilka, przy czym każdy z osobna wystarcza. Łącznie prowadzą one do wniosku, że ustawy takiej nie sposób uchwalić bez równoczesnego pogwałcenia podstaw porządku prawnego, wejścia w konflikt z poczuciem sprawiedliwości, narzucenia fałszywego obrazu dziejów najnowszych i spowodowania długotrwałych, negatywnych skutków politycznych i społecznych.

Nie każda ustawa jest prawem. Gdyby było inaczej, nie byłoby powodu, by nie uważać za prawo całej produkcji norma-

tywnej z okresu stalinowskiego, w tym również dekretu z 22 września 1946 r. o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszycyzację państwa. Dekret ten uważamy jednak za usankcjonowanie bezprawia zarówno z uwagi na jego gumowe sformułowanie, jak przede wszystkim dlatego, że był pogwałceniem zasady będącej podwaliną wszelkiej praworządności: prawo nie działa wstecz. Otóż każda ustawa dekomunizacyjna, choćby najlepiej zredagowana, jest również pogwałceniem tej zasady i pod tym względem niczym nie różni się od osławionego dekretu. Odpowiedź, że dekret ten kwalifikował określone czyny jako przestępcze i odpowiednio do tego karalne, a ustawa dekomunizacyjna tego unika, jest zwyczajnym wykrętem. Albowiem, jak o tym świadczy choćby dyskusja w Senacie, mówi się tu o winie i karze z tym wszelako, że ma nią być nie więzienie, ale status *lisienca*.

Co więcej, wszystkie projekty ustawy dekomunizacyjnej proponują karanie nie za określone czyny, ale za sam fakt zajmowania w czasach PRL pewnych stanowisk. Naruszają tym samym inną podstawę wszelkiej praworządności: zasadę odpowiedzialności jednostki za jej postępowanie. Zastępuje ją zasada zbiorowej odpowiedzialności pewnej grupy za komunizację kraju; samo uczestnictwo w niej jest zatem karalne. Stanowisko takie dałoby się obronić tylko w przypadku, gdyby uznało się tę grupę, tj. aparat PZPR i jego przedłużenia, za organizację przestępczą, jak to się stało z NSDAP. Ale tak daleko żaden projekt nie ma odwagi się posunąć, zapewne dlatego, że należałoby wtedy zapytać o odpowiedzialność wszystkich, którzy z tą organizacją współpracowali: szeregowych członków PZPR, członków PAXu i partii satelickich, bezpartyjnych posłów, działaczy PRON, a nawet Episkopatu Polski. Skoro jednak nie chce się uznać — i słusznie — aparatu PZPR z przyległościami za organizację przestępczą, to pociąganie do odpowiedzialności za samą przynależność doń okazuje się bezpodstawne: należy rozliczać każdego z jego czynów. Ale tego ustawa dekomunizacyjna nie załatwi i nie to zresztą jest jej celem.

Znane projekty ustaw dekomunizacyjnych ustawiają bardzo nisko barierę odpowiedzialności zbiorowej: na poziomie sekretarza komitetu zakładowego lub gminnego PZPR. Ale zarazem zakreślają bardzo wąsko krąg osób, których ustawa dotyczy: tak mianowicie, by wyłączyć z jej zasięgu partię satelickie, PAX, posłów i innych działaczy bezpartyjnych, słowem, tych wszystkich, którzy cieszyli się zaufaniem władz PZPR różnych szczebli, którzy czynnie przykładali się do realizowania polityki kolejnych kierownictw PZPR, którzy wiernie spełniali polecenia i w zamian za to w pełni korzystali z dobrodziejstw PRL, z jej zaszczytów, tytułów, nagród, premii i odznaczeń, a którzy teraz

występują w roli politycznych dziewic, jeśli zgoła nie westalek narodowego ogniska. Takie wytyczenie kręgu odpowiedzialnych za PRL jest równie sprzeczne z elementarnym poczuciem sprawiedliwości, jak sprzeczne z nim byłoby karanie przestępców ale nie tych, którzy czerpią zyski z cudzego przestępstwa.

Każda ustawa dekomunizacyjna zakłada pewną wizję najnowszych dziejów Polski. Wizję manichejską: po jednej stronie samo zło, po drugiej — czyste dobro. Po jednej PZPR, której członkowie naznaczeni są niezmywalnym piętnem; po drugiej — kler w otoczeniu licznych rzesz katolików świeckich. Dla nikogo innego nie ma tu miejsca. O tym, że jest to wizja fałszywa, wie każdy, w kim ideologia i fanatyzm nie zabiły całkowicie pamięci, tzn. większość Polaków. Narzucenie w trybie ustawy obrazu dziejów radykalnie kolidującego z pamięcią zbiorową — to postawienie się w sytuacji przypominającej tę, w jakiej komuniści postawili się po zdobyciu władzy, gdy przystąpili do fałszowania historii Dwudziestolecia. I narażenie się na taką samą reakcję społeczną.

Na zgubne dla nauki i kultury skutki coraz bardziej radykalnych pomysłów dekomunizacyjnych zwracano już uwagę na łamach prasy. Zrobił to m.in. Karol Modzelewski w świetnym artykule „Dyktatura ciemniaków” (*Gazeta Wyborcza*, 4.09.1992). Ale rzecz się na tym nie kończy. Po pierwsze dlatego, że urzeczywistnienie dekomunizacji w stylu proponowanym przez Senat oznaczałoby zniszczenie wojska i ostateczne sparaliżowanie policji, co obaj zainteresowani ministrowie starali się senatorom wytłumaczyć; niestety, bez skutku. Po drugie dlatego, że pociągnęłoby to za sobą dalsze utrudnienie działalności gospodarczej firm z udziałem Skarbu Państwa, które nie mogłyby zatrudniać na stanowiskach kierowniczych osób kompetentnych, lecz pozbawionych przez ustawę prawa do zajmowania ich, co zważywszy brak wykwalifikowanego personelu nie jest względem mało ważnym. Krótko mówiąc, to, co proponuje Senat, jest zerwaniem ciągłości funkcjonowania i dalszym osłabieniem i tak już słabego państwa. Jak zareagują na to obywatele, którzy tę słabość państwa odczuwają na własnej skórze?

W bardziej długofalowej perspektywie, niebezpieczeństwo wszelkiej ustawy dekomunizacyjnej pomyślanej tak, jak zgłoszone do Sejmu projekty, zwłaszcza zaś — projekt Senatowi, polega na tym, że zastępuje ona prawo aktem ubranej w formę prawną politycznej zemsty, co czyniąc dzieli społeczeństwo miast je jednoczyć i otwiera cykl odwetu, który każe myśleć z największym niepokojem o przyszłości. Ktokolwiek wie, jak działają demokracje, wie, że każda dzisiejsza większość jest jutrzejszą mniejszością i że choćby dlatego nie należy korzystać z chwilowej przewagi, by gnębić przeciwników politycznych, którzy mają szansę

powrotu do władzy. Wnioskodawcy ustaw dekomunizacyjnych wyobrażają sobie, że będą rządzić jeśli nie wiecznie, to przynajmniej przez najbliższych 10 lat. Znajomość nastrojów społecznych każe o tym wątpić. Pewność siebie niektórych posłów i senatorów zrozumieć można tylko jeśli się przyjmie, że intencją ustaw dekomunizacyjnych wcale nie jest dekomunizacja, lecz że chodzi o usunięcie za sceny politycznej tych wszystkich — nie tylko SDRP — którzy sprzeciwiają się przekształceniu Polski w „państwo chrześcijańskie” w rozumieniu pła Niesiołowskiego, w którym to państwie demokracja zostanie odpowiednio ograniczona, by umożliwić jego zwolennikom trwałe zachowanie monopolu władzy.

Miast zajmować się ustawami dekomunizacyjnymi, Sejm i Senat powinny wreszcie zająć się rzeczywistym usuwaniem z życia polskiego pozostałości komunizmu. Wymaga to osądzenia tych wszystkich, którzy w czasach PRL popełnili przestępstwa w rozumieniu obowiązującego wtedy prawa. Jakoż torturowanie więźniów, wymuszanie zeznań, fałszowanie dowodów, nadużywanie władzy, w tym również dla osobistych korzyści — wszystko to było karalne w świetle prawa PRL; to przecież w oparciu o to prawo skazano zabójców księdza Popiełuszki. Doprowadzenie do sądu wszystkich spraw stłumionych w czasach PRL, m.in. wszystkich przypadków użycia broni po 13 grudnia 1981 r., powinno być pierwszym krokiem rzeczywistej dekomunizacji. Powinno nim być również pociągnięcie do odpowiedzialności wszystkich osób, którym można udowodnić, że były agentami sowieckimi. A potem już niech niezawisłe sądy Rzeczypospolitej orzekają o winie i karze.

Dekomunizacja to nie tylko rozrachunek z przeszłością. To również przeobrażenie umysłów, by wyrugować z nich nawyki myślenia komunistycznego, które zaraziło, jak to się często zdarza, antykomunistów, czyniąc z nich zwierciadlane odbicia ich przeciwników. To tworzenie nowych instytucji gospodarczych. To wszystko, co przyczynia się do powstania takiej Polski, w której, inaczej niż dziś, każdy Polak będzie się czuł u siebie, niezależnie od tego, czy zgadza się z rządem czy nie. Proponowane ustawy nie prowadzą do tego celu. Nie podobna bowiem zbudować prawa na bezprawiu, sprawiedliwości na odwecie, prawdy na kłamstwie i przeszłości na nienawiści.

REDAKCJA

Sen i jawa

Interesujący skądinąd tygodnik poznański *Wprost* opublikował 23 sierpnia artykuł Mariusza Urbanka *Polska na jawie*. „Nadtytuł” artykułu brzmi tak: „Unieważniając PRL, unieważniamy emigrację polityczną, która istniała właśnie dlatego, że istniała PRL”. Formalnie można się z tym zgodzić. Przeszło rok temu, w Poznaniu właśnie, Gustaw Herling-Grudziński, przyjmując doktorat honorowy na UAM, wygłosił przemówienie zatytułowane „Przestałem być pisarzem emigracyjnym”. Coś podobnego mogliby o sobie powiedzieć politycy emigracyjni. Co nie znaczy jednak, że mieszkając za granicą, uznali swą rolę za zakończoną. *Wprost* przeciwnie — okoliczności nadały ich roli szczególne, często donioślejsze znaczenie.

Autor artykułu, prawdopodobnie zbyt młody by pewne rzeczy pamiętać, pisze: „Wielcy polscy emigranci, krytykując dzisiejszą Polskę, mają rację. Pojawia się jednak pytanie: właściwie dlaczego miałyby być inaczej?” I wyjaśnia: „Emigracja czuje się zawiedziona tym, że nowa Polska nie przystaje do jej snu o Niepodległej. Miała być piękna, mądra, praworządna i tolerancyjna. Pielęgnowując w oddaleniu mit wolnej ojczyzny, wyhodowali w sobie wizję Polski z utopii. Gustaw Herling-Grudziński wspominał, że w Maisons-Laffitte, siedzibie Instytutu Literackiego i paryskiej *Kultury*, żyło się niby w małej Polsce. Ale to była Polska, której jedynymi obywatelami byli Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Konstanty Jeleński, Jerzy Stempowski, Juliusz Mieroszewski, Czapski i Hertzowie. Bardzo piękna Polska, ale równie bardzo nierealna”. Myli się młody (prawdopodobnie) człowiek. Obywatelami tej Polski ze snów o Niepodległej, Polski z utopii, Polski pięknej lecz nierealnej, byli nie tylko bliscy współpracownicy *Kultury* z jej redaktorem na czele. Byli nimi również i są nimi nadal setki, tysiące czytelników naszego miesięcznika, którzy mieli i wciąż mają przed oczami pewien obraz Polski ze „snu o Niepodległej” — obraz, który nie przystaje do obecnej „Polski na jawie”. Dlaczego miałyby być inaczej? — zapytuje lekkomyślny autor. Dlatego po prostu, że upadek komunizmu nie zakończył walki o Polskę mądrą, praworządną i tolerancyjną. Ta walka trwa i długo jeszcze potrwa. Oto główna przyczyna dalszego istnienia *Kultury* w Paryżu, pisma już nie emigracyjnego, lecz wciąż jeszcze (może nawet coraz bardziej) potrzebnego.

Latem zeszłego roku Vaclav Havel napisał (co charakterystyczne: za radą i przy współdziałaniu Pawła Tigrida, naszego

przyjaciela, przez wiele lat redaktora paryskich *Svedectvi*, czeskiego odpowiednika paryskiej *Kultury*) krótką książkę *Letnie medytacje*. Był jeszcze wówczas prezydentem Czechosłowacji. Zaraz na wstępie odmalowuje obraz „Czechosłowacji na jawie”. Jest on odpychający w swojej brzydocie i małości, kropła w kropkę podobny do „Polski na jawie”, i tak rażąco, tak jaskrawo odmienny od „Czechosłowacji ze snu”, że rozpacz ogarnia. Ale Havel jest zbyt mądrym człowiekiem, by poddać się rozpacy. Komentuje więc ten obraz: „A przecież mówię sobie, że jeśli mogłem z garstką przyjaciół przez tyle lat bić głową o mur, głosząc prawdę o komunistycznym totalitaryzmie otoczony oceanem obojętności, nie ma najmniejszego powodu, bym przestał bić głową o mur dzisiaj wśród marazmu naszego współczesnego społeczeństwa, i nie ma powodu, by uważać tę walkę za przegraną z góry. Przegrana z góry może być tylko walka, z której rezygnujemy *a priori*”.

To samo mamy prawo powiedzieć o naszej walce, choć wiemy dobrze, jaka jest dziś „Polska na jawie”. Dopóki to jest możliwe, dopóki los pozwoli, nie przestaniemy bić głową o mur, aby przebić się, lub ułatwić to przebiecie młodszemu od nas, do „Polski ze snu”, Polski w której i dla której warto żyć.

REDAKCJA

Polnische Buchhandlung
KSIĘGARNIA POLSKA
 Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
 Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
 Tel. i fax: (1) 52 63 114
 Konta pocztowe
 Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
 Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.
 Bezpłatne katalogi na żądanie

Kraj

Z ukosa

Jestem czasami tak strasznie, tak bezgranicznie znużony śledzeniem naszego życia politycznego, naszej społecznej czkawki, niustannych wymiotów i skrętów kiszki, że coraz lepiej rozumiem coraz liczniejszych moich rodaków, którzy na to wszystko wrzuszają ramionami i mówią: nie wiem, nie chcę wiedzieć, nic mnie to nie obchodzi. I pomyśleć, że to nie koniec, że niustannie ma miejsce jakiś początek. Że cała Europa stoi w przededniu nowych zdarzeń, że kurz bitewny bratobójczej wojny z Bałkanów przeniesić się musi na tereny dawnego ZSSR, że Europa Zachodnia też ujawnia niespodziewanie coraz poważniejsze objawy różnych narodowych „nieżyć” serca.

Więc odczułem jakąś niebywałą ulgę, gdy samolot, niemal pusty w środku i pachnący poziomkowym szamponem, wznosił mnie wysoko, ujawniając pod swoim brzuchem krzyczącą zielenią oddalającej się Europy. Potem miękkie lądowanie i port lotniczy tak wrzuszająco mały, że stojący przy nim samolot wydaje się srebrnym i nadprzyrodzonym olbrzymem. Poczekalnia była pusta i próżna zwykłego w takich miejscach napiętego oczekiwania i ciężarów szczęśliwego przybicia do brzegu. Ale nawet tutaj, w tej pustej poczekalni, odkrywam swój chorobliwy lęk, że z megafonu odezwie się nagle charczący głos i skarci mnie po imieniu. I stało się. Nie było wyzwiśk, za to moje imię i nazwisko miało w sobie wszystkie kości połamane, ale to nie bolało. Bardzo dzielnie udałem się do okienka by wysłuchać wyroku, ale dowiedziałem się tylko, że samochód wysłany po mnie spóźni się. Usiadłem więc na dworze przy plastikowym białym stoliku i na takim samym krześle (te krzesła podbiły świat i stoją od Warszawy do Hong Kongu). Patrząc na Nic przed sobą, piłem kawę zmieszaną ze słońcem. Wtedy poczułem na policzku ciepłe i pewne dotknięcie. Dotknięcie szczęścia. Jak dawno już tego

nie czułem. Ale szybko, coraz szybciej wpadałem w panikę, że je stracę, i straciłem. Mogłem więc wrócić myślami do niedawnego pobytu w kraju, a nawet sięgnąć do torby, gdzie leżały już niezbyt świeże ryby naszych codziennych gazet.

W Warszawie pewna naukowa placówka zawezwała mnie drogą telefoniczną, abym zdradził wszystkie swoje pseudonimy i wszystkie inne pseudonimy, które znam, ze wszystkich pism niedawno podziemnych z którymi zdarzało mi się romansować. W pierwszym odruchu chciałem rzec: ja, nigdy. Ale potem, wzruszony Wielką Zmianą, i że nasza szarpanina w błocie, nasze wystawianie rąk z beczki ze smołą stały się nagle przedmiotem naukowych badań, przystąpiłem do rachunku sumienia. I pomyśleć, że kiedyś by ze mnie tego torturami nie wyrwali, a teraz jeden telefon. Otworzyłem się zupełnie, tylko problem, że w środku nic. Nic nie pamiętam. Musiałem tę wiedzę gdzieś wyprzeć. Gmeram, szukam, ale nie ma. A naukowe niewiasty śmieją się: „To tak wszyscy, już nikt niczego nie pamięta. Może to był pana pseudonim?” — podsuwają mi jakiegoś zaszuszonego śledzicia — może mój, a może nie mój, mówię, i wacham, ale nic nie czuę... Kto by pomyślał, że tak to się na amen wysuszy.

Mój przyjaciel, wybitny artysta, jest jeszcze większym mal-kontentem ode mnie, i ciekawe, bo jego narzekanie opróżnia moje zbiorniki skarg, więc im więcej go słucham, tym mniej sam narzekam, bo już nie mam czym. „My artyści nikomu już nie jesteśmy potrzebni”, mówi, i jest to prawda, banalna prawda Wielkiej Zmiany. „A właściwie to ze swojego życia najlepiej teraz wspominam stan wojenny, wtedy było najprzyjemniej”, mówi. Jak tak można, pomyślałem, przecież to było okropne, jakby głową do kanału. Po chwili jednak refleksji muszę przyznać, że ma rację, bo po drugiej stronie kanału był błękit. Byliśmy wtedy razem, tacy piękni, uczciwi, nieprzejednani po stronie prawdy, wolności i demokracji. Nigdy jeszcze tylu ludzi nie wydawało się tak bliskich sobie, ludzi ze wszystkich warstw geologicznych naszej społecznej gleby.

Przegrana nie jest klęską, jeśli przegranym nie zabrano możliwości oporu. A teraz przeciw czemu się buntować? Czy przeciw tej żalostnej, ale pewnie nieuchronnej chorobie początku?

Trwa wielka krzątanina wokół własnych interesów. Właściwie nie ma w tym niczego złego, tak zbudowano naszą cywilizację. Wokół własnych spraw krzątają się nowi szefowie starych lub nowych instytucji. Problem w tym, że ich interesy nie zawsze pokrywają się z interesami ich placówek. Widzę na ścianie już nie dawne hasło, ale jego ślad. „Pracując dla kraju pracujesz dla siebie”. Kiedyś zdawało nam się, że te słowa to tylko

jedna z jadowitych komunistycznych żmijek, które skakały nam do oczu na każdym kroku. A przecież dzisiaj to powinno być aktualne i wcielane w życie, ale... ten facecik w czerwonej koszulce co załatwia teraz na lewo bilety już od kilku miesięcy wyprzedane, pracuje dla siebie, problem, że jest on pracownikiem tej właśnie instytucji, która już od miesięcy biletów do sprzedaży nie posiada. Pomaga mu młodzian o miękkim wyrazie twarzy, on też tu pracuje, i pracuje teraz dla siebie, ale kompromitując swoją instytucję. Ależ oni się krzątają. Obaj lekko pijani.

M. jest szefem nowej dużej firmy, czeka na niego wielu pilnych interesantów, ale on w urzędzie nieobecny, bo pojechał do swojej wiejskiej posiadłości, którą pilnie rozbudowuje.

O tak, jesteśmy nałogowymi krzątacami. Nawet jak człek u nas umiera, to nie śmierć się wokół niego krząta, lecz on wokół śmierci. I chyba już nie ma na to innego lekarstwa, jak tylko doprowadzić do stanu, że krzątając się wokół swoich spraw i karmiąc je będziemy tuczyć interes publiczny. Tak właśnie działa pewna postać kapitalizmu, jak widać jeszcze od nas daleka. Ale każda inna forma zostanie zdruzgotana przez nasz superegotyzm.

Piękne jest wnętrze warszawskiej politechniki, pamięta ono wiec studentów w Marcu 68 i wzruszenia października 56. Teraz musi przetykać naszą wolność. Głosy jak gołębie odbijają się od szkła i zbyt obszernych białych ścian, ledwie je słychać. Antoni Macierewicz stoi na podwyższeniu, a poniżej bardzo skromny tłumek. Skromny, ale nieskromnie pełen emocji. Macierewicz zachowuje się racjonalnie, ku mej satysfakcji, bo zawsze lubię się mile rozczarować. Ale gdy mówi „Unia Demokratyczna” i *Gazeta Wyborcza*, głos mu tężeje, kark sinieje, ręka wybija takt jakby grzmociła wrogów po łbach. Takie natężenie nienawiści widziałem tylko u nas do komunistów i u komunistów do nas. Mówi: „Najważniejsze, wiedzieć z kim ma się do czynienia, potem można wybaczyć” — ale szybko dodaje — „zdrajcom się nie wybacza”. Czemu nie, myślę, sami przecież czasem zdradzamy i bardzo nam byłoby nieprzyjemnie, gdyby nie było dla nas wybaczenia. Ale tłum jest jego zdania i wszelką nieprzejednaną i surowość gromko oklaskuje. „To co uznajemy za polską tolerancję, jest polską słabością” — stwierdza były minister tonąc w oklaskach. No, no, myślę, czyli wykurzanie ogniem chorych na Aids dzieci z kolejnych podwarszawskich miejscowości to słabość, należy mocniej. Wałęsa zostaje okrzyczany z tłumem zdrajcą. Wszyscy to oklaskują, a były minister nie protestuje, tłumaczy się, że on Wałęsę kiedyś popierał, bo nie wiedział kim on jest. Macierewicz tego tematu nie rozwija, uznając, że sprawa jest dla wszystkich oczywista. Mówi: „Sejm

jest w rękach postkomunistów, całe państwo jest w ich rękach”, i wznosi zbołałe oczy do nieba. A niebo na to nic. Za to w dole jakaś niewiasta unosi szczerze swój biust i rzece: „Mówiono, że ma pan nienormalne oczy, ale niech pan tego nie słucha, pan ma mądre i piękne oczy”.

— Dziękuję — mówi wzruszony były minister.

A ja myślę, nawet Saint Justom i Dzierżyńskim zależy na urodzie, i dalej słucham pięknookiego.

„Lustracja to nasze być albo nie być, czy będziemy niepodlegli, czy będziemy kolonią. (...) Jeśli my tego nie załatwimy, nasze dzieci będą prowadziły walkę zbrojną bez szans”.

I to właśnie jest osią myślenia jego i tej grupy. Wizja spisku i jakiegoś gigantycznego zagrożenia. Nie przypadkiem słowo rzeź powtarzało się wielokrotnie, ale kto, kogo, za co i czym miałyby różnić, nie powiedziano. Niech sobie naród to sam domyśli.

Ci wiecowi ludzie wpatrzeni w bohatera, który naraził własną głowę dla prawdy i ojczyzny, święcie wierzą w ten spisek, ich dusze są przepełnione przerażeniem i serdeczną troską o naród. Ich dusze mają jasne włosy i niebieskie oczy. Kiedy gniew im podchodzi do gardła przemawiają, właściwie każdy by chciał przemówić, ale najdonośniej uczynił to jeden, wykrzyczał drżącym głosem straszną prawdę. „Rządzą nami mniejszości narodowe, Niemcy i Judenrat, od 45 lat rządzą nami Michniki i ich ojcowie”.

Macierewicz macha rękami jak tonący, i teraz cytuję go dokładnie: „Ach tak nie wolno, nie wolno... ja rozumiem intencje, ale nas za to wyszydzą, oskarżą o antysemityzm, jutro znowu będą tytuły w prasie... że antysemita, faszyści, więc tak nie róbcie”.

Myślę, dlaczego na Boga nie powiedział, że to nieprawda.

— Bo myśli, że to prawda — przyszła odpowiedź.

Na koniec towarzystwo pisze odezwę, zaczyna się ona od słów: „My Polacy, zgromadzeni tutaj...” Dlaczego, myślę, nie — „my obywatele”. Ja chyba za dużo myślę. Więc też pomyślałem, że jakaś straszna obcość bije we mnie od tych ludzi, tym większa, że jakoś bardzo mi są bliscy. I oni przecież mówili mniej więcej to samo zawsze, ale wtedy inny był zupełnie kontekst. Czy wtedy nie widziałem, że to bracia bliźniacy naszych dawnych prześladowców, tylko los rzucił ich na drugą stronę barykady? Wiedziałem i nie, bo byli nam potrzebni, jak teraz są potrzebni Macierewiczowi, bo nasza sprawa była święta, jego teraz też jest.

Kiedy już listy agentów fruwały po kraju jak nietoperze i ćmy, odsuwany gwałtownie od Ministerstwa minister Macierewicz oświadczył, że to nie lista agentów „a jedynie materiały

dotyczące zasobów archiwalnych resortu”. Czyli tylko zbiór znaków zapytania. A niekompetentni posłowie i niezyczliwa publiczność zrobili z tego same wykrzykniki. I one teraz zupełnie nie chcą się na powrót wygiąć. Barw tej grotesce dodał fakt, że przecież Sejm sam, chociaż w wielkim gwałcie, przegłosował otwarcie puszek Pandory. Myślał, że tam są konfitury, a były ich własne imiona.

Organ ciekawości i podejrzeń raz pobudzony już nie spokojnie. Jak z pornografią bywa, można zasłaniać oczy, ale nic z tego, bo wyobraźni zasłonić się nie da. W przyjaciół i ludzi lubianych jako agentów nie uwierzy się, ale w tych, których się nie lubi, albo co zrobili kiedyś przykreść? To już wymaga wielkiego hartu ducha. Ja go na przykład nie mam. I oto kosmiczna niezręczność grupy ludzi doprowadziła do sytuacji, że już nic nie jest pewne, a ci, którzy naprawdę sprzedawali swoich bliskich i pakowali ich do mamra za pieniądze, mogą teraz robić z siebie tylko ofiary. Owszem są ofiarami, ale nie tylko.

Oficyna BGW, rosnące imperium wydawnicze o niepewnych korzeniach, opublikowała błyskawicznie książkę pt. „Teczki, czyli widma bezpieki”. Pouczające są rozmowy z byłymi funkcjonariuszami, niestety autentyczne, bo jest tam kilka rzeczy, które zgadzają się z tym, co wie mój prywatny wywiad. Wynotowałem sobie kilka głosów, i myśl, że na przesłuchaniach byli mniej szczerzy:

„Zgnoić przeciwnika było lepiej niż go zabić. Zamordowany mógł stać się męczennikiem. Zgnojony był już nieszkodliwy”.

Tak, to było na sztandarach MSW, to było ich „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”. Fabryka gnoju. Ten gnój robiono z nas.

„Przy Departamencie I istniała zupełnie szczególna służba. Nazywaliśmy ją grupą likwidacyjną. (...) O grupie nie mówiło się głośno. Jak ktoś powiedział za głośno — wylatywał z pracy (...) W Ministerstwie nie było nic bardziej tajnego. Chociaż była jeszcze jedna specjalna komórka: grupa likwidacyjna dla członków grupy likwidacyjnej”.

Tyle oni. A my żyjemy wśród własnych ruin i wraków innych ludzi, na bagnach i ruchomych piaskach, zdradzani i sami zdradzający, jeśli nie uczynkiem to myślą, i zdradzani przez czas, który nie zna litości, my, nie wolni od żadnego grzechu, który da się pomyśleć. Starsze pokolenie przemielone przez maszynki historii jak mięso na kotlet, zarażeni na zawsze syfilisem stalinizmu, a uprzednio roztrzaskani przez apokalipsę wojny. Teraz następuje obnażenie fragmentu tego wielkiego ludzkiego śmietnika.

Dla dopełnienia tej tragicznej komedii brakuje naszych byłych śledczych i kluczników więzień, powinni teraz wejść na

scenę, ale podejrzewam, że mieliby z tym kłopot, tak się teraz zwijają ze śmiechu. Gdy jednak dojdzie do tego, na co, jak się zdaje, jesteśmy skazani, czyli weryfikacyjne procesy — to oni właśnie będą jedynymi świadkami naszych sumień. Tego nie mogli przewidzieć w najśmielszych marzeniach. A jeśli nie dojdzie do tych fatalnych spraw wyjaśniających? To też będzie fatalnie, bo rozrzucone mięso będzie się psuć i zatruje nam powietrze na dziesięciolecia. Niestety, do kontynuowania lustracji namawiają najczęściej przetrąceni przez życie. Stosują wywyższanie siebie przez poniżanie innych. Agenci to nektar dla zdruzgotanych i przegranych, a oni u nas to armia. Agentem strąca się człeka z najwyższego miejsca.

Wałęsa wychyla się z tego całego bałaganu i mówi: O, kolesie, tu się miarka przebrała. Prezydenta nie da się szantażować. Panie dawny ministrze, ja mam jeszcze kilka asów w rękawie. Jak te asy wyciągnę, to pan jest w szpitalu". — Mówi trochę z warsiawska, kołyszac się w biodrach... oczki zmrużone... A kolesie też się kołyszają, oczki mrużą. „Ja nawet jak bym przegrał, to ja tu jeszcze wrócę” — mówi na pożegnanie Prezydent. I jak tu mu nie uwierzyć.

I pomyśleć, że po tej całej aferze Wałęsa ponownie urósł. Do chwil słabości w przeszłości sam się przyznał, a teraz gwarantuje na scenie politycznej przynajmniej jakieś minimum rozsądku. Wałęsa ma zwolenników w różnych, czasami zaskakujących grupach i grupkach. Oto rozmawiam z żydowską ciotką rewolucji, a jest taka kategoria, bez uprzedzeń i wartościowania, taka ciotka to bardzo wyraźny typ osobowości. Głos szorstki, już pochylona w sobie, ale oko bystre. Ani okruszka wyrzutów sumienia za przeszłość. Ostra analiza obecnej sytuacji, inteligentne budowanie zamków i zameczków, chociaż rzadko na realnym fundamencie. I otóż dla niej Wałęsa mimo wszelkich słabości, które wypatrzy szparko ostrym oczkiem, jest mężem opatrności, bo nie zezwoli na przesadne skrajności. Jest narodowy i prawicowy i kościelny wystarczająco by powstrzymać skrajności tego właśnie typu, które nam grożą. Mazowiecki, czy Bielecki nie mieliby tu szans, bo oni z innej materii. Ma rację baba, myślę, ale czemu ona taka pewna swego i zadowolona, mimo swojej biografii.

A więc ją też można zaliczyć do tych coraz liczniejszych, którzy za obecnym szefem Urzędu Rady Ministrów Janem Rokitą mogą powtórzyć: „Wyznaję, że w dzisiejszych warunkach ja jestem wałęsistą, nie z przekonania, ale z rozpaczy”.

Oto jeden tylko koszmar z tamtego czasu, który już szczęśliwie minął. Przyszła wtedy wiadomość, że jutro otworzy się teczkę agenta „Bolek”. Bałem się zasnąć, przecież nie wiadomo kim się człowiek obudzi. Agent BOLEK, myślałem to, mu-

si być ktoś wielki i równie ogromnie niespodziewany. Jako, że Wałęsa zdało mi się już był na liście podejrzanych, czyli to nie on, więc może... Pap... NIE! — coś we mnie krzyknęło, ale to moje NIE nigdzie nie otrzymało potwierdzenia. Udałem się w stronę lustra, nawet lustro pobladoło. Rano radosna wiadomość, że agent Bolek, to jednak tylko Wałęsa.

Prezydent oświadcza, że jak go złapali w roku 70, to podpisał kilka dokumentów i dodaje, „że podpisałby wtedy niemal wszystko, aby tylko wyjść na wolność i móc walczyć”. Trochę to ryzykowne oświadczenie, Wałęsa miewał lepsze. I nagle oczyma okrutnej wyobraźni widzę splecione ręce dwóch poruczników SB. Wałęsa wstępuje na ten żywy stopień i przeskakuje przez płot stoczni — jest 1980 rok. — „Zapomniałeś fajek” — mówi jeden i rzuca pudełko przez płot. Tak narodziła się „Solidarność”. Czy to nie poruszająca wizja, czy to zobaczył Macierewicz i obudził się z krzykiem w nocy?

Jeśli doda się do tego, że Moczulski i jego dziecko KPN to też płód SB, i „skazaniec” Najder i jakże narodowy prezes ZChNu marszałek sejmu Chrzanowski, i tylu innych, to nie pozostaje nic innego jak się zabić, albo zacząć pękać ze śmiechu. Macierewicz postanowił się zabić. A ja z powodów zdrowotnych proponuję to drugie. I w nic nie wierzyć. Nawet w prawdę. Prawda jest bardzo niezdrowa, a czasami może zabijać.

Te wszystkie splecione kłębki, które wówczas wysnułem z głowy, to jedynie płody chorej wyobraźni, ale ona żywi się materiałem, który nam rzucono na stół, jak wielki ochłap dymiącego mięsa, krew, żółć bryznęły na twarze. Próbuujemy to zetrzeć, ale nie daje się. Byłoby w tym coś z Makbeta, ale więcej tu Macierewicza niż Szekspira.

Jedną z osób „oskarżonych” jest G. Kierowała przez 10 lat podziemiem w B., z przerwą na więzienie. Znam ją, ma w sobie światło. Jeśli Ona była agentką, to życie jest bez sensu. Wtedy proponuję wielki list przeciwko faktom, jeśli naprawdę takie są. „My, tu zebrani, protestujemy przeciw rzeczywistości, bo ona w takiej postaci czyni z życia ściek. Tak nie da się żyć”. Ale zamiast tego listu pojawiły się dwa inne. To listy znanych intelektualistów. Dwie intelektualne armaty stanęły naprzeciw siebie i wylały w proteście.

Jeden list apeluje „o przyzwoitość w czynach i słowach”. Są tam słowa: „Idea służby publicznej nie może zostać zniszczona”. List niby ogólny i miękki, ale wiadomo o kogo i o co chodzi. Podpisali go liczni i przezacni. Drugi list, utrzymany w tonie kategorycznym, przez pierwszych sygnatariuszy musi nieuchronnie być uznany za czyn „nieprzyzwoity, wyrażony w słowach”. Oto jego fragment: „W nocy z 4 na 5 czerwca na sali sejmowej przypieczętowany został przewrót polityczny dokonany

w obronie agentów komunistycznych służb specjalnych. Ofiarą tego przewrotu padł rząd Jana Olszewskiego, który miał odwagę rozpocząć konieczne politycznie i uzasadnione moralnie odsłanianie agenturalnej przeszłości osób odpowiedzialnych za kierowanie państwem polskim (...). Podpisali list: Zbigniew Herbert, Marek Nowakowski i wielu profesorów, jednym słowem wielkie autorytety i osoby przeznaczone. I masz babo płacék.

Przed wojną po zamachu majowym podziały szły przez rodziny, a nawet małżeńskie łóżka. Dzisiaj czuję jak podział idzie przez głowę, najpierw wzdłuż, odcina jedną półkulę od drugiej, potem w poprzek, i wiąże czerwoną kokardkę na supeł.

Szaleństwo udziela się również mojej osobie. Wpadają mi w ręce dwa nowo wydane tomiki wybitnych poetów naszych, Różewicza i Herberta. Coś mnie tknęło, a tknęło, bo dotknięty zostałem wielką podejrzliwością. Liczę wiersze, a tu w jednej i drugiej książce jest równo po 26 wierszy. Włosy stają mi na głowie. Przecież to nie mógł być przypadek. Co i Kto za tym stoi?

Jeśli już jesteśmy przy artystach, bo od lustracji czas już jak najdalej odpłynąć... Ankieta *Kultury* na temat przecenionych i niedocenionych w naszej współczesnej literaturze spowodowała w naszej elicie liczne bóle zębów i żołądka, u pominiętych lub określonych jako przecenieni. Cóż za niezwykły twór jest z artysty, jak się go nie pieści popada w szaleństwo, kładzie się na podłodze, bije pięstkami, tupie — nikt mnie nie kocha, nikt mnie nie lubi, wszyscy mnie nienawidzą. Gdy minie pierwszy szal, wykonuje setki telefonów — prawda, że jestem jednak wielki? Trzeba wówczas artystę pocieszyć i przytulić, zasypia bardzo wyczerpany przeżyciami.

Ukazały się zebrane w książce listy Zygmunta Hertz do Czesława Miłosza, bardzo ciekawy dokument i portret naszej elity, widziany z paryskiego dystansu, ale widziany skrupulatnie, bezlitośnie i przez długie lata. Bardzo to niesprawiedliwy portret i niezwykle prawdziwy. Czy nie ma tu sprzeczności? Jest, ale co ja na to poradzę. Hertz pisze: „Powiadam Ci Czesławie — ja nie mam złudzeń — to jest stado małp z ogromną próżnością”. Albo: „pisarze powinni być zamykani w klasztorach tak, żeby ich nikt nie widział jacy są naprawdę”. Bardzo słusznie, tylko jaki klasztor by to wytrzymał? Ale, ale... czy były lepsze środowiska, przecież jedynie to środowisko tak licznie budowało w pocie czoła i w represjach opozycję, od roku 56 do dziś, i kto wie czy nie będzie musiało budować dalej. Czynili to, co prawda, ciągnąc za sobą szczątki dawnych przywilejów i żując cały czas pakt z diabłem podpisany w latach stalinowskich. Został on przeżuty do końca dopiero dzisiaj. Nie każdy to przeżył.

Hertz zresztą to wszystko widział, i mimo braku złudzeń, a brak złudzeń potrafi zaślepić, ogromnie pomagał ludziom, bo na dnie zgromadził dla nich wielką sympatię.

Prezydent oświadcza, że nie jest już konieczne zachowywanie nadrzędności solidarnościowego rodowodu. Coraz bliżej jest chwila, gdy wzorcem będzie biografia ze słowami: „nie byłem nigdy członkiem PZPR, nie byłem w Solidarności”. Następne odkrycie, którego dokonał Prezydent, zostało już dawno dokonane przez historię. Ci co się sprawdzili w czasie wojny, bardzo rzadko sprawdzają się w czasie pokoju.

OPZZ i „Solidarność”, jak się zdaje, nie tylko już są w jednym łóżku, ale posunęły się dalej.

Papież zwraca się do swoich rodaków ze słowami: „A jeśli u was jeden drugiego kąsa i pożera, baccie, abyście się wzajemnie nie zjedli”.

IV Zjazd „Solidarności”. Przemawia Wałęsa. O strąceniu rządu: „Gdybym tego ruchu nie wykonał, zjazd by się nie odbył, a ja bym siedział w Arłamowie”. Nieświadomym tłumaczę, że Lech Wałęsa był tam w stanie wojennym internowany i rozgrywał wielogodzinne mecze ping ponga ze swoimi aniołami stróżami. Na tym zjeździe były premier Olszewski otrzymał owacje na stojąco, gdy Prezydentowi gwizdano, a oklaski dostał tylko wtedy, gdy powiedział, że może odejść. Owacją też przyjęto list od PC. „Dziś od was i od nas zależy, czy uda się uniknąć najgorszego — przejęcia władzy w Polsce przez obóz polityczny, którego jedynym celem jest obrona i samoobrona byłych tajnych agentów oraz umocnienie politycznej i gospodarczej władzy postkomuny”.

Były minister obrony narodowej J. Parys oświadcza w USA: „W Polsce doszło do puczu dokonanego przez komunistów w porozumieniu z lewicą solidarnościową”. Parys stwierdził, że w Polsce podjęta została próba wyhamowania procesów przemian demokratycznych. „Polska z powrotem znalazła się w orbicie rosyjskiej”, oświadczył były minister.

Znajomy wspomina z bezbrzeżnym zdziwieniem, że pamięta tego Parysa, zanim tak „zmężniał”. „Wtedy był taki delikatny i słaby, jak ktoś głośno krzyknął, to on chował się pod stół”. Nie ma się czemu dziwić. Od pozorów słabości do pozorów siły jeden krok. A rzeczywistość za tymi pozorami, to ludzka galareta, która szuka dla siebie naczynia, jakie znajdzie, taki przybierze kształt.

I oto mamy kobietę premiera, a za nią stoi koalicja siedmiu partii. W co się ułoży ta różnorodna mozaika poddana tak wielkim ciśnieniom? Powstał naleśnik, gdzie sól i cukier, powiada

i ser tworzą przedziwną potrawę. Ale sytuacja tak trudna, że to się daje jeść.

W Sejmie debata aż się kurzy. „Polska nie może dalej kroczyć drogą przerywania ciąży” — oświadcza poseł Świtka. Nasz Sejm okazał się niezwykle sentymentalny, kwiecisty w mowie i czuły na problemy macierzyństwa i łona kobiety. Znakomicie rozumiem, że problem jest ważny, że dotyka wielkiej tajemnicy, ale sposób w jaki nasi posłowie ładują się w tę wielką tajemnicę w butach i z mikrofonem dyndającym wesoło przy ustach, stworzył spektakl niepowtarzalny. Ale przecież nie o ośmieszanie siebie i sprawy posłom chodziło. Jako, że temat ten od dawna już się walczy, powstał w naszym Sejmie cały pakiet efektownych metafor do wzięcia przez umysły mało innowacyjne. Np. „Niemy krzyk w łonie matki”. W ogóle łono matki zapuściło twarde i głęboki korzeń w naszym Parlamencie. „Mam czwórkę dzieci, a spodziewam się piątego” — oświadczył pewien poseł i dostał takie oklaski, jakby przebiegł 100 metrów poniżej 10 sekund. Zdarzały się też argumenty narodowo-obronne. „Byłoby nas dzisiaj 80 milionów, gdyby nie masowe mordy płodów, a 80 milionów jest konieczne bo leżymy między Rosją a Niemcami”. Tylko jak, pytam, zmajstrować taką narodową wielką matkę, która będzie rodzić gotowych żołnierzy, najlepiej od razu w czołgach.

Nieliczni posłowie broniący bardziej liberalnej ustawy zaproponowanej przez Unię nie mieli szans, jako opętani przez diabła. I tak uczyniono wielką łaskę, że można usunąć ciążę w jednym przypadku — zagrożenia zdrowia matki. Zgwałcona też musi rodzić owoc gwałtu. Jako, że oczywiście gardłowali z reguły mężczyźni, czyli tylko potencjalni gwałciciele, a nie ewentualne gwałcone, więc tak sobie myślę, że to jest też pewna forma gwałtu.

W związku z tym tematem informuję, że przerwanie ciąży jest w Polsce nadal dobrem ogólnodostępnym, cena za ten zabieg dobiła tylko 7 milionów, ale ostatnio nieco spadła. Odbywa się to w warunkach coraz bardziej obrzydliwych, oszczędzę szczegółów...

Polska przez nas kiedyś widziana? To była inteligencka fikcja, romantyczna fikcja. Nie było takiej Polski. Ona istniała tylko w literaturze i mitologii, pod piórami pisarzy i w gniazdach rodzinnych, w oczach dziadków na starych fotografiach, w zwrotkach zakazanych piosenek. Wszystko pod pancerną płytą zamontowaną przez najeźdźców. Ta Polska stanęła nagle żywa, ale czy prawdziwa, w Stoczni Gdańskiej, na murach strajkujących fabryk, frunęła w szumie podziemnych drukarskich maszyn.

To był romantyzm napuszony i z twardą wkładką, by nie poknął go otaczający nas komunizm. Ale w końcu kraj to też wyobrażenie o nim, a gdy noszone przez wielu, staje się rzeczywistością. Jeśli więc dzisiaj uchodzi z nas powietrze, a wraz z nim ulatują nasze mity, nasze miłości, symbole i wzruszenia, to Polska też chudnie. Dzisiaj tylko wolność szybko rośnie, jak dzikie mięso na ranie.

I coraz częściej wydaje mi się, że już teraz Ojczyzna to jest tylko kilkanaście osób, kilka zapachów, kilka widoków, kilka wierszy Kochanowskiego, Mickiewicza i Norwida, na czarno białym filmie płonące domy Warszawy w czasie powstania, brama stoczni gdańskiej w sierpniu 80 roku i komputer na którym mogę pisać. Jak mało, jak wiele.

A było tego kiedyś dużo więcej, jest coraz mniej, ale to co jest teraz coraz więcej. Młody taksówkarz, który mnie przywiozł pod słynną bramę, mówi, że kiedyś walały tu tłumy, potem już tylko zagraniczne wycieczki, teraz i to schudło. Natłok pamiątkowych tablic przy pomniku, który coraz bardziej przypomina wielkiego pajęczaka, jakby odnosił się do zupełnie innej epoki, może heroicznej, ale niezbyt estetycznej. A pamiętam przecież dłoń, która dawała życie temu pomnikowi rysując go na kartce papieru, gdy wokół buzował piec naszej sierpniowej rewolucji. Czyżbym był aż tak stary?

A co myśli o tym ten młody taksówkarz? Niewiele myśli. Było, popłynęło, chciałby, żeby jutro było lepiej niż jest dzisiaj. Zupełnie w to nie wierzy. Każda próba wycisnięcia jakiejś treści z młodych ludzi kończy się niepowodzeniem, doprawdy nic z nich nie chce kapać.

Wykonuję wielki wysiłek, by odciąć dawną „Solidarność” od nowej, dawne osoby od obecnych. Pamiętam rozmowę z Bogdanem Borsewiczem, to był chyba listopad 1981. Wszyscy dawni przyjaciele Wałęsy opowiadali o nim straszne rzeczy. Rewolucja pożarła wtedy w Gdańsku wszystkie swoje dzieci, głowa po głowie, ale jako, że dramat działał się w brzuchu jeszcze żywego Imperium, pożeranie było symboliczne. Dzisiaj dzieje się to już realnie, ale nadal na sucho, i właściwie zamiast lamentować powinniśmy być dumni z naszej bezkrwawej rewolucji. Przecież to co się teraz dzieje, to jest wielka rewolucja francuska w polskim sosie, bez noża i widelca, spożywana palcami i szczęką bez zębów.

Bogdan był wtedy umiarkowany, ale surowy. Chciał odsunąć się od jakiegokolwiek działania, już podjął decyzję, marzyła mu się hodowla owiec w Bieszczadach. Nagle zasępił się i powiedział: „Mam wrażenie, że wszyscy jesteśmy teraz gorsi, o wiele gorsi”. Spojrzałem mu w oczy i jak w odbiciu w lustrze zobaczy-

lem jego przerażenie złem, które zobaczył w sobie i w najbliższych. A przecież to wtedy była taka malutka i wątłutka roślinka.

Opowiedział mi tyle niesłychanych rzeczy o początkach działalności, o młodym, nieśmiałym i raczej wtedy bezbarwnym Wałęsie, i potem, gdy już narodziła się „Solidarność”, o obrzydliwych i żalonych sporach (czyż nie z tej samej one kości co te obecne?). Wszystko zapomniałem, ale papier pamięta. A tamtą roślinę widzę. Czy to z niej wyrosło teraz to drzewo?

W Polsce już wolnej, demokratycznej i kapitalistycznej, w Polsce gdzie władzę przejęli dawni przywódcy „Solidarności”, od miesięcy płoną strajki, tu coś zgaśnie, to gdzie indziej wybucha ogień. Strajkują kopalnie, wielkie niegdyś fabryki dzisiaj rozgniatane przez Wielką Zmianę. Padają nazwy, które kiedyś kojarzyły się z gigantycznym i patetycznym pożarem strajku sierpniowego, potem z pacyfikacją i heroicznym oporem w stanie wojennym.

I rodzą się teraz straszne pytania. Czy w tych pożarach może być ten sam ogień co wtedy? Ta sama rozpacz i nienawiść? Boję się tam włożyć rękę.

Jan Szczepański, socjolog, pytany co będzie w Polsce, odpart: „Ja definiuję mądrość życiową bardzo prosto: mądrość jest zachowaniem staruszków, którzy nie mają już energii do wykonywania ruchów zbędnych. I ten naród już też nie ma energii do wykonywania ruchów zbędnych. Za dużo przeszedł”.

To wszystko prawda, ale któż nie widział starców tańczących, starców strzelających, starców uciekających zygzakami wśród pszczoł pocisków i starców już nie pomnych swego imienia, ale bezbłędnie trafiających do wiśniowych konfitur?

SMECZ

Jak nie reformować gospodarki

RADY I OCENY NIE DO PRZYJĘCIA

Mimo całej sympatii, jaką można mieć dla oryginalności poglądów i żywości usposobienia p. Janusza Korwina-Mikke, sędzę, że jego rady jak nie reformować gospodarki (GW z 15.11.1991) z kilku powodów powinny się spotkać z zasadniczym sprzeciwem.

1. Na wstępie Autor stwierdza, że reformowaniem gospodarki nie powinni zajmować się ekonomiści. Cóż — będąc ekonomistą — sam kiedyś wypowiadałem się krytycznie o ich różnych pomysłach. Ale czym innym jest krytyka określonych rozwiązań, a czym innym propagowanie niekompetencji, jak to czyni Autor. Przecież ekonomia to są pewne zasady, prawa, fakty, instytucje, terminologia, bez znajomości których trudno oczekiwać racjonalnych działań w gospodarce. Niestety ekonomiści są znacznie mniej szczęśliwi od lekarzy. Daleko posunięta specjalizacja wśród lekarzy powoduje, że np. laryngolog nie podejmie się udzielania porad ortopedycznych. Leczenia gospodarki chętnie podejmuje się nie tylko dowolnej specjalności ekonomista, ale także niejeden historyk, lekarz, czy literat.

2. Autor krytykuje prof. Stefana Kurowskiego za domaganie się interwencji państwa w gospodarkę. Jest to krytyka, w naszych warunkach bezwładnie dryfującej gospodarki, całkowicie niesłuszna. Chodzi przecież nie tyle o jakąś szczególną interwencję państwa, ale przede wszystkim o zwykłą politykę gospodarczą, jaką zawsze prowadziło i prowadzi każde państwo gospodarki rynkowej. Braku takiej polityki dowodzi może najjaskrawiej przykład naszej gospodarki w dziedzinie importu. Od trzech lat szeroko otwieramy nasze granice dla często rujnującego nasz przemysł i rolnictwo importu bez żadnych wzajemnych korzyści. W tym czasie jednocześnie nasi partnerzy z EWG i spoza EWG drobiazgowo kalkulują za ile lat i na jakich warunkach będą znosić kontyngenty lub obniżać stawki celne chroniące ich rynek przed jakże niewielkim polskim eksportem żywności, stali i tekstyliów.

3. Za niepowodzenia polskiej gospodarki liczni politycy, a wśród nich p. Korwin Mikke, skłonni są winić wicepremiera Leszka Balcerowicza. Ci krytycy wydają się z jednej strony nie doceniać dotychczasowych osiągnięć reformy (umocnienie złotego, likwidacja kolejek, stopniowa prywatyzacja), a z drugiej strony — nie dostrzegać wątpliwości i fragmentaryczności alternatywnych programów reform (o ile o istnieniu takich w ogóle można mówić). Nie widać też wybitnych indywidualności, które gwarantowałyby kontynuowanie w powodzeniu reformy. Dlatego rozdział p. Balcerowicza wołałbym traktować raczej za otwarty, niż zamknięty. Przy tym bynajmniej nie tracę z pola widzenia poważnych błędów popełnionych w toku realizacji reformy: nadmiernej dewaluacji złotego, drogiego kredytu, przesadnego otwarcia gospodarki, czy mglistych koncepcji prywatyzacji. Ale dróg ich naprawy należałoby poszukiwać w lepszym przygotowaniu decyzji gospodarczych, stworzeniu np. niewielkiego sztabu, którego zadania obejmowałyby badanie spójności podejmowanych decyzji, analizę ich skutków i proponowanie rozwiązań wariantowych.

4. P. Korwin-Mikke podważa nie tylko dzisiejszą rolę ekonomistów, ale także historyczne autorytety, twierdząc, że Piłsudski zniszczył armię polską, Grabski — gospodarkę, a Kwiatkowski, tworząc Gdynię i C.O.P., wysysał z kraju żywotne siły. Jest to krytyka niesprawiedliwa, ale — co najważniejsze — wysoce deformująca relację dzisiejszego stanu państwa do jego stanu w okresie międzywojennym. Ocena taka sprzyjać bowiem może powstaniu przekonania, że polityków tęgich wprowadzicie nie mamy, ale podobnie było też w przeszłości. Tymczasem, nie idealizując bynajmniej okresu międzywojennego, trzeba stwierdzić, że sytuacja dzisiejsza rysuje się nieporównanie bardziej dramatycznie. Mam zaś niezłe możliwości dokonywania porównań: przez ponad pół wieku dane mi było być pracownikiem naukowym i państwowym w Polsce międzywojennej, ludowej i postkomunistycznej (a także urzędnikiem międzynarodowym w Sekretariacie ONZ); zajmując się gospodarką międzynarodową, zawsze byłem pracownikiem cenionym, ale nie specjalnie pieszczonym z prostego powodu braku legitymizacji BBWR, PZPR, czy „Solidarności”. Szczególny dramatyzm dzisiejszej sytuacji upatruję w nagromadzeniu się w społeczeństwie cech negatywnych: nienawiści, nieudolności i niekompetencji. Największe szkody czyni powszechny brak wzajemnej życzliwości, przeradzający się często w irracjonalne postawy nienawiści. Dlaczego np. jest tyle nienawiści do komunistów, których przed wojną w Polsce było bardzo mało (zwłaszcza w porównaniu z Niemcami, Włochami, Francją, Hiszpanią), a którzy po wojnie przejęli władzę tylko dlatego, że Churchill i Roosevelt, ulegając Stalinowi, wspólnie podzielili Europę na dwie strefy wpływów, a Polska została włączona do strefy wpływów ZSSR? Komunizm w Polsce był wynikiem określonych międzynarodowych układów, a nie swobodnego wyboru mieszkańców. W tych warunkach odżegnywanie się manifestacyjne od współpracy z b. komunistami, czy nawet w ogóle z ludźmi o lewicowych poglądach, dowodzi tylko zaciętrzewienia, bardzo niepożądanego w złożonej sytuacji politycznej i gospodarczej.

5. Pisało mi się te uwagi opornie i już zrezygnowałem z dzielenia się nimi z kimkolwiek. Zmieniłem zdanie po przeczytaniu felietonu Aleksandra Małachowskiego „Mali, mały ludzie” (*Życie Warszawy* z 25.11.1991), polemizującego z Jerzym Giedroyciem na temat „obecnej rzeczywistości”. Polemika ta wskazuje jak głębokie występują rozbieżności w spojrzeniach na aktualną sytuację. Pesymizmowi J. Giedroycia przeciwstawia A. Małachowski pełen tryumfu obraz ludzi, którzy „...bez kropli przelanej krwi, bez gwałtu, przemocy i trupów na ulicach wprowadzili Polskę, a w ślad za nią pół Europy z totalitarnej niewoli”. W tej konkretnej dyskusji w pełni podzielam stanowisko

J. Giedroycia i sędzę, że niektóre moje uwagi to stanowisko mogą dodatkowo uzasadniać. W odniesieniu natomiast do oceny p. A. Małachowskiego chciałbym zgłosić zastrzeżenie, że omawianymi zasługami należałoby się podzielić, np. z podatnikami krajów zachodnich, którzy przez czterdzieści lat szczerze łożyli na walkę z totalitaryzmem. I również jedno uzupełnienie: istotnie w walce z totalitaryzmem znajdowaliśmy się (nie zawsze z własnej woli) na pierwszej linii frontu i w dużej mierze za to właśnie płaciliśmy i płacimy wysoką cenę — dwukrotnego w dekadzie spadku dochodu narodowego w skali 20–24%, długotrwałego załamania procesów inwestycyjnych o nieobliczalnych skutkach na przyszłość i niezbyt przyjaznych stosunków z wszystkimi krajami sąsiedzkimi.

Stanisław POLACZEK
emerytowany profesor nauk ekonomicznych

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Polsce i we wszystkich krajach, do których nadajemy. Zapewniam Pana, że ani p. Mroczyk, ani ja nie dopuścilibyśmy do tego, aby to dobre imię zostało skalane jakimikolwiek prywatnymi interesami.

Dziękując Panu za zainteresowanie i list, pozostaję z szacunkiem

Gene PELLE

WP. Gene Pelle

Prezes Radia Wolna Europa/Radia Liberty

Szanowny Panie Prezesie,

bardzo dziękuję za Pańską uprzejmą odpowiedź. Niestety, nasza poczta najwidoczniej nie pracuje dobrze, dlatego mój poprzedni list dotarł do Pana tak późno.

Nie ma Pan zapewne nic przeciwko temu, abym przesłał kopię Pana listu na ręce p. Jerzego Giedroycia, redaktora *Kultury* paryskiej.

Mam nadzieję, że *Kultura* opublikuje Pańską odpowiedź ze stosownym wyjaśnieniem.

Łączę wyrazy szacunku

Dr Bogdan SEDLER

Artykuły o działalności dyrektora Sekcji Polskiej RWE, Piotra Mroczyka, w polskim biznesie i jego próbie wykupienia Kombinatu Budowlanego „Poznań” z zaledwie 10.000 dolarów własnego kapitału, ukazały się nie tylko w *Kulturze*, ale m.in. w *Kurierze Polskim* w Warszawie, w tygodniku *Wprost* w Poznaniu, w *Tygodniku Solidarność* w Warszawie. Ich ton, treść, wnioski szły w niektórych przypadkach o wiele dalej niż artykuł pt. „Idealny inwestor” zamieszczony w *Kulturze*.

Zarówno redakcja *Kultury* jak i wyżej wymienione pisma nie otrzymały żadnych wyjaśnień ani od p. Pelle, ani od p. Mroczyka.

Redakcja *Kultury*

Sprawy i troski

Jeszcze o sprawie p. Mroczyka

Dr Bogdan Sedler

Prezes Fundacji Naukowo Technicznej „Gdańsk”

15 lipca 1992

Szanowny Panie,

dziękuję za list Pana z 19 maja, który dotarł do mnie dopiero z końcem czerwca. Porusza Pan w nim kwestie związane z działalnością handlową dyrektora Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa, Piotra Mroczyka.

Załączona fotokopia artykułu z *Kultury* zawiera szereg błędów faktycznych i zarzutów, nie popartych faktami. Niektóre z tych błędów powtarza niestety również załączony artykuł „Rozwaga i Solidarność”.

Obalanie punkt po punkcie tych nieuzasadnionych zarzutów nie wydaje mi się w tym miejscu celowe. Jeżeli pragnie Pan szczegółowych wyjaśnień i zwróci się o nie do p. Mroczyka, ten — jestem pewien — udzieli ich Panu.

Pozwolę sobie tylko sumarycznie wyłożyć nasze stanowisko w tej sprawie. RFE/RL Inc. ma jasno zdefiniowaną politykę względem rzeczywistych lub potencjalnych konfliktów interesów. W oparciu o wszystkie dostępne nam informacje uważamy, że p. Mroczyk pozostaje w zgodzie z tą polityką. Dokonałiśmy szeregu wewnętrznych ankiet, ich rezultaty są dobrze udokumentowane i — moim zdaniem — przekonujące. Nie wierzymy w to, aby p. Mroczyk wdał się w jakiegokolwiek niewłaściwe przedsięwzięcia; inni bezstronni oskarżyciele po zapoznaniu się z faktami także doszli do tego samego wniosku.

Co powiedziawszy, nadal zamierzamy bezwzględnie przestrzegać naszej polityki wobec konfliktów interesów i baczyć na to, aby nasi pracownicy odpowiadali najwyższym wymogom zarówno w życiu zawodowym, jak osobistym. Ceniemy sobie dobre imię RFE/RL w

Sąsiedzi

Ukraińskie dekompozycje

(MIĘDZY ŚWIĘTEM I KRYZYSEM)

W Kijowie zebrało się Ogólnoswiatowe Forum Ukraińców od Władywostoku i Czelabińska do Toronto i Edmontonu. Zgromadzenie miało, w myśl organizatorów, poprzeć władzę. Ale zamysł się nie powiódł. Przy otwarciu prezydent Krawczuk zaatakował brutalnie szefa opozycji Czornowiła, demonizując jego postać i program. Część audytorium zaprotestowała głośno. Sam Czornowił zignorował oczernianie. Postawił jednak kropkę nad i przedstawiając program opozycji. Drugim zgrzytem był końcowy wiec z udziałem przedstawicieli emigracji. Skrajni nacjonałści pod przewodnictwem wodza banderowców w spódnicę — kłótlivej pani Sławy Stečko zwanej Muchą — przypuścili frontalny atak na politykę Krawczuka. Prezydent się obraził i opuścił zebranie. A nazajutrz polecił wydać urzędowe oświadczenie, że jak będą przyjeżdżali tacy emigranci, to rząd ich wyrzuci bez prawa do ponownego wjazdu. Oświadczenie było słuszne, ale tak nieudolnie sformułowane, że w oczach opinii publicznej więcej zaszkodziło niż przyniosło pożytku. Były jednak i wzniosłe momenty: przekazanie przez Patriarchę Mściława wojsku ukraińskiemu sztandaru Żelaznej Dywizji atamana Petlury lub uroczyste nabożeństwo w katedrze Świętej Zofii, poświęcone unieważnieniu anatemy, rzuconej przez carat na hetmana Iwana Mazepę.

Fajerwerki, iluminacje i światowe forum Ukraińców w pierwszej rocznicę niepodległości Ukrainy zagłuszyły podziemne pomruki rosnącego niezadowolenia społeczeństwa. Mała stabilizacja, która przez kilka miesięcy wyróżniała Ukrainę jako wyspę spokoju i względnie dobrobytu na tle chaosu i niepokoju w wielu krajach ościennych, ustąpiła miejsca głębokiemu kryzysowi.

Gaśnie zaufanie do demokracji, chociaż się jeszcze na dobre nie zaczęła. Ludzie, którzy po siedemdziesięciu latach sowieckiego socjalizmu niczego nie wiedzą, uwierzyli najpierw w cudowną siłę demokratycznych reform. Kiedy się jednak wnet okazało, że naprzód czeka ich pogorszenie sytuacji, odwrócili się od polityki i psioczą na nowy ład. Może było zbyt dużo wiecowania, może sobie za dużo obiecywano od pomocy Zachodu. Faktem jest, że po okresie powszechnej radości, po fali naiwnej wiary w bliski cud poprawy, nastroje oscylowały w krańcowo przeciwne regiony zwątpienia, nieufności, zawiedzionych marzeń. Wydaje się, jakby społeczeństwo stoczyło się w dawną bierność, marazm i apolityczność. Taki stan nie rokuje niczego dobrego.

Zarodki społeczeństwa obywatelskiego gdzieś utkwily po drodze i nie wiadomo, jak znowu poruszyć niemrawe masy społeczeństwa, jak i czym wyrzeszać z nich ducha obywatelskiego zaangażowania w dzieło budowania politycznej i ekonomicznej demokracji. Opozycja obarcza winą za kryzys kunktatorską politykę Krawczuka. Wydaje mi się, że jest to niezupełnie słuszne. Prezydent, który wypłynął na wysokiej fali poparcia podczas wyborów 1 grudnia 1991 roku, znalazł się wnet w opresji. Nawet gdyby zarządził najśmielsze reformy, utknęłyby z braku władzy wykonawczej. Stare struktury załamały się, a nowych jeszcze nie było. Krawczuk nie miał też twardej opoki pod nogami. Kombinacja z ukraińską odmianą „okrągłego stołu” zawiodła, umizgi do „Ruchu” rozbiły się na nowym przywódcy tej jedynej masowej organizacji — zażartym wrogu prezydenta, Wiaczesławie Czornowole.

Inflacja idzie w parze z fatalnym zaopatrzeniem rynku. Cała gospodarka Ukrainy pogrążona jest w kryzysie. Runęły stare powiązania z Rosją i innymi częściami dawnego Związku Sowieckiego. Mści się stara struktura kolonialna, która uzależniała zdobyte tereny od dostaw z macierzy imperium. Wskutek faktu, że śrubki do tej czy innej maszyny produkowano w odległości kilku tysięcy kilometrów, nieomal każdy przedmiot był zdany na łaskę i niełaskę Rosji. Powstawały przez to horrendalne koszty transportu, ważniejsza jednak była wysoka stopa uzależnienia. Skutki takiej polityki są widoczne na Ukrainie jak na dłoni. Rabunkowa polityka wykończyła szybko zapasy nafty i gazu w Galicji. Dziś Ukraina jest całkowicie zależna od dostaw ropy z Rosji i gazu z Turkmenistanu. Zamiana ich źródłami energii z Iranu — to muzyka przyszłości. Sytuacja w tamtym regionie nie jest zbyt ustabilizowana, zaś rurociągi musiałyby przebiegać przez Azerbejdżan i kawałek Rosji, gdzie nastroje szowinistyczne rosną szybciej niż na północy. Pozostają więc jako główne źródła energii węgiel i atom. Ale kopalnie ukraińskie są niemiłosiernie przestarzałe i również wyeksploato-

wane w rabunkowy sposób. Pożerają krocie subwencji. Zdaniem fachowców niemieckich powinny być nieomal w całości zlikwidowane. Siłownie atomowe — to w większości widmo nowych Czarnobylów. Tylko nieliczne nadają się do modernizacji. Ale i tu stoi na przeszkodzie syndrom czarnobylski, mobilizujący masowy sprzeciw, zwłaszcza na Naddnieprzu. Cóż więc pozostałe? Produkcja rudy żelaznej i stali. Jedno i drugie traci myszka, a kosztuje bająnskie sumy subwencji. Jest jeszcze cukier — na tym na razie koniec. Istnieją wszakże duże możliwości przedstawienia ogromnego przemysłu zbrojeniowego na cele cywilne. Dotyczy to sprzętu kosmicznego, lotniczego i wielu innych gałęzi. Ale na to nie ma pieniędzy, a Zachód nie śpieszy z poparciem dla tworzenia struktur konkurencyjnych. Wiele można by zrobić ze spółki z Polską, Węgrami, Słowacją i Czechami, gdyby te zechciały, a moi ziomkowie byli w stanie przedstawić odpowiednie koncepcje.

Sęć w tym, że nie są w stanie. Na każdym kroku wyziera przywiązanie do starych wzorców i metod. Tylko w Galicji zaczyna się odradzać zmysł inicjatywy.

Wprowadzone pod koniec ubiegłego roku kupony jako równorzędna waluta — nie sprawdziły się. Drukowane we Francji i w Hiszpanii, miały być absolutnie pewne przed fałszerstwami. Wkrótce jednak na rynku zaroilo się od fałszywych banknotów. Niebawem spadł też kurs kuponów w stosunku do rubla (po ukraińsku karbowanica). Tymczasem społeczeństwo czeka na wprowadzenie własnej waluty: rywni. Nie obyło się przy tym bez afer. Najpierw wybuchła seria niedyskrecji na temat transakcji z pewną firmą w Kanadzie, która podjęła się druku pieniędzy. Aferę wyciszono, ale prezydent Banku Narodowego i kilku wysokich urzędników poszło na zieloną trawkę. Potem gruchła wieść o przekazaniu zamówienia jakiemuś koncernowi włoskiemu, który wydrukuje banknoty i uruchomi koło Żytomierza drukarnię papierów wartościowych i mennicę. Latem plotki walutowe ustały. Posypały się natomiast nowe hipotezy na temat przyszłych rozrachunków między Ukrainą a Rosją i całą przyszłą strefą rublową.

Utknęła w drodze do realizacji szumnie zapowiadana radykalna reforma gospodarcza. Wydano co prawda masę ustaw, uchwalonych przez Parlament, ale realizacja tych postanowień mocno kuleje. Wina za to spada niewątpliwie na rząd Wiktora Fokina, który nie może się rozstać z dawnym systemem zarządzania gospodarką od góry. Planowanie produkcji co prawda ustało, ale rynek nie powstał. Wciąż jeszcze dominują zamówienia państwowe, a system podatkowy dusi każdą inicjatywę. Wywołało to oburzenie opozycji i części przemysłowców. Na początku lipca postanowiono obalić gabinet Fokina i stworzyć

nowy rząd fachowców na bazie koalicyjnej. Plan ten jednak spał na panewce. Fokin wraz z częścią ministrów uprzedził „spiskowców” i przeszedł do ofensywy. Uratował rząd, ale doprowadził do dezorientacji wśród opozycyjnych posłów.

Zamiast zmiany kursu doszło do usunięcia głównego architekta zapowiedzianej reformy gospodarczej, młodego ekonomisty, wicepremiera Łanowego. Dymisję zarządził, zgodnie ze swoimi pełnomocnictwami, prezydent Krawczuk. Wywołało to ogromną konsternację, zwłaszcza na Zachodzie, gdzie Łanowego znano i ceniono jako rękojmię gospodarki rynkowej. Konsternację pogłębiła decyzja Krawczuka, żeby zastąpić Łanowego byłym burmistrzem, a ostatnio przedstawicielem prezydenta w Odessie, Symonenką. Jest on zwolennikiem gospodarki planowej. Jego pierwsze oświadczenia, że Ukraina nie potrzebuje obcej pomocy i sama da sobie radę z kryzysem, pogłębiły tylko zamieszanie.

Leonid Krawczuk rządzi obecnie przy pomocy dekretów i opiera się na systemie swych przedstawicieli w terenie. Są to urzędnicy, wyposażeni w absolutną władzę w stosunku do organów samorządowych — coś w rodzaju wojewodów lub gubernatorów. Natomiast ciałem doradczym prezydenta — bez formalnych przywilejów — jest w międzyczasie już dość rozległa Duma Państwowa. Stanowi ona twór w stylu rady przybocznej głowy państwa i jest przedmiotem nieustannych ataków ze strony rządu i parlamentu jako samozwańcze i antykonstytucyjne ciało. Czy będzie to tylko instytucja przejściowa bez widoków na przyszłość — trudno w tej chwili przewidzieć. Ostateczny ustrój państwowy wyklaruje się w nowej konstytucji. Projekt został już opracowany i na ostatnim posiedzeniu parlamentu zatwierdzony jako podstawa do powszechnej debaty społecznej.

Konstytucja ta, wzorowana pod wieloma względami na modelu francuskim, opiera się na mocnej władzy prezydenckiej. Prezydent wyraźnie góruje nad parlamentem i rządem. Niejasne jest, czy przyszła władza ustawodawcza będzie jedno-, czy dwuizbowa. Podobnie niezupełnie klarowne są różnice między centralnym a regionalnym systemem administracji. Jesienią mają zostać rozpatrzone poprawki, wniesione podczas obecnej debaty, i nastąpi drugie i trzecie czytanie w parlamencie. Krawczuk i przewodniczący parlamentu Pluszcz uważają, że konstytucję powinna zatwierdzić obecna izba posłów. Opozycja sprzeciwia się temu i zapowiada kontrofensywę.

Zapowiedziana walka odbędzie się w warunkach rozpadu sił politycznych. Z dawnej partii komunistycznej wyrosła — na razie dość słaba — Partia Socjalistyczna, na czele której stanął inteligentny aparatczyk nowego chowu, poseł do parlamentu Moroz. Opowiada się on za drogą parlamentarną. Natomiast jego

kolega na Krymie, Hracz, utworzył neomarksistowski Związek Komunistów. Wielkie zmiany zaszły wewnątrz obozu demokratycznego. Na wiosnę powstał ukraiński „Centrolew” pod nazwą „Nowej Ukrainy”. Jest to koalicja partii liberalnych, socjaldemokratycznych i „Zielonych” oraz nowopowstałego Związku Przemysłowców. Głównym postulatem nowej koalicji jest jak najszybsze przeforsowanie radykalnej reformy gospodarczej (przede wszystkim prywatyzacji majątku państwowego), ożywienie stosunków gospodarczych z sąsiadami i (na obecnym etapie) pozostanie we Wspólnocie Niezależnych Państw. „Nowa Ukraina” nie odrzuca w czambuł projektu konstytucji, ale żąda silnej władzy sądowej i wzmocnienia parlamentu w układzie systemu prezydialnego czyli nie idzie tak daleko, jak Czornowił.

Na prawo od „Centrolewu” doszło na początku sierpnia do konsolidacji sił konserwatywnej demokracji w formie Zjednoczenia Narodowo-Demokratycznego, czegoś w rodzaju pierwotnej inicjatywy braci Kaczyńskich w Polsce. Pomysł bloku konserwatywnego wyszedł od jednego z dawnych przywódców „Ruchu” Mychajła Horynia. Jest on obecnie — po odejściu Łukjanenka, mianowanego ambasadorem w Kanadzie — przewodniczącym konserwatywnej Ukraińskiej Partii Republikańskiej. W partii tej doszło na wiosnę do rozłamu, podobnie jak w kilku innych stronnictwach. Secesji dokonał przywódca prawicowo-radykalnego skrzydła, *enfant terrible* ukraińskiej polityki, Stepan Chmara. Utworzył on w międzyczasie własne ugrupowanie, które bierze udział w wielu akcjach odbudowanej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów OUN kierunku banderowskiego. Obok partii Horynia w Zjednoczeniu uczestniczą: Partia Demokratyczna Pawłyuczki i Dracza, zresztą bardzo słaba i mało aktywna, pseudo-chłopska i niezwykle nacjonalistyczna Partia Demokratyczno-Chłopska oraz szereg rozmaitych związków i organizacji, głównie studenckich. Zjednoczenie przyjęło program pracy „państwowotwórczej” i w gruncie rzeczy popiera system władzy prezydenckiej prawie bez ograniczeń, domaga się jednak natychmiastowego wystąpienia Ukrainy ze Wspólnoty Państw Niezależnych, wydatniejszej ukrajinizacji życia społecznego, i przy udzielaniu koncesji obcemu kapitałowi ochrony narodowych interesów kraju.

Niejako na prawo od tych zmian formuje się obóz nacjonalistyczny. Ofensywę na wielką skalę podjęło z emigracji — głównie z Niemiec, Belgii, Anglii i Holandii — kierownictwo OUN (radykalnego, banderowskiego autoramentu). Jego duchowym zapleczem jest monachijski Wolny Uniwersytet Ukraiński, z którego usunięto demokratów. OUN-nowcy organizują kongresy i konferencje na całej Ukrainie i zdobywają pewne wpływy, głównie na ziemiach zachodnich i w Związku Oficerów. Działają

przy tym wiernie w duchu dawnego totalitaryzmu, to znaczy organizują podwójną strukturę: legalno-jawną i zakapturzoną. Operują martyrologią, hałaśliwym patriotyzmem i hojnym rozdawaniem zaproszeń na tanie pobyty na Zachodzie. Korzystają przy tym z zupełnej niewiedzy społeczeństwa o totalitarnych i terrorystycznych korzeniach tego ruchu. W odpowiedzi na rzadkie obiektywne publikacje podnoszą niesamowity wrzask, usiłując zastraszyć przeciwnika.

W zmaganiach o wpływy przegrali z kretesem umiarkowani nacjonałści z emigracji, którzy od czasów rozłamu zbliżyli się do demokracji — mam na myśli tak zwanych „melynkowców” i „uhawerowców”. Ci ostatni, skupieni głównie w Ameryce wokół wydawnictwa „Prolog”, przenieśli swoją intelektualną twierdzę, czasopismo *Suczasnist*, na Ukrainę i faktycznie pozbawili się możliwości krytyki z zewnątrz.

Demokratyczne środowiska emigracyjne, które skupiały się wokół post-petlururowskiego Centrum Państwowego i jego Wykonawczego Organu jako rządu na emigracji, były w ostatnich latach tak słabe, że w obecnych procesach w kraju odgrywają znikomą rolę. Podejmując decyzję przekazania insygniów władzy przez emigracyjnego prezydenta Mykołę Pławiuuka na ręce wybranego w rzeczywistych wyborach prezydenta Leonida Krawczuka, środowisko demokratyczne nie zdobyło się na powołanie jakiegoś ośrodka czy skupiska doradczo-obszewacyjnego, które w krytycznych sytuacjach mogłoby podejmować potrzebne inicjatywy.

Niewesoły obraz Ukrainy w pierwszą rocznicę niepodległości pogłębia tragiczna sytuacja w łonie ukraińskiego prawosławia. Dotychczas trwała walka pomiędzy ukraińskim Kościołem autokefalicznym pod egidą patriarchy Mstisława i ukraińskim Kościołem podporządkowanym patriarchatowi moskiewskiemu z kijowskim metropolitą Filaretem na czele. Trwały też napięcia w Galicji pomiędzy grekokatolikami i duchowieństwem obydwu gałęzi prawosławia. Obecnie sprawy wyglądają o wiele gorzej. Oto pokrótce ich tło i przebieg: Moskwa zareagowała na autokefalię decyzją patriarchy Aleksego II z października 1990 roku, iż ukraiński Kościół staje się samodzielny w sprawach administracyjnych. Na to metropolita Filaret zwołał 1.11.1990 synod biskupów w Kijowie i zwrócił się do Moskwy z prośbą o nadanie pełnej autokefalii. Reakcja patriarchatu była miażdżąca. Wszczęto wojnę z Filaretem, a jednocześnie oświadczone, iż sprawę nadania Ukrainie pełnej swobody kościelnej rozpatrzy ogólny sobór w 1995 roku! Na synodzie Kościoła rosyjskiego w końcu marca pozbawiono Filareta stanowiska i zmuszono go do podpisania dymisji. Po powrocie do Kijowa metropolita odwołał dymisję jako złożoną pod presją. Wkrótce potem podjął roko-

wania z zastępcą nieobecnego Mstisława, arcybiskupem Antonim i obydwoj bez wiedzy patriarchy podpisali porozumienie o rozbudowie patriarchy kijowskiego. Mstisław potępił tę akcję, ale potem, podczas pobytu w stolicy Ukrainy, zajął chwiejne stanowisko — podobno pod naciskiem prez. Krawczuka. 24 maja odbyła się kijowska konferencja z udziałem ok. 2.000 duchownych i świeckich, która potwierdziła akt połączenia. Już nazajutrz biskup charkowski Nikodem zwołał synod, na którym na nowego metropolitę Ukrainy wybrano długoletniego rektora Moskiewskiej Akademii Teologicznej a ostatnio metropolitę rostowskiego, Włodzimierza, rdzennego Ukraińca. Wszyscy obecni biskupi z 22 diecezji podporządkowali się obranemu dostojnikowi, a 19 lipca doszłusował do nich dotychczasowy biskup Kościoła autokefalicznego w Łucku, Mikołaj, co zaskoczyło wiernych na Wołyniu. Tymczasem Włodzimierz objął rządę metropolitalne w Kijowie. W oświadczeniu zapewnił, że uczyni wszystko dla pojednania i stworzenia prawdziwej autokefalii, ale w oparciu o prawo kanoniczne, nie zaś w spontanicznych akcjach.

Tymczasem hierarchia Kościoła greckokatolickiego dokonała dzieła konsolidacji na synodzie lwowskim, przeprowadzonym w obecności nowo mianowanego nuncjusza Antonio Franco w okresie od 17 do 31 maja. Tymi śladami poszły uroczystości przeniesienia trumny kardynała Josypa Slipego z Rzymu do Lwowa, połączone z pierwszym po wojnie światowym kongresem laikatu greckokatolickiego. Ale nawet ten odrodzony Kościół nie ustrzegł się od bakcyli rozłamu: secesją grozi biskupstwo w Mukaczewie na Ukrainie Zakarpackiej.

Rozpadowi Ukrainy towarzyszy nagły zwrot w stosunkach z Rosją. Jak wiadomo, całe pierwsze półrocze stało pod znakiem konfliktów. Kłócono się o flotę czarnomorską, o Krym, o podział długów i majątku byłego Związku Sowieckiego, o walutę i o kontrolę nad strategiczną bronią nuklearną. Napięcie rosło, a politycy z obu stron dolewali oliwy do ognia. Aż nagle panowie Krawczuk i Jelcyń sięgnęli do telefonu i najpierw, 23 czerwca w Dagomysie na rosyjskim brzegu Morza Czarnego, zawarli umowę o porozumieniu i współpracy, a następnie 1 sierpnia zapili spór o flotę bruderszaftem w Jałcie. Ma być wspólna flota i wspólne dowództwo. W ślad za tym nastąpi podpisanie nowego traktatu o stosunkach w przyszłości. Choć Jałta nie ma dla Ukrainy tego symbolicznego znaczenia, jakie ma dla Polski i dla Zachodu, nagły zwrot spowodował sporo zamieszania. Jako pierwsze państwo Wspólnoty ostry protest przeciwko nowej Jałcie złożyła Białoruś. Jeszcze niedawno Ukraińcy i Białorusini snuli plany o wspólnym sojuszu. Jałta — to niedobry znak.

Bohdan OSADCZUK

„Sytuacja jest bardzo poważna”

WYWIAD Z PRZYWÓDCĄ OPOZYCJI UKRAIŃSKIEJ
WACZESŁAWEM CZORNOWIEM

Bohdan OSADCZUK: — *Jakby Pan scharakteryzował obecną sytuację Ukrainy?*

Waczesław CZORNOWIŁ: — *Sytuacja jest bardzo poważna. Rząd nie przejawia żadnej inicjatywy. Bardzo aktywny w retoryce, ale słaby w działaniu prezydent Krawczuk odnosi pewne sukcesy na polu polityki zagranicznej, szczególnie w stosunkach z naszymi sąsiadami, ale toleruje kompletną stagnację w gospodarce. A jeżeli się zawali gospodarka, to zostanie zagrożony całokształt naszej państwowości. Stąd nadciąga największe niebezpieczeństwo dla Ukrainy.*

B.O.: — *Rozumiem niebezpieczeństwo grożące gospodarce, ale widzieć w tym od razu zagrożenie dla egzystencji państwa? Pan przypadkiem nie przesadza?*

W.Cz.: — *Niech Pan nie myśli, że stopień przywiązania wśród naszego społeczeństwa do własnej państwowości jest wysoki. To, że ogromna większość ludzi poparła sprawę niepodległości, było związane z nadzieją na rychłą poprawę bytu. W tym tkwiła polityczna zaliczka dla kierownictwa. Społeczeństwo łączyło nadzieję na niezawisłość z nadzieją na polepszenie sytuacji materialnej. A jeśli dojdzie do tego, że w Rosji ruszą reformy i nastąpi widoczna zmiana na lepsze, zwłaszcza w okolicach przylegających do Ukrainy jak na przykład w regionach Kurska, Woroneża czy Belgorodu i stopa życiowa tam wzrośnie do tego stopnia, że będzie wyższa niż powiedzmy w pobliskim Charkowie czy Doniecku, to może wyniknąć istotne niebezpieczeństwo secesji wschodniej Ukrainy. Wystarczy tylko spojrzeć na układ tamtejszych stosunków narodowościowych.*

B.O.: — *No dobrze, jeżeli Pan to widzi, to czyż ludzie sprawujący władzę tego nie widzą?*

W.Cz.: — *Zespół rządzący Ukrainą jest psychologicznie absolutnie nieprzygotowany do sprawowania władzy w państwie niepodległym. To ludzie, którzy przywykli do otrzymywania rozka-*

zów z góry i przekazywania ich w dół. Oni wyrosli w systemie gospodarki nakazowej. Umieją jedynie planować, limitować, rozdzielać. Jest to formacja pozbawiona wszelkich znamion twórczej myśli, bez krzty kreatywności, jakiejś wizji, inicjatywy. To ludzie ortodoksyjnych przekonań, nierzadko zupełnie przypadkowi jak na przykład wicepremier Świetoczew — zjawisko i śmieszne i smutne. Ten osobnik ćwiartował mięso w rzeźni w Ługańsku i prawdopodobnie zaopatrywał nomenklaturę. Dostał się do Kijowa, szybko awansował, a teraz jest odpowiedzialny za prywatyzację przemysłu. Przecież takie factotum nie ma zielonego pojęcia o tych sprawach.

Prawdę mówiąc, to my mamy rząd jeszcze z kolonialnych czasów. Prezydent Krawczuk obiecywał w styczniu tego roku, że wymieni 70% starego składu gabinetu. W rzeczywistości dokonał zmian na kilku stanowiskach i koniec.

B.O.: — *No, a co na to parlament, czyżby milczał wobec tego wszystkiego?*

W.Cz.: — Parlament siebie zupełnie wyczerpał. Przez pewien czas wykonywał swe funkcje, choćby to, że mimo dużych oporów, zatwierdził niepodległość. I na tym jego rola faktycznie się skończyła. Nie zapominajmy, że to zgromadzenie posłów pochodzi również z kolonialnych czasów. W tym gronie żadnych reform zatwierdzić nie można. Opozycja, niegdyś silna w postaci zjednoczonej frakcji „Rada Ludowa”, też się rozplynęła, część posłów przeszła na pozycje ugodowe, tworząc tak zwane skrzydło „państwowotwórcze”, część prowadzi politykę niezależną. Dlatego niepodobna przeforsować koncepcji powołania nowego rządu. Myśmy mieli kandydatów na czołowe stanowiska: Czerniaka, Juchnowskiego, Łanowego, Kysłyć. Ale prawdę mówiąc, to szefostwo rządu powinien być przejąć zgodnie z ładem prezydenckim Krawczuk. Byłoby to zgodne z naszym obecnym systemem. Podobnie jak to zrobił Borys Jelcyn w Rosji. Ale Krawczuk przestraszył się odpowiedzialności i wobec tego mamy taką sytuację jaką mamy.

B.O.: — *Co Pan zamierza zrobić jako szef opozycji?*

W.Cz.: — Najpierw musimy zebrać trzy miliony podpisów wśród naszych obywateli na rzecz rozwiązania obecnego parlamentu i rozpisania wyborów. Nas straszą, że wówczas otrzymamy „polskie rozbitcie partyjne”. Ja tego poważnie nie traktuję. Polska jest Polską, a my mamy inne stosunki i obyczaje. Nasze partie są słabe, ale tylko drogą wyborów można sprawdzić ich wpływ i zasięg. Musimy przyspieszyć proces demokratyzacji. Jeżeli tego dokonamy jeszcze w bieżącym roku — obóz

demokratyczny wygra. Jeśli to prześpiemy, wówczas w następnym roku demokracja może odnieść porażkę. Mogą wówczas zwyciężyć komuniści przeфарbowani na tak zwanych socjalistów.

Wszystko się wzajemnie zażębia. Sprawa reform, zmiany rządu i oczywiście losy parlamentu. Nie można dopuścić, aby obecny parlament zatwierdził nową konstytucję. Tam są niektóre pozytywne elementy, ale na ogół jest to projekt ustroju autorytarnego, dla niekoronowanego króla-prezydenta. Do projektu należy wnieść istotne poprawki w dziale obrony ustroju parlamentarnego. Ale byłoby absurdem gdyby obecny parlament miał uchwalić konstytucję. Dlatego musimy się odwołać do referendum i konstytucję uchwali nowo wybrana Izba Posłów albo zwołamy Konstytuante, która zatwierdzi konstytucję a potem się rozwiąże.

B.O.: — *Wróćmy może jeszcze do kwestii współczesnego układu sił politycznych. Jak Pan to widzi?*

W.Cz.: — Wciąż jeszcze „Ruch” jest najsilniejszą grupą. On jeszcze nie spełnił swojej roli. Przez pewien okres czasu „Ruch” może i musi wykonywać polityczne zadania. A potem chyba się zreformuje, może się stanie partią polityczną. Zobaczymy. Takie struktury są skazane na taki właśnie a nie inny los. Pomyłką naszych demokratów-państwowców, którzy mówią „najpierw państwo, a potem demokracja” jest to, że tak naprawdę, to my nie mamy realnego państwa. Bo cóż mi to za państwo wewnątrz ogólnorublowej strefy walutowej, państwo bez konkretnych granic. Kiedy jadę do Rosji nie widzę żadnej granicy, żadnej służby celnej itd. To nie państwo lecz ameba. Niech Pan się przyjrzy naszej armii. 80% oficerów to Rosjanie, a poza naszymi kordonomi czeka 350.000 ukraińskich oficerów na repatriację i nikt niczego w tej sprawie nie robi. A ta cała historia z Flotą Czarnomorską, przecież to kupa żelastwa, złomu. Komu to dzisiaj potrzebne. Absurd. Ale wydaje mi się, że po obydwu stronach — to znaczy i w Rosji i u nas — podgrzewa się tani patriotyzm. Problem istnieje, ale bywa często sztucznie rozdmuchiwany. A co do Krymu — to Krawczuk poczynił kapitalne pomyłki. Niepotrzebnie dał autonomię garstce partokratów pod batutą Bagrowa. Zaniedbano kompletnie autochtonów czyli Tatarów Krymskich.

B.O.: — *Panie Wiaczesławie, jakie Pan widzi scenariusze na najbliższą przyszłość?*

W.Cz.: — Jak najszybsze powołanie rządu Narodowej Zgody, przeprowadzenie reform gospodarczych. Niedopuszczenie do przyjęcia obecnego projektu konstytucji. Przeprowadzenie wybo-

rów samorządu terytorialnego. Wybranie wójtów i sołtysów. Musi w ten sposób powstać solidna baza demokracji na wsi i w mieście. Jest to ważne, gdyż istnieje kolosalne niebezpieczeństwo nowego etatyzmu. Jeśli demokraci przestaną się gryźć między sobą to mogą przez wybory samorządowe rozbudzić potężny ruch demokratyczny na prowincji.

W przeciwnym wypadku będziemy mieli do czynienia z nawrotem do starych struktur. Na górze będą rządili działacze operujący pięknymi fazesami ale dzielący władzę wewnątrz siwy. Niech Pan spojrzy kogo powołano na przedstawicieli prezydenta w poszczególnych regionach. Cóż to za demokracja, kiedy rządzą nie obrani lecz mianowani politycy?

B.O.: — *Pozwoli Pan, że jeszcze raz powrócę do rozstawienia sił wewnątrz-politycznych. Czym jest na przykład „Nowa Ukraina”, mówią że to coś w rodzaju koalicji.*

W.Cz.: — To jest swego rodzaju koalicja, chociaż dosyć dziwna. Są w niej i partie i związki przedsiębiorców, rozmaite struktury ekonomiczne. Ze struktur partyjnych najważniejszą jest tam Partia Odrodzenia Demokratycznego, która postawiła na tworzącą się średnią warstwę. Jeśli chodzi o względną masowość, to tym się może wykazać jedynie „Ruch” i Partia Republikańska. Natomiast Partia Demokratyczna — to zrzeszenie elity inteligentkiej pod egidą Dracza, Pawłycki i Badzio. Jest to partia bez dołów. Również Partia Chłopska jakoś nie może stanąć na nogi. Programowo jest ona bardziej radykalnie-nacjonalistyczna niż my, to znaczy Ruch. Jej przywódca Płaczynnda głosi idee czystego nacjonalizmu.

B.O.: — *Pomówmy jeszcze o polityce zagranicznej. Czy Pan widzi zęby jakiejś koncepcji czy nie?*

W.Cz.: — Niestety trudno mówić o koncepcjach, kiedy nawet nie ma korpusu dyplomatycznego. Jest dużo chaosu, dużo osobistych ambicji, tu się coś podpisuje, tam się coś otwiera, ale to wszystko nie trzyma się kupy. Nie mamy ustrukturalizowanej i czytelnej doktryny polityki zagranicznej, nie wiemy jakie są priorytety. Znowu mamy do czynienia z czysto intuitywnymi ruchami ameby. Koncepcja Międzymorza, o której kiedyś wspominałem, jest trudna do zrealizowania. Nie bardzo wierzę też w rolę Polski jako pomostu na Zachód. Moje doświadczenia z rozmaitymi firmami polskimi usiłującymi robić interesy we Lwowie są jak najbardziej negatywne. To były niepowodne, śmieszne pomysły. Trzeba się pozbyć raz na zawsze geopolitycznych koncepcji z ubiegłego stulecia. I Polska powinna przestać bawić się w jakieś pomoskiewskie machinacje za naszymi plecami.

To do niczego nie prowadzi a jedynie szkodzi naszym stosunkom bilateralnym. Dawna zasada, że sąsiad mojego sąsiada — to mój sojusznik, jest obecnie nie do przyjęcia. Dzisiaj winna dominować zasada: mój sąsiad — to najbliższy druh i sojusznik. Nie możemy jednak robić interesów tak, jak to próbował robić „Energopol” we Lwowie czyli tylko kosztem Ukrainy. Ja to powiedziałem w Polsce wyraźnie: nie tędy droga, Panowie. Tak samo kompletnym nieporozumieniem jest wychwalanie handlarzy i przemysłowców jako rzeczników porozumienia. Należy szukać perspektywicznych rozwiązań na dużą skalę a nie jarmarcznych okazji. Ale tego rodzaju inicjatyw nie widzę i stąd moja powściągliwość wobec Warszawy.

Rozmawiał Bohdan OSADCZUK

Notatki rosyjskie

W dniu 9 września prezydent Rosji Borys Jelcyn oświadczył niespodziewanie, że nie pojedzie do Japonii. Wizyta wyznaczona była od dawna na 13-18 września. Jelcyn zrezygnował z niej w ostatniej chwili, czym wzbudził powszechne zadowolenie w Rosji i pewien szok w Japonii. Decyzję ogłoszono niespodziewanie, ale spory na ten temat toczyły się od dawna. Nienormalne stosunki sowiecko-(dziś rosyjsko-) japońskie tłumaczy jedno słowo — Kuryle. Cztery skaliste skrawki ziemi na Morzu Japońskim stały się dla obu narodów przedmiotem dumy narodowej.

Pierwszy powiedział to towarzyszył Stalin. 2 września 1945 r. wygłosił mowę do narodu z okazji zwycięstwa nad Japonią i rzekł: „To znaczy, że południowy Sachalin i Wyspy Kurylskie przypadną Związkowi Sowieckiemu...”. Generalissimus przypomniał, że w 1904 r. „Japonia skorzystała z porażki carskiej Rosji, aby odebrać Rosji południowy Sachalin i okopać się na Wyspach Kurylskich”, że klęska wojsk rosyjskich w 1904 r. pozostawiła w świadomości narodu ciężkie wspomnienia. Jak czarne piętno położyła się na naszym kraju. Nasz naród ufał i czekał dnia, kiedy Japonia zostanie pobita i piętno zdjęte”.

Pod kierownictwem Stalina piętno zdjęte. Nie zawarto jednak pokoju między ZSSR i Japonią. W 1956 r., kiedy Nikita Chruszczow zaczął politykę „pokojowego współistnienia”, zaproponował Japonii dwie wyspy. Moskwa uważała, że jest to hojna propozycja: podzielić Kuryle pół na pół pod warunkiem, że Japonia nie podpisze

traktatu współpracy wojskowej ze Stanami Zjednoczonymi. Tokio odmówiło, Moskwa wycofała propozycję.

Podczas *perestrojki* sprawa Wysp Kurylskich, które Japończycy nazywają „Wyspami Północnymi”, wróciła na wokandę. Tym razem wydawało się, że może dojść do zgody. Japonia uważa Kuryle za najważniejszy problem polityczny, jedyny konflikt z 1945 r., którego nie rozwiązano. Dla Rosji małe punkciki na zimnym, choć rybnym morzu, zdawały się nie mieć zasadniczego znaczenia. Natomiast ekonomiczna pomoc Japonii — gdyby nadeszła — mogłaby się bardzo przydać. W 1990 r. Japonię odwiedził wielki podróżnik Michaił Gorbaczow. Wydawało się, że niczego nie żałuje: gotów był z wszystkiego zrezygnować. A Kuryli nie oddał! Borys Jelcyn dość długo szykował się do podróży. Całkiem niedawno mówił, że ma dwanaście wariantów rozwiązania kwestii. Po kilku dniach zwiększył liczbę wariantów do czternastu. Trzymał ją w wielkim sekrecie. Nawet minister spraw zagranicznych Japonii, który w przeddzień jego podróży przybył do Moskwy, nie został wtajemniczony.

W miarę jak przygotowywano podróż Jelcyna do Tokio, w Rosji narastała fala uczuć patriotycznych. Patrioci i komuniści, „czerwono-korzenni”, jak ich nazywa Jelcyn, ostrzegali prezydenta przed skutkami „zdrady” (oddania Kuryli) i przypominali, że gotowi są bronić „ziemi rosyjskiej” do ostatniej kropli krwi. Zadziwiający spektakl, wobec którego przyszłe pokolenia staną jeszcze bardziej zdumione niż obecne: naród rosyjski z oszałamiającą obojętnością przyjął wyjście z obozu socjalistycznego wszystkich „bratnich krajów”, wśród nich najdroższej NRD, spokojnie zniósł rozpad Związku, zamianę w „zagranicę” nie tylko Nadbałtyki, ale i Białorusi oraz Ukrainy, a przy Kurylach zapłonął świętym gniewem!

Jednym z powodów jest fakt, że w „walce o Kuryle” nie ma przeciwnika. Japończycy mogą się oburzać i, rzecz jasna, odmawiać pieniędzy, ale do tego „patrioci” nie przywiązują wagi. Gubernator Sachalina Fiodorow jest czynnie „pro-kurylski”, nie zgadza się na oddanie wysp i proponuje Japonii, aby zjednoczyła się z Sachalinem. Rola sachalińskiego wóдаря w kształtowaniu rosyjskiej polityki zagranicznej jest wyrazem wyraźnych dziś w Rosji tendencji odśrodkowych. Hasło bojowników o Kuryle brzmi: będziemy bronić ruskiej ziemi!

Prawda reklamuje „podręczną księgę dnia”, dzieło sporządzone na zamówienie Fiodora sachalińskiego, następującymi słowy: „Zamach na Kuryle”. Autor książki, doktor nauk humanistycznych Igor Łatyszew, dowodzi wbrew faktom, że Wyspy Kurylskie zawsze były rosyjskie. Począwszy od XVII wieku. Mógłby sięgnąć dalej — tylko resztki sumienia kazały mu zatrzymać się na XVII wieku.

„Incydent kurylski” pokazał, że Borys Jelcyn musi się liczyć z opinią publiczną, że opinię publiczną nietrudno zorganizować i skanalizować w odpowiednim kierunku, że łatwo jest wykoślawiać uczu-

cia patriotyczne i wykorzystywać je w bezwstydnie demagogicznych celach. To było wiadome i przed „afērą kurylską”.

Inny incydent zaszedł niedaleko Moskwy, w stolicy Tadżykistanu Duszanbe. Tadżykistan był ulubionym tematem Brunona Jasińskiego: opowieść o podróży po republice zatytułował „Siódma sowiecka”, zaś powieść, której akcja toczy się tamże — „Człowiek zmienia skórę”. Gdyby prezydent Tadżykistanu, Rachmon Nabijew, znał powieść Jasińskiego, mógłby powiedzieć, że to o nim. Był pierwszy sekretarz KC miejscowej partii komunistycznej lekko się przefarbował i wybrał się „w drogę demokratycznej” na prezydenta niezależnej republiki. Przez około roku opozycja zbierała siły. Latem Nabijew musiał uciec z pałacu, ale potem udało mu się dogadać z przeciwnikami i wrócił. 7 września Rachmon Nabijew podał się do dymisji i wyjechał do rodzinnego miasta Chodżent, gdzie oświadczył, że złożył dymisję z pistoletem u kroni. „Siódma sowiecka”, podobnie jak wszystkie inne republiki sowieckie, skrojona została w ten sposób aby żadna nie była jednonarodowa. Stąd wynikają obecne walki narodowe na Kaukazie, w Mołdawii, a jutro zapewne w Azji Środkowej.

W Tadżykistanie walczą ze sobą klany, które szukają sobie ideologii. Geopolityczne znaczenie tej republiki polega na jej bliskości z Afganistanem, z którego wartkim strumieniem płynie broń. 25% ludności stanowią Uzbegy. W Uzbekistanie żyje mniej więcej tyle samo Tadżyków. Konflikt między tymi dwiema republikami może wzniecić pożar w całej Azji Środkowej.

Znaczenie wydarzeń w Tadżykistanie — gdzie nie są znane ani skład wrogich ugrupowań, ani ich cele — jest o tyle ważne, że interesują się nimi najbliżsi sąsiedzi — Turcja, Pakistan i Iran. Elita środkowo-azjatyckich, muzułmańskich, po-sowieckich republik, wychowana na sowieckiej ideologii, interesuje się zwłaszcza ideami, napływającymi z Turcji. Po-sowiecka elita boi się muzułmańskiego fundamentalizmu, pociąga ją natomiast laicki nacjonalizm potomków Atatürka. Turcja zaczęła nadawać program telewizyjny dla narodów po-sowieckich: TV Euroazji. Rosyjscy dziennikarze twierdzą, że sporządzona została „zielona mapa” Turcji, której granice obejmują nie tylko rejony Środkowej Azji, ale też rosyjską Tatarię, Baszkirię i Czuczazję i biegną dalej ku brzegom Cichego Oceanu i granicom Chin.

Nieistniejąca do dziś rosyjska polityka zagraniczna zdaje się tego nie dostrzegać. Piszą o tym natomiast niektórzy dziennikarze, którzy widzą możliwość stworzenia w przyszłości nowej (starej) geopolitycznej jednostki skupiającej Rosję i narody muzułmańskie. Tę przyszłą „część świata” jedni nazywają Euroazją, inni — Turanem.

Wydarzenia zagraniczne wybuchają i mijają; coś się zmienia, coś zostaje po staremu. Natomiast operacja, która (zgodnie z planem) ma zostać ukończona z początkiem przyszłego roku, a zacznie się 1 października, może stać się prawdziwą rewolucją. 14 sierpnia

Borys Jelcyn podpisał dekret o prywatyzacji. 1 października zacznie się wydawanie obywatelom rosyjskim „czeków prywatyzacyjnych”, czyli, jak się je nazywa w najczystszy anglo-rosyjskim języku, „voucherów”. „Wszystko, co podlega prywatyzacji, podzieliliśmy przez liczbę ludności, włączając w to nieletnich i starców; obliczyliśmy, że wynik stanowi 8.000 rubli, ale postanowiliśmy, że lepiej będzie 10.000. Każdy dostanie taki czek prywatyzacyjny”. Tak rzecze Borys Jelcyn. Cała własność państwa (prawie cała — co nieco sobie zostawia) przejdzie w ręce ludu.

Brzmi to rewolucyjnie, zapowiada reformę, którą niełatwo będzie cofnąć, powstanie klasy prywatnych właścicieli. Krótko mówiąc — przemianę Rosji. Bieda polega — na razie — na tym, że nikt nie wie, co to znaczy. Jak będzie przebiegała wyprzedaż państwowej własności, co dalej robić z „voucherem”, czy nie skupią ich w swoich rękach bogacze itd., itp. Ekonomista Wasilij Sielunin powiedział w radio „Swoboda”: „Kto jak kto, ale ja powinienem się cieszyć. Zaczyna się nareszcie powszechna prywatyzacja! Co więcej, odpowiada idei, którą nasza mała grupka niezależnych ekonomistów sformułowała trzy-cztery lata temu”. Tymczasem Wasilij Sielunin nie bardzo się cieszy: boi się, że powszechna prywatyzacja zmierza do tego, aby wydrenować z kieszeni ludzi prywatne oszczędności i zatkać nimi dziury w budżecie. „Nie tak ją sobie wyobrażaliśmy!” Gazeta *Moskowskij komsomolec* jeszcze jaśniej komentuje zamiary ustawodawców: „Zwalili na głowy nieszczęsnych ludzi vouchery i patrzą, co z tego wyniknie. Nic. Zanim naród zrozumie, co to takiego i co z nimi robić, zanim pojmie, że za voucher butów zimowych nie kupi, upłynie sporo wody w rzekach. A zanim naród w ogóle się domyśli, że go znowu nabito w butelkę, upłynie jesień. Voucher tymczasem spełni swoje zadanie — złagodzi napięcie społeczne”.

Vouchery i czeki prywatyzacyjne to muzyka przyszłości — bliskiej wprawdzie, ale przyszłości. Dzień dzisiejszy stanowi coraz wolniejsze tempo reformy ekonomicznej, narastający opór „baronów przemysłu” wspieranych przez *lobby* „rolniczo-kołchoźnicze” (kołchozy i sowchozy wstrzymują dostawy dla państwa i domagają się znacznego podwyższenia cen towarów rolniczych). 11 września Borys Jelcyn potwierdził w stolicy Czuwaszji, Czeboksarach, że zdecydowany jest kroczyć drogą reform, ale równocześnie powiadomił, że w roku 1993 zwiększą się zamówienia państwowe pod adresem przemysłu wojskowego. Kilka dni później kompleks wojskowo-przemysłowy dostał dodatkowe subwencje wysokości 13,6 mld rubli. Prezydent Rosji ostrzegł przed niebezpieczeństwem galopującej inflacji i tym, że „zwolennicy tanich kredytów i nierealistycznego programu społecznego pchają nas w przepaść”. Równocześnie zaproponował pokój Radzie Najwyższej, głównemu ośrodkowi opozycji. Całkiem niedawno Borys Jelcyn mówił o referendum w sprawie reform, o przedterminowych wyborach do Rady Najwyższej, która wciąż jeszcze składa się z odprysków starych władz. W Czeboksa-

rach zgodził się współpracować z „parlamentem” do końca jego kadencji, tzn. jeszcze dwa i pół roku; najwidoczniej liczy, że w ten sposób uspokoi opozycję.

Niewykluczone, że pokojowy gest Jelcyna ma związek z wywiadem, którego 8.8.92 udzielił *Komsomolskiej prawdzie* Siergiej Szachraj, w swoim czasie doradca prawny prezydenta. Deputowany ludowy Szachraj odszedł ze stanowiska doradcy, ale reprezentował prezydenta na posiedzeniach Trybunału Konstytucyjnego. W wywiadzie były doradca Jelcyna przedstawił scenariusz obalenia prezydenta: Trybunał Konstytucyjny uchwali, że dekrety Jelcyna są sprzeczne z konstytucją (zakaz działania partii komunistycznej, *empeachment*, który muszą uchwalić obie izby „parlamentu”), a następnie dwie trzecie zjazdu deputowanych usunie Jelcyna ze stanowiska. Dwie trzecie to ok. 700 osób. Na ostatnim zjeździe przeciw niektórym propozycjom prezydenta głosowało 694 deputowanych. Niewykluczone, że Jelcynowi ten scenariusz nie wydał się czystą fantastyką.

Wspomniałem o ważnych wydarzeniach w rozmaitych dziedzinach. Uważam jednak za obowiązek kronikarza odnotowanie najpiękniejszego zdarzenia ostatnich czasów. 1 września w dole pierwszej strony *Prawdy* widniał następujący tytuł: „Poznajcie się: *Prawda International*”. Następujący dalej tekst był długim wywiadem ozdobionym dwiema fotografiami. Po prawej figurował Gennadij Sieliezniew, naczelny redaktor *Prawdy* i wiceprezes spółki akcyjnej (SA) *Prawda International*, po lewej Iannis Iannikos, prezes SA *Prawda International*. Wstęp informował, że *Prawda*, która borykała się z poważnymi kłopotami finansowymi, wysłała z nich dzięki pomocy finansowej hojnego Greka. W marcu bieżącego roku, kiedy były centralny organ KC KPZS przestał wychodzić z braku pieniędzy, „on, Iannis Iannikos, powiedział: to bardzo niesprawiedliwe, grzebać najstarszą gazetę, znaną na całym świecie, a przede wszystkim potrzebną ludziom”. Za słowami nastąpiły czyny — I.I., który skromnie mówi o sobie „jestem zwykłym człowiekiem”, kupił *Prawdę*. Przede wszystkim wypada nie zgodzić się z Iannikosem. Scott Fitzgerald zauważył w rozmowie z Hemingwayem: bogaci ludzie nie są podobni do nas, mają pieniądze. W zasadzie pieniądze to prywatna sprawa. Niech się nimi zajmują inspektorzy podatkowi. Ale w tym przypadku źródło pieniędzy I.I. nie może nie intrzygować kronikarza. Z biografii, którą I.I. opowiada dziennikarzowi *Prawdy*, wynika, że był bohaterem ruchu oporu (komunistycznego, chociaż słowo nie pada w wywiadzie) i długo siedział w więzieniu jako więzień polityczny. Następnie zajął się działalnością wydawniczą. „Opublikowałem niemało sowieckich i rosyjskich książek naukowych, ponieważ zawsze uważałem waszą wiedzę za przodującą”. Czytelnik ma z tego wynioskować, że właśnie sowieckie i rosyjskie książki naukowe przełożone na grecki pozwoliły I.I. w stosownym momencie kupić *Prawdę*.

Bardzo to wzruszające i krzepiące, że są jeszcze dobrzy ludzie

na świecie. Nie odpowiada to jednak na wszystkie pytania. Przed rewolucją *Prawdę* (która ukazuje się od 1912 r.) finansowali kapitałiści, nie wiedząc co czynią. Czyli pojawienie się I.I. jest przedłużeniem leninowskiej tradycji. Wątpliwości dotyczą czego innego: czy rzeczywiście chodzi o pieniądze kapitalistów? Dostałem niedawno z Moskwy dokumenty opatrzone pieczęcią „ściśle tajne. Teczka specjalna”. „Teczka” Centralnego Komitetu KPZS jest dziś — częściowo — powszechnie dostępna. Wśród dokumentów widnieje np. wyciąg z protokołu nr 111 posiedzenia Biura Politycznego, na którym uchwalono „okazać pomoc finansową bratnim partiom”. Lista zawiera ich 34, od włoskiej do cejlońskiej. Włosi dostawali 3.700.000 dolarów na pół roku, a Cejlon wszystkiego 6.000 dolarów. Pominę tu sens uchwały o „bratniej pomocy”, zauważę tylko, że greckiej partii komunistycznej przyznano 100.000 dolarów. Mniejsza o to, czy to dużo, czy mało. Zapytuję tylko, dlaczego I.I. nie wziął na swe barki (niechby było razem z innymi dobrodziejnymi kapitalistami) utrzymania greckich komunistów? Następne pytanie: a może przy pomocy I.I. „pierze się” sławetne partyjne pieniądze, których z takim zapalem szukają wszyscy w Rosji i za jej granicami?

Ale to wszystko czepianie się. Grunt, że *Prawda* będzie spokojnie wychodzić nadal, kontynuując zaciętą walkę z rynkiem i kapitalistycznymi wpływami w Rosji. Pozostaje tylko jedna jedyna zagadka. Wpatruję się w sympatyczne oblicze Iannisa Iannikosa, w „sive włosy i młode oczy”, jak pisze dziennikarz z *Prawdy*, a po głowie krąży treść jeszcze jednego „ściśle tajnego” dokumentu. Kolejny protokół Biura Politycznego. Jeszcze jedna uchwała o pomocy dla włoskiej partii komunistycznej. Tym razem uchwalono, że Moskwa przyjmie na naukę przyszłych specjalistów od telekomunikacji, szyfrowania i tym podobnych tajnych umiejętności. Wśród nich postanowiono przyjąć dwie osoby specjalizujące się „w technice zmiany powierzchni”. Zagadka: a może dobroczyńca *Prawdy* wygląda całkiem inaczej, niż na fotografii, a nuż specjaliści zmienili mu „powierzchność”?

15. 9. 1992

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

CZERWIEC — SIERPIEŃ 1992

SPRAWY GOSPODARCZE I SOCJALNE: w Niemczech rozważa się możliwość powrotu do 40-godzinnego tygodnia pracy, większą liczbę godzin pracy na bazie dobrowolności oraz wyższą granicę wieku przejścia na emeryturę. ■ Zarobki w byłej NRD wynoszą w tym roku 60% zarobków w landach zachodnich. Podniesienie ich do 80% do roku 2000 wymagałoby, według Instytutu Gospodarki Niemieckiej IW, transferu finansowego z landów zachodnich w wysokości ogółem 1.500 miliardów marek. ■ Minister finansów Waigel odrzucił projekt bezpośredniego subwencjonowania eksportu przemysłu wschodniemieckiego do byłych republik sowieckich. ■ Szwecja rozważa zakup 120 czołgów niemieckich Leopard II za sumę 720 milionów marek. ■ Złomowanie arsenałów broni byłej armii NRD (NVA) kosztować ma miliard marek. ■ Według słów ministra obrony Rühle kraje byłego bloku wschodniego nie otrzymają broni ze stanów NVA. Obecnie największym jej odbiorcą jest Finlandia, która w czerwcu zakupiła m.in. 92 czołgi T-72, a przedtem 48.000 ton amunicji. Strona fińska wyjaśniła, że obowiązująca w tej sprawie absolutna dyskrekcja ma miejsce na wyraźne życzenie rządu w Bonn. ■ Na budowach w Niemczech pracuje obecnie ponad 130 tys. robotników z byłych krajów komunistycznych, głównie z Polski i Czechosłowacji. Przekracza to uzgodnioną liczbę 68.340 osób. Niskie stawki powodują wypieranie z tej branży i protesty robotników niemieckich. ■ Szereg niemieckich klinik w Północnej Nadrenii-Westfalii otrzymało przez telefax od przedsiębiorcy z Polski, Stefana Konarskiego, propozycję pośredniczenia w kupnie organów, jak np. nerek, od żyjących obywateli polskich. Cena oferowanej nerki waha się od 60.000 do 100 tys. marek. Gotowość potencjalnych sprzedawców do tego zabiegu Konarski wyjaśnił trudną sytuacją w Polsce. Według jego słów, 20 klinik wyraziło zainteresowanie propozycją. ■ **POLITYKA:** Na początku czerwca br. w Pradze zapowiedziano przedstawienie własnego katalogu roszczeń finansowych z powodu strat poniesionych na skutek Traktatu Monachijskiego z roku 1938. W wydanym oświadczeniu oznajmiono też, że „obrona ważności prawnej Traktatu, który stał się znanym synonimem zdrady, nie może przyczynić się do procesu porozumienia”. Oświadczenie to należy uznać za reakcję Pragi w obliczu nieustających roszczeń wypędzonych „Niemców Sudeckich”. ■ W obozach sowieckich w okresie i po 2-iej wojnie światowej straciło życie 357.000 niemieckich jeńców wojennych. ■ Wycofywanie oddziałów sowieckich z Niemiec Wschodnich przebiega planowo. Aktualnie znajduje się tam jeszcze 345.000 żołnierzy i członków ich

rodzin. Dotychczas 230 żołnierzy złożyło w Niemczech podanie o azyl polityczny. ■ Według ankiety instytutu „Emnid” 28% ankietowanych w lipcu mieszkańców byłej NRD i tylko 7% ze starych landów dostrzega więcej korzyści niż stron negatywnych ze zjednoczenia. ■ W pierwszej połowie br. przybyło do Niemiec 92.664 przesiedleńców powołujących się na swe niemieckie pochodzenie, w tym 76.197 z byłych republik sowieckich, 9.364 z Polski oraz 6.339 z Rumunii. ■ Podczas obrad kongresu towarzystwa Niemców Nadwożańskich „Wiedergeburt” (Odrodzenie) odbywających się w drugiej połowie czerwca br. w Moskwie, prawo do powołania własnej republiki ustawiono na równi z prawem wyjazdu do Niemiec. Zażądano ponadto od Rosji m.in. pełnego odszkodowania materialnego i uznania podwójnego obywatelstwa. ■ Republika Federalna ograniczyła kwoty wjazdów przesiedleńców z Rosji do 150.000 rocznie. ■ Dolna Saksonia, Hamburg i Brema nie uznają już „generalnego nacisku do wyjazdu” pośród przesiedleńców z Polski. W uzasadnieniu podano, że życie mniejszości niemieckiej w Polsce „znormalizowało się wraz z demokracją”. ■ Na odbywającym się w Berlinie 23 zjeździe Związku Wypędzonych jego dotychczasowy przewodniczący, Herbert Czaja, został ponownie wybrany na to stanowisko. W swym wystąpieniu Czaja powiedział: „Nie damy sobie odebrać Górnego Śląska na zawsze, ani przez Warszawę ani przez Bonn”. ■ Na terenie Niemiec Wschodnich w szeregach Związków Wypędzonych zrzeszonych jest 110.000 członków. W całych Niemczech ilość członków tej organizacji wynosi 2 miliony. ■ Liczba osób w Polsce, posiadających od niedawna oprócz polskiego paszport niemiecki, szacowana jest na kilkaset tysięcy. ■ Przebywający z wizytą w Polsce niemiecki minister spraw zagranicznych wypowiedział się za zaostrzeniem kontroli granicznej przez stronę polską z powodu stale wzrastającej liczby nielegalnych imigrantów w Niemczech, głównie członków cygańskich grup etnicznych Sinti i Roma. Tylko w czerwcu br. wopiści niemieccy zarejestrowali ponad 2.000 tych wykroceń, a w lipcu 3.000. Większość schwytanych osób została odesłana z powrotem do Polski. ■ W Rostocku miały miejsce kilkudniowe ekscesy o podłożu rasistowskim. Celem tych nacechowanych niezwykłą agresją i brutalnością zajęć było wypędzenie obcokrajowców z kwater dla cudzoziemców, w tym głównie Sinti i Roma. ■ Prezydent Niemiec Richard von Weizsäcker uznał incydenty w Rostocku za „poważne zagrożenie dla demokracji”. ■ Według danych zawartych w corocznym raporcie niemieckiego Urzędu Ochrony Konstytucji („Jahresbericht 1991”) liczba neonazistów w Niemczech zwiększyła się w ciągu roku z 32.300 do 39.800 osób, wśród nich 4.200 *skin-head*ów (głównie w Niemczech Wschodnich). W porównaniu do roku 1990 pięciokrotnie wzrosła liczba ciężkich napadów na cudzoziemców, takich jak np. w Hoyerswerdzie (z 270 na 1.483). „Do lipca 1992 było już 7 ofiar śmiertelnych pośród cudzoziemców”. ■ W kilka dni po wydarzeniach w Rostocku w nocy z 29 na 30 sierpnia co najmniej w 15

miastach i miejscowościach w Niemczech grupy neofaszystowskie przeprowadziły napady na domy i schroniska dla cudzoziemców. ■ Obecnie żyje w Niemczech 5,4 miliona cudzoziemców (w tym ok. 170 tys. obywateli polskich). Miastem o największej liczbie obcokrajowców jest Berlin (341 tys., wśród nich 26.600 z Polski). W roku 1991 obywatelstwo niemieckie przyjęło 7.500 osób, wśród nich na pierwszym miejscu Polacy (1.540) przed Turkami. ■ Na karę 12 miesięcy więzienia z zawieszeniem oraz 10.000 marek grzywny skazano w Monachium żyjącego tam 71-letniego wydawcę Alfreda Detschera za „podburzanie przeciwko innym narodom, sianie nienawiści rasowej, szkalowanie pamięci zmarłych oraz obrazę”. Detscher w swojej gazecie wielokrotnie publikował tezę o tzw. *Auschwitzlüge* (Kłamstwo Oświęcimia), według której „w Oświęcimiu nie było komór gazowych”, a wyniszczenie Żydów przez nazistów zostało rzekomo wymyślone przez samych Żydów. ■ W wieku 79 lat zmarł w Berlinie dnia 19.07.1992 roku przewodniczący Gminy Żydowskiej w Berlinie oraz Centralnej Rady Żydów w Niemczech, Heinz Galinski. Był on więźniem obozów koncentracyjnych. Nowym przewodniczącym Gminy Żydowskiej w Berlinie został wybrany długoletni zastępca zmarłego Heinza Galińskiego, Jerzy Kanal. ■ SPRAWY KULTURALNE: Nakładem wydawnictwa Piper Verlag ukazały się dwie publikacje dotyczące Polski. Pierwszą z nich jest tematycznie szeroko zakrojona antologia tekstów pt. „*Deutsche und Polen. Hundert Schlüsselbegriffe*” (Niemcy i Polacy. Sto haseł podstawowych); Piper, München Zürich 1992; opracowana przez Ewę Kobylńską, Andreasa Lawaty i Rüdiger Stephana. Drugą pozycją jest książka Lizawety von Zitzewitz „*5 mal Polen*” (Pięć razy Polska) przybliżająca czytelnikowi niemieckiemu Polskę dnia dzisiejszego na tle aktualnych wydarzeń i niedawnej przeszłości. ■ We Frankfurcie nad Odrą w jednym z gimnazjów otwarto dwie mieszane klasy niemiecko-polskie. Część przedmiotów nauczana jest w języku niemieckim, część w polskim. Czas nauki wynosi 3 lata. ■ Prywatna Fundacja Kruppa przeznaczyła 250.000 marek na wsparcie w semestrze zimowym 92/93 dla polskich studentów otwartego niedawno „Uniwersytetu Europejskiego” we Frankfurcie nad Odrą. Wśród 600 miejsc około 150-180 przeznaczonych jest dla studentów polskich. ■ W wydawnictwie Carl Hanser Verlag ukazało się dwutomowe wydanie dzieł zebranych Brunona Schulza. ■ Na początku lipca w Poczdamie rozpoczął działalność niemiecko-polski instytut młodzieżowy (*Deutsch-Polnisches Jugendwerk*), działający na wzór podobnej organizacji niemiecko-francuskiej. Do głównych inicjatorów i propagatorów tej instytucji należy kanclerz Helmut Kohl. ■ Pisarz Günter Grass założył przy Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie prywatną Fundację im. Daniela Chodowieckiego. Ma ona wspierać niemiecko-polskie stosunki kulturalne. Fundacja wyznacza ma raz w roku spośród rysowników i grafików polskich laureata nagrody w wysokości 10.000 marek. ■ W wyniku rozmów między Telewizją Polską a drugim ogólnoniemieckim programem telewizyjnym

ZDF uzgodniono emitowanie programu polskojęzycznego raz na 2 tygodnie. Składa się on z 15-minutowego materiału przygotowanego przez stronę polską i prezentowanego przez wybranych w ramach „konkursu” Barbarę Mödder i Andrzeja Pawlaka. ■ Według wyników badań uniwersytetu w Duisburgu język niemiecki znajdzie się wkrótce na drugim miejscu pod względem popularności w Europie, wypierając język francuski. Pierwsze miejsce należy nadal do języka angielskiego. ■ We Frankfurcie nad Odrą odbył się drugi niemiecko-polski festyn muzyczny z udziałem artystów i słuchaczy z obu krajów zorganizowany przez rozgłośnię „Polskie Radio Zielona Góra” i „Antenne Brandenburg”. ■ Na skutek braku pieniędzy znana fundacja niemiecka dla stypendystów cudzoziemskich DAAD, z której korzystało wielu stypendystów polskich może być zmuszona do redukcji miejsc dla stypendystów o połowę.

Berlin 31.08.92

Andrzej STACH

P.S. Na skutek błędu na str. 151 *Kultury* nr 7-8/1992 wydrukowane zostało zdanie „Mimo sprzeciwu bawarskiej CDU..” Miało być „Mimo sprzeciwu bawarskiej CSU...”.

A.S.

Dwie konferencje naukowe w Kamieńcu Podolskim

W dniach 26-31 maja odbyły się w Kamieńcu Podolskim jedna po drugiej dwie konferencje naukowe: pierwsza poświęcona była problemom społeczeństwa obywatelskiego Białorusi, Litwy, Ukrainy i Polski, stosunkom kulturalnym i narodowym oraz przedstawianiu tych spraw w podręcznikach historii, geografii i literatury. Uczestnikami byli przeważnie, choć nie wyłącznie, historycy z tych czterech krajów, z Francji przybył znany czytelnik polskim prof. Beauvois.

Wszyscy chyba Polacy zdają sobie sprawę, jak bardzo zająbiają się o siebie historia Polski i Litwy. Mniej może myślimy o tym, że historia Litwy interesuje też Ukraińców, nie tylko jako sąsiadów czy dawnych obywateli (lub poddanych) Rzeczypospolitej, ale też jako „Litwinów”, gdyż dopiero po r. 1569 cała Ukraina przeszła pod panowanie polskie, stając się częścią Korony. Białoruś z kolei należała do W. Ks. Litewskiego do samego końca. W jakimś sensie moż-

na by nawet twierdzić, że Wielkie Księstwo było bardziej białoruskie niż litewskie: białoruska była nie tylko większość obszaru i ludności, ale też język urzędowy. Wspólnym problemem tych narodów była również utrata warstwy magnackiej, a częściowo i szlacheckiej, na rzecz Polski.

Organizatorem spotkania był Instytut Nauk Społecznych Akademii we Lwowie (prof. Isajewycz), współorganizatorem polski historyk prof. Jerzy Kłoczowski z KUL-u. Najciekawsze może dyskusje toczyły się na temat szans stworzenia czy odtworzenia społeczeństwa obywatelskiego w tych czterech krajach (najtrudniejsza sytuacja jest zdaje się na Białorusi). Ogólne ramy dały dwa referaty: prof. Kłoczowskiego, który wywodzi społeczeństwo obywatelskie w tej części Europy ze średniowiecznych samorządów miejskich i terytorialnych, które z Zachodu przez Polskę przeszły dalej, oraz Ireny Lasoty i Jakuba Karpińskiego poświęcony szansom społeczeństwa obywatelskiego we wszystkich byłych „demokracjach ludowych”.

Tematem drugiej konferencji, której współorganizatorem był również prof. Kłoczowski, organizatorami zaś m.in. prof. W. Serczyk z Białegostoku, znany pisarz i historyk Iwan Dziuba z Kijowa oraz znowu prof. Isajewycz, było wspólne historyczne dziedzictwo Ukrainy i Polski w współczesnej świadomości. Jeden z ważniejszych dla nas referatów wygłosił prof. Daszkewycz ze Lwowa, ukazując stosunki polsko-ukraińskie na tle typologii upadku imperiów: model brytyjski (minimum strat i przelewu krwi) przeciw portugalskiemu (maximum przelewu krwi i utrata wszystkiego). Odpowiedzialni za przelew krwi są mianowicie ci, którzy podbili, nie ci, którzy przeciw podbojowi powstają. Upadek „imperium” polskiego (1795-1939) należy raczej do typu portugalskiego. Tekst jest ważny i warto by zaznajomić z nim czytelnika polskiego.

Rozpoczął konferencję prof. Serczyk wykładem „Polska-Ukraina, dziesięć wieków niezrozumienia”. Tytuł taki był sam w sobie programem: na szczęście wyrażając nadzieję, że przyszłość będzie lepsza, referent osłabił nieco ten pesymistyczny wydźwięk. Koreferat prof. Isajewyca był bardziej optymistyczny: we wspólnej przeszłości jest też wiele pozytywnego. Już sam fakt, że Ukraińiec mówił o pozytywnych stronach, zdaje się być dobrym znakiem na przyszłość.

Dobrych znaków było więcej: wielu Ukraińców mówiło w dyskusji po polsku (z ukraińszczyzną Polaków jest gorzej), a w sekcji poświęconej społeczeństwu obywatelskiemu dyskusję rozpoczął i prowadził po polsku sam przewodniczący, prof. Jarosław Pełenśkyj z Uniwersytetu w Philadelphii, polszczyzną, której pozazdrościć by mógł niejedyn wychowanek Polski Ludowej. Po polsku też z kolei z akcentem litewskim przedstawił wyniki obrad swej sekcji prof. Juozas Tumelis (obecny przewodniczący Sajudisu).

Na zakończenie pierwszej konferencji wystąpił czterdziestoletni może muzykant, ubrany w białe spodnie i wyszywaną koszulę, jakie noszą od święta tamtejsi chłopcy ukraińscy. Powiedziano nam, że sam się zgłosił, by nam coś zagrać (przyznam, że pomny różnych

„spontanicznych” występów nie bardzo w to wierzyłem). Odegrał naprzód i odśpiewał ukraińską pieśń-modlitwę za Ukrainę, a potem — jak powiedział — pieśń polską. Była nią „Pójdźmy wszyscy do stajenki”. Gdy skończył, podszedłem i zapytałem, skąd się jej nauczył. Odpowiedział, że tę kolędę śpiewała matka, kiedy był mały. „Widzi pan — powiedziałem — nie tylko sprawił pan nam przyjemność, ale uczynił pan coś dla pamięci mamy”. Muzykant wyjął chustkę i zaczął ocierać łzy.

Takich spotkań było sporo. Była też msza w intencji pojednania obu narodów w (niedawno zwróconej) katedrze rzymskokatolickiej, czyli jak tam mówią polskiej. Na wieczornym bankiecie mer (tak się teraz nazywa) miasta witając polskich uczestników oświadczył, że w Kamieńcu Podolskim każdy kamień mówi po ukraińsku i po polsku.

Choć kilka słów trzeba poświęcić Kamieńcowi. Jechałem tam wiedząc o nim tylko tyle, co pamiętałem niejasno z „Pana Wołodyjowskiego”. Wyobrażałem sobie, że zobaczę ruiny zamku, bram cztery ułamki, kościołów parę i gdzieś tam domki. Jest to jednak jedno z bardziej niezwykłych miast, jakie dane mi było zobaczyć. Ogromna forteca, całkiem dobrze utrzymana, jest zabytkiem na skalę europejską; samo miasto utrzymane gorzej, katedrę zaczynają dopiero odnawiać, obok niej kolumna z błyszczącym złotem posągami Matki Boskiej na półksiężycu — podchodząc bliżej widzi się, że to dawny minaret (wewnątrz schody dla muezzina), piękny kościół dominikański (też w remoncie), kościół trynitarzy, szereg innych kościołów, dzielnica ormiańska z oryginalnym kościołem z XIV w., olbrzymia dzwonnica nieistniejącej już katedry ormiańskiej, ratusz polski — w mieście były trzy nacje, polska, ukraińska („ruska”) i ormiańska — zabytkowe domy mieszczkańskie z XVI i XVII w., świadczące o dawnym dostatku. Całość wraz z niesamowitym wprost jarem o ścianach z białych wapiennych skał, głęboko na dnie płynie Smotrycz, z basztami zamykającymi z obu stron wejście do jaru, mogłaby — gdyby udało się znaleźć miliony, których do jego ratowania potrzeba — stanąć godnie obok takich miast jak Carcassonne czy Heidelberg.

Przewodniczka oprowadzająca nas po fortecy zatrzymała się w pewnej chwili i dramatycznym głosem oświadczyła (po ukraińsku): „Tutaj jest wejście do lochów — to tędy schodził pan Wołodyjowski, za nim idzie mój Ketling. Jeszcze chwila. I huk straszliwy targnął powietrzem...”

Stojący obok mnie prof. Samsonowicz szepnął: „Największy triumf Sienkiewicza”.

Historia więc nie tylko dzieli. W księgarni udało mi się kupić afisz z wizerunkiem hetmana Konaszewicza-Sahajdacznego, wydany z okazji uroczystości 370-lecia „wspólnego zwycięstwa wojsk kozackich i polskich pod Chocimiem”. Oby to był dobry omen. I obyśmy w przyszłości obchodzili razem dalsze wspólne zwycięstwa, tym razem już pokojowe.

Kronika kulturalna

Po latach wśród sępów

Czy prawdziwe stosunki dobrosąsiedzkie między Polakami a Niemcami są naprawdę możliwe? Czy wciąż nie za dużo złego działo się i dzieje, tyle że teraz inaczej? Nie na górze, ale na dole, wśród nas, zwykłych ludzi zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. A przecież to od stosunku do siebie nas samych — zarówno Niemców i Polaków tutaj, jak Polaków i Niemców po drugiej stronie Odry — zależy powodzenie przyjaznej, po latach, polityki między naszymi krajami? Kiedy słucham próśb, pytań, a czasem i pretensji Polaków mieszkających w Niemczech do prezydenta Wałęsy, przypominam sobie zdarzenia z minionych lat, których byłam świadkiem.

Pytania, czy pretensje przeważnie dotyczyły traktowania przez władze niemieckie i także polskie Polaków, którzy mieszkają w RFN. Za mało praw w Niemczech, odebranie części praw w Polsce. Za wszelką cenę obecni pragnęli skorygowania historii z przeszłości. Takiej chociażby jak ta, gdy otrzymanie azylu politycznego przez męża uzależniano od przyjęcia obywatelstwa niemieckiego przez żonę. Wiele kobiet, które kiedyś pod presją zmieniły obywatelstwo, dziś chętnie wróciłoby do dawnego. Żądano od Wałęsy domagania się zwiększenia praw dla nas i zmuszenia władz niemieckich do interwencji w sprawie przesładowania polskiej mniejszości w Berlinie (przykład — zlikwidowanie niedawno polskiej audycji w radio berlińskim).

Padły twierdzenia, że mniejszość niemiecka w Polsce ma się lepiej niż polska w Niemczech itp. Ujawniały się kompleksy. Przypominam sobie lato w Polsce, gdy może dziesięć lat po wojnie, w warszawskich Łazienkach turysta niemiecki poczęstował mnie cukierkami. Pachniały ładnie, wyglądały apetycznie, w domu nie codziennie dostawaliśmy słodczyce. Wzięłam. Ale po paru minutach, kiedy nikt nie widział, po stoczeniu ciężkiej walki wewnętrznej, wyrzuciłam cukierki w błoto i przydeptałam

nogą (żeby nie kusiło mnie wrócić i wziąć z powrotem). Nie, nie będę jadła słodyczy od Niemca!

A potem pierwszy raz znalazłam się w Niemczech. Było to wiosną 1979 roku we Frankfurcie nad Menem. Polka, urodzona kilka lat po wojnie, słyszcząca w domu o okropnościach wojny (prawie cała rodzina zginęła), latami karmiona propagandą antyniemiecką przez komunistyczny rząd, spotykając na ulicach lewicowych Niemców, nie mogłam opędzić się od natrętnego pytania: co też robili w czasie wojny? Dużo czasu musiało upłynąć, zanim przestałam tak myśleć. W przewyciężeniu resentymentów nie pomagał charakter kontroli, której podlegaliśmy dość często w dawnej NRD, gdy udawaliśmy się z teatrem na festiwale, czy występy. Kontrole te budzą we mnie do dziś odrazę i nasuwają myśl o areszcie. Zresztą polskie nie były lepsze.

A potem te wszystkie poranki (to zawsze musiało być bardzo wcześnie rano, a przy tym zawsze było zimno, wiał wiatr lub padał deszcz), kiedy drżąc z zimna i emocji zgłaszałam się na policji niemieckiej w sprawie przedłużenia pobytu. W socjalistycznej Polsce petent w każdym biurze był z zasady potencjalnym wrogiem urzędnika, a urzędnik panem sytuacji (chyba, że petent miał grubą gotówkę), i choć w kapitalistycznym Berlinie sytuacja była inna, to w wydziale dla obcokrajowców różnicy nie dawało się odczuć. Tyle, że urzędnik był Niemcem, a o przekupstwo trudniej.

Nigdy ci urzędnicy nie byli dla mnie mili, ale najgorszego przyjęcia doznałam od urzędniczki policji dla obcokrajowców, która mówiła równie płynnie po niemiecku jak po polsku. Pierwszy raz w życiu poczułam się jak ostatni śmieć. A przecież nie nie ukradłam, papiery miałam w porządku, nie byłam też pijana, co niestety Polakom zdarzało się często. Przeciwnie, byłam aktorką ze znanego na świecie teatru, miałam zawsze dosyć pieniędzy na życie i nigdy nie prosiłam o pomoc socjalną. W tym wypadku nie znaczyło to nic. Byłam po prostu obcokrajowcem i to gorszej kategorii, bo z Polski. Takie poczucie towarzyszyło mi zawsze na policji w Berlinie.

Podobnie było w Polskiej Misji Wojskowej. Tu patrzono na mnie jak na przestępcę, dlatego, że zostałam na Zachodzie, wyszłam za mąż za Niemca. Co prawda, jako znana aktorka miałam pewne przywileje. Może dlatego ówczesny *attaché* kulturalny pomagał mi (poza kolejnością zresztą) zdobyć potrzebne papiery do ślubu. Ale i on zadał pytanie, czy mam sumienie wychodząc za Niemca. Podobnie pytano mnie także w Polsce.

Nie zapomnę też obaw mojej mamy (osoby starszej, ale wykształconej) — jak powiedziec sąsiadom, że córka wychodzi za Niemca? (Najbliższa sąsiadka mamy spędziła cztery lata w Oświęcimiu). I nie ma to nic wspólnego z faktem, że moja mama bardzo lubi swego niemieckiego zięcia.

A z drugiej strony, moja znajoma Polka, która w tym roku wyszła za Niemca, już dwa miesiące czeka na prawo pobytu w RFN. Zabrano jej paszport, nie dając nic w zamian, co się równa uwięzieniu w Niemczech. Jeszcze inna poszła na policję niemiecką by zgłosić swój rychły ślub z Niemcem, legitymując się wszystkimi potrzebnymi do tego celu papierami i zaświadczeniami. Nie miała jednak prawa pobytu, została więc zatrzymana w areszcie itp.

Kiedy dziennikarz popularnej do dziś gazety berlińskiej w 1981 roku cały tydzień zabiegał o wywiad ze mną, byłam wtedy gościem w Berlinie. Potem ten sam dziennikarz, który jest również krytykiem teatralnym, przez 10 lat mego pobytu w Berlinie ani razu nie zainteresował się żadnym moim przedstawieniem. Początkowo myślałam, że może nie był zadowolony z tamtego wywiadu, nie chciałam dużo mówić o polityce, czasy były niepewne, chciałam wrócić do kraju, mam tam rodzinę. Potem zrozumiałam jednak co się stało: odkąd jestem mieszkanką Berlina, przestałam być atrakcyjnym gościem ze sławnego teatru. Jestem już tylko obcokrajowcem, który mieszka na stałe w Niemczech.

Czyż może to dziwić, gdy wziąć pod uwagę jak często telewizja i prasa niemiecka rozpisują się o polskich brudnych i pijanych bazarach w Berlinie, a nikt nigdy nie zrobił audycji, ani nie napisał, ile to wspaniałych przedsięwzięć kulturalnych mają na swym koncie polscy artyści w tym mieście, i przeważnie finansują to z własnych kieszeni. Wraz z mężem zrobiłam do tej pory 9 własnych produkcji teatralnych, a tylko jedna z nich była finansowana przez senat. Także dzięki naszej pracy i za nasze pieniądze powstały w Berlinie dwie piękne sale teatralne — dziś *Eiszeit Kino* i *Theater am Ufer*.

Ale i w Polsce jest podobnie. Przyjaciele z Wrocławia chcieli zorganizować mnie i moim studentom gościnne występy w swoim mieście. Zwrócili się o pomoc do *Impartu*. Dyrektorowi *Impartu* bardzo się ten pomysł spodobał. Mieliśmy dać trzy spektakle i otrzymać po 1,5 mln zł na głowę z pokryciem kosztów hotelu i podróży. Było to godziwą zapłatą, co dla ludzi samodzielnie finansujących swoje przedstawienia teatralne jest rzeczą ważną. Wszystko wyglądało wspaniale, dopóki tydzień przed przyjazdem nie zostaliśmy powiadomieni, że damy tylko jeden spektakl. Przyczyny nie podano. Przez sentyment dla Wrocławia postanowiłam jednak pojechać.

Na miejscu okazało się, że nie zrobiono żadnej reklamy, a w żadnej gazecie w rubryce „teatr” nie było ani słowa o naszym występie. Zresztą tego wieczora w mieście, gdzie mieszka 600.000 mieszkańców, grał tylko jeden teatr! Nie było też plakatów, a program w języku polskim (specjalnie tłumaczony i

przygotowany) nie został w ogóle wydrukowany, choć *Impart* zapłacił za tłumaczenie. Na dodatek państwowa telewizja wrocławska, pomimo że dostała materiały reklamowe, w ogóle ich nie wykorzystwała. Okazało się zresztą, że *Impart* tydzień wcześniej wstrzymał przed sprzedaż biletów informując, że odwołaliśmy przyjazd. Widocznie na to liczone. Pomimo to przyszło ponad 300 osób. Widać że nasz występ okazał się na tyle ważnym wydarzeniem, że zrobiono wokół nas trochę reklamy. Prawdziwego szoku doznaliśmy jednak w trakcie spektaklu. Spektakl „Wśród sępów” oparty jest na tekstach i piosenkach Brechta. Zabawna inscenizacja, która powstała z inicjatywy moich uczniów, a jest dziełem mojego męża, niemieckiego reżysera.

„Wśród sępów” mówi o człowieku w dzisiejszym świecie, o jego problemach. Po brechtowsku, czyli czasem okrutnie, czasem ławo, czasem prześmiewczo. Mówi o miłości i przyjaźni między ludźmi, a nade wszystko o ich braku.

Nie jest to polityczny spektakl w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale jak każda forma artystyczna odreagowania problemów dnia dzisiejszego zahacza o politykę. W Niemczech gramy go przy pełnych salach od pół roku, a co dla nas najważniejsze, publiczność zostaje po spektaklu i chce z nami rozmawiać. Najciekawsze są wyjazdy w teren i spotkania z publicznością w małych miastach Niemiec (obiecano nam to też we Wrocławiu, na co bardzo cieszyliśmy się, bo jest to przecież część tradycji „Reduty” Osterwy). Okazało się inaczej. Atmosfera we Wrocławiu była jak w „Karstadzie”. Publiczność wchodziła na salę, wychodziła, rozmawiała głośno, jadła szeleszcząc papierami, dwóch technicznych w trakcie spektaklu stało na balkonie i rozmawiali głośno pałac papierosy! W trakcie przerwy słyszało się głosy: „sprzedali się Polacy Niemcom, grają po niemiecku”, choć dwójka grających w spektaklu Polaków, aktor z Wrocławia i ja, część tekstów (we własnym zresztą tłumaczeniu) mówiła po polsku. A jedną zwrotkę piosenki finałowej moi studenci, w pocie czoła, nauczyli się śpiewać po polsku. Wiem, że wielu aktorów polskich gra obecnie po francusku, włosku i angielsku (sama do nich należę) i nikt im tego nigdy nie wyrzucił; raczej publiczność polska była z nich dotąd dumna. Po spektaklu, prócz mego syna chrzestnego z Wrocławia i jego ojca (były współpracownik Grotowskiego), nie został nikt. Wstydziałam się potwornie za rodaków. Nie miałam odwagi spojrzeć w oczy moim uczniom — młodym ludziom pełnych dobrych chęci, zdolnym, pracowitym. (Oni, żeby opłacić studia, muszą ciężko pracować, najczęściej sprzątają biura, kina, hotele). To tacy, jak oni, mają budować dobrosąsiedzkie stosunki między naszymi państwami w najbliższej przyszłości. Czy dano im jednak taką szansę we Wrocławiu?

Rozmawialiśmy później o spektaklu. Padały zdania: „Tak, w porządku, mówicie, że nie ma szans na miłość, przyjaźń, ludzkie bycie między sobą, że pieniądź rządzi światem, to wszystko prawda, jest szaro i smutno, ale mnie jest to obojętne”. Wrocławski widz na pytanie, kiedy był ostatnio w teatrze, nie mógł sobie przypomnieć. Potem okazało się, że w ostatnim dziesięcioleciu nie był w ogóle. Wtedy moi uczniowie przestali zadawać pytania.

Gdzie podziła się wspaniała polska widownia, kiedy to prawie co tydzień można było spotkać w teatrze znajome twarze? Ktoś powie, że drożyzna, że nie starcza na bilety. To prawda, ale... pamiętam jak będąc uczennicą szkoły podstawowej zamalowywałam dziury w butach „wilbrą” i biegłam do teatru, modląc się, by nie padał deszcz. A moja mama, żeby kupić bilety, brała dyżury nocne w szpitalu.

Podobnie było na ulicach Wrocławia. Zajechaliśmy kiedyś niechący drogę autobusowi MZK. Polski kierowca, patrząc na niemiecką rejestrację i uśmiechając się ironicznie, usiłował nas potrącić i parł do przodu ze stoickim spokojem. „A co tam, autobus nie mój, a ci kapitaliści i tak mają dosyć pieniędzy”. Czytałam te myśli w oczach młodego człowieka, gdy w panice usiłowaliśmy się cofać.

Nie wspomnę już „kwiecistych wiązanek” posyłanych pod adresem moich uczniów w hotelu. Wiele nie rozumieli, ale jedno słowo „kurwa” znane jest dzisiaj na całym świecie. Wiało atmosferą poczucia skolonizowania przez Niemcy.

Odwiedziliśmy też dawną siedzibę Teatru Laboratorium. Położone nad jeziorkiem, w lasach, kiedyś piękne, dziś opuszczone i zrujnowane, budynki z powybijanymi szybami. Dla mnie świętość — miejsce wielu lat zmagania z samą sobą. Moje „dzieci” (bardzo dumne z tego, że chodzą do mojej szkoły) patrzyły na to miejsce z podziwem, szacunkiem, ale i zdziwieniem. Czemu to stoi puste, przecież nas jest tak dużo, mamy tyle potrzeb, pracujemy metodą z tego gniazda, a tak mało mamy miejsca u nas w Berlinie, czemu nie pozwolą tobie tu pracować, czemu nie dadzą ci tego, przecież nikt inny z aktorów od Grotowskiego prócz ciebie nie kontynuuje tej drogi w teatrze? Milczałam.

Sytuację uratowała kolacja w gospodarstwie zaprzyjaźnionych z Teatrem Laboratorium chłopów, małżeństwa Pikińskich. Dopiero tam wróciła dawna polska gościnność i atmosfera otwartości, przyjaźni i ciepła, o której opowiadałam tyle moim uczniom przed ich pierwszym przyjazdem do Polski.

Mamy jeszcze zaproszenia na występy do innych miast Polski. Jeżeli zdecydujemy się na nie, to będzie zasługą tylko Pikińskich. Ale pierwszych wrażeń po wizycie w kraju, po którym

moi studenci tyle oczekiwali, już nikt nie zdoła zatrzeć. Wielka szkoda.

Po doznany szoku i powrocie do Berlina odmiennie widzę fakty, które wcześniej interpretowałam inaczej. Od kilku lat na przykład istnieje we Wrocławiu Ośrodek Badań Twórczości Jerzego Grotowskiego i Poszukiwań Teatralno-Naukowych. Jestem jedyną z trójki żyjących polskich aktorów zawodowych od Grotowskiego, która od lat posiada własne studio w Berlinie, gdzie na kontynuacji tradycji Laboratorium, która jest fundamentem naszej pracy, oparte są nasze działania artystyczne. Zdawałoby się rzeczą logiczną, że polski ośrodek powinien zainteresować się naszymi badaniami jako pierwszy. Okazuje się, że nic z tego.

W 1989 roku, w trzydziestolecie powstania teatru Grotowskiego, zorganizowaliśmy z mężem wykład i pokaz filmów z dawnego Laboratorium w berlińskiej HDK (Wyższa Szkoła Sztuk — największa w Niemczech Zachodnich). Uczelnia wysygnowała na ten cel sporą sumę. Zaprosiliśmy wtedy do udziału w uroczystościach ośrodek z Wrocławia, prosząc go o pożyczanie kilku filmów. Ośrodek odmówił. Paradoks całej sytuacji polegał dodatkowo na tym, że wszystkie filmy o laboratorium posiadam w moim archiwum. Chodziło jedynie o ukłon w stronę nowo otwartej instytucji, jak również o danie możliwości komuś z Polski zarobienia godziwej sumy w tych trudnych czasach. Ośrodek otwarcie i świadomie oraz konsekwentnie ignoruje do dziś moje poczynania na terenie Niemiec. Początkowo myślałam — zawiść zawodowa, a dziś pytam siebie: czy to nie dlatego, że jestem w Niemczech i pracuję z Niemcami?

Przed laty Ośrodek Kultury Polskiej przy Alexanderplatz w Berlinie organizował sympozja o Grotowskim, na które oficjalnie zapraszał teoretyków z Polski, a mnie tylko zawiadamał o fakcie, myślałam że chodzi o gażę — ja i tak tu mieszkam, a Polacy z Polski mają okazję by trochę zarobić. Ale kiedy obecnie przed wieloma tygodniami zgłosiłam propozycję zrobienia w ośrodku sympozjum pt. „Grotowski a Stanisławski” z udziałem dr. Tyszki z Poznania, mego męża i moich niemieckich studentów — zupełnie za darmo — to pomimo licznych telefonów i listów do dziś dnia nie dostałam żadnej odpowiedzi. Czy gdybym pracowała z polskimi aktorami byłabym lepiej potraktowana?

Odwiedzali mnie trzykrotnie w Berlinie dziennikarze popularnego miesięcznika *Teatr* z propozycją napisania felietonu o szkole. Sprawa kończyła się za każdym razem na zrobieniu wywiadu i zgromadzeniu materiałów z jednej strony, a załatwieniu noclegu za darmo i pracy na czarno z drugiej, co czyniło zresztą dla bardzo wielu Polaków, ile razy mam po temu okazję. I znów nasuwa się pytanie — takie jak wyżej.

Jeżeli my, Polacy z Niemiec, kopani jesteśmy tu przez Niemców, myślimy sobie, że taki już nasz los obcokrajowców. Co jednak myśleć, jak kopia nas Polacy z kraju. A może rzeczywiście, jak twierdzi mój rozsądny mąż-Niemiec, ani zlikwidowanie audycji po polsku w radio berlińskim, ani ignorowanie przez oba ośrodki polskie mojego studia niemieckiego nie jest żadnym objawem politycznych tendencji, a tylko głupotą ludzi bezpośrednio ze sprawą związanych? Nie wiem.

W drodze powrotnej do Berlina spytała mnie moja uczennica: „Teresa, o czym myślisz?”. — „Zastanawiam się, gdzie jest moja ojczyzna”.

Sala Ośrodka Kultury Polskiej w Berlinie po wyjściu prezydenta Wałęsy, który pospieszył na następne spotkanie z przedstawicielami rządu, wrzała demokratyczną kłótnią.

Berlin, 14 kwietnia 1992

Teresa NAWROT

Teresa Nawrot, aktorka Teatru Grotowskiego i założycielka Theater Studio Nawrot w Berlinie. Jej Reduta-Theaterwerkstatt jest szkołą, która ma ambicję udowodnienia idei Jana Kreczmara, zasłyszanej od Ignacego Gogolewskiego, że „teatr to wyższa szkoła wiedzy o człowieku”.

Kazimierskie „Shalom”

III Festiwal Kultury Żydowskiej, który odbywał się w Krakowie w dniach 6-14 czerwca, w ramach Europejskiego Miesiąca Kultury, był propozycją tyleż bogatą, co niejednorodną. W porównaniu z poprzednim festiwalem sprzed dwóch lat publiczność miała okazję obejrzeć i wysłuchać o wiele większej ilości filmów, spektakli teatralnych i koncertów, choć w praktyce nikt nie był w stanie uczestniczyć we wszystkich wydarzeniach, jako że pokrywały się one w czasie, a poza tym chłonność ludzka ma swoje granice. Festiwal rozpoczął się przeglądem filmowym, podczas którego zaprezentowano, bardzo nielicznej zresztą widowni, zarówno filmy polskie o tematyce żydowskiej, jak i produkcję światową, a ponadto filmy związane z twórczością Brunona Schulza. Mogliśmy, między innymi, obejrzeć film Paula Mazurskiego oparty na powieści Isaaca Bashevisa Singera „Wrogowie, opowieść o miłości”, który, choć w sumie niezły, nie oddawał w pełni singerowskiego nastroju i komplikacji emocjonalnych.

Za znakomity film uważam „Tragarza puchu” Janusza Kijowskiego, który zaprezentowano wcześniej w Cannes, gdzie zmieścił się zaledwie w piętnastce wyróżnionych filmów. Zarówno wspaniała gra aktorów (Hanna Schygulla, Lambert Wilson i Julie Delpy) jak i znakomita analiza wzajemnych stosunków pomiędzy trojgiem ludzi znajdujących się w niezwykle trudnej sytuacji i uwikłanych w skomplikowane układy emocjonalne składają się na to, że film wywiera wielkie wrażenie i na długo pozostaje w pamięci.

Innym ważkim filmem okazał się „Pogrzeb kartofla” Jana Jakuba Kolskiego, będący jego debiutem fabularnym, zrealizowanym w roku 1990 i, jak dotąd, nieobecnym na polskich ekranach, co stało się w ostatnich latach fatalną tradycją polityki dystrybucyjnej przemysłu filmowego. Problem starego rymarza Mateusza (Franciszek Pieczka), powracającego po wojnie z Niemiec do rodzinnej wioski i spotykającego się z narastającą wrogością otoczenia, które usiłując wytłumaczyć powody swojej agresji nazywa Mateusza Żydem, czyli obcym, jest ponurym zwierciadłem ludzkiej pazerności (walka o ziemię w okresie reformy rolnej) i kompleksów wynikających z poczucia winy (odpowiedzialność za śmierć syna Mateusza). Należy tu również wspomnieć o wspaniałej muzyce Zygmunta Koniecznego, która potęguje jeszcze ten nastrój.

Z filmów dokumentalnych warto odnotować „Diasporę” Leopolda R. Nowaka, ukazującą historię krakowskiego Kazimierza od czasów jego powstania za panowania króla Kazimierza Wielkiego, poprzez okresy najnowszej świetności, kiedy to żydowskie miasto było kolebką wielu sławnych w Europie rodów, aż po zagładę, czyli totalne unicestwienie żydowskiej społeczności zamieszkującej Kazimierz.

W serii filmów poświęconych Bruno Schulzowi przypomniano pokazywaną już dwa lata temu „Ulicę krokodyli” reżyserii braci Quay, zrealizowaną w roku 1986. Film ten uważany jest za najwybitniejsze osiągnięcie jego autorów. Oparty jest na jednym z rozdziałów „Sklepów cynamonowych”.

Na Uniwersytecie Jagiellońskim odbyła się trzydniowa sesja zatytułowana „Bruno Schulz w stulecie urodzin i 50-lecie śmierci”.

Część teatralna festiwalu była, w moim odczuciu, najślabsza. Cztery spektakle inspirowane prozą Schulza — „Sklepy cynamonowe” Teatru Kreatur z Berlina, w reżyserii, adaptacji i z kostiumami Andrzeja Worona, „Martwy sezon w Drohobyczu” Teatru Insomnie ASBL z Brukseli, reżyseria i adaptacja Szczepana Szczękno, „Rudymenty” Teatru Mandala z Krakowa, opracowanie Andrzeja Sadowskiego i „Samotność” Państwowego Teatru Lalek „Banialuka” z Bielska-Białej, w reżyserii i adaptacji François Lazaro — były dowodem na to, że proza Schulza nie poddaje się adaptacjom scenicznym. Poza tym irytuje mnie łatwość, z jaką niektórzy reżyserzy pożyczają sobie, wedle własnego widzimisię, pomysły od Tadeusza Kantora, który, niestety, nie może już przeciwko temu zaprotestować.

Najbardziej oczekiwanym przez publiczność spektaklem było „Życie jest cudem” Janusza Wiśniewskiego. Sala Kameralna Teatru Starego pękała dosłownie w szwach, wśród publiczności byli reżyserzy, aktorzy, elita intelektualna. Znając dawne spektakle Wiśniewskiego z lat osiemdziesiątych, byłam nastawiona sceptycznie, bo reżyser ten jest najjaskrawszym przykładem robienia plagiatu z Kantora. *Hélas!*, mój sceptycyzm okazał się uzasadniony, bo „Życie jest cudem” to żenująca kompilacja asocjacji i zapożyczeń plastycznych i tekstowych, a to, że „wyzwalanie się” (jak twierdzą niektórzy) Wiśniewskiego spod wpływu Kantora polega na kopiowaniu także innych reżyserów, nie jest w moim przekonaniu wielką zasługą.

Pomówmy o trzecim elemencie festiwalu, czyli o muzyce, jako że rekompensowała ona wszelkie inne niedostatki.

Część muzyczną festiwalu rozpoczął chór kantorów z wielkiej synagogi moskiewskiej. Znakomite wykonanie pieśni synagogałnych oraz wirtuozeria solistów, Władimira Sztermana i Borysa Finkielsztajna, zyskały aprobatę licznie zgromadzonej publiczności. Wśród innych zespołów, dobranych przez Joela Rubina, znalazły się świetne grupy klezmerskie, takie jak *The Klezmatics* z Davidem Krakauerem (który rozpoczął występ mówiąc: Witam was w moim mieście) i *Jeff Warschauer Klezmer Ensemble* ze znakomitym szefem zespołu, grającym na mandolinie i gitarze, oraz rewelacyjną klarncistką Ilene Stahl. Oba zespoły grają tradycyjną muzykę klezmerską z Europy Środkowej i Wschodniej, wzbogaconą o elementy jazzu i rocka. Ich członkowie to ludzie młodzi, przeważnie absolwenci konserwatoriów. Mielśmy też okazję wysłuchać Shury Lipovsky'iej, która gościła już w Krakowie na poprzednim festiwalu i która pięknie śpiewa w jidysz, po hebrajsku i w ladino.

Wydarzeniem niezwykłym był koncert Shlomo Bara i jego grupy Habrera Hativit z Izraela. Szef zespołu, urodzony w Maroku, mówi, że muzyka jest dla niego formą modlitwy. Jest wirtuozem gry na bębnach i perkusji. Zespół wykonuje tradycyjną muzykę żydowską, w której słychać wyraźnie wpływy arabskie, hinduskie i hiszpańskie, podłoże tradycji sefardyjskiej.

Finałowy koncert plenerowy wszystkich grup, odbywający się na ulicy Szerokiej na Kazimierzu, wśród trzech synagog, w niezwykle scenerii, z chagallowską scenografią, zgromadził wiele osób. Publiczność zmuszała artystów do wielokrotnych bisów, przed estradą młodzi ludzie tańczyli, wokół zapadał zmierzch, potem noc... Solistka zespołu *The Klezmatics* powiedziała, że dedykują ten koncert wszystkim dawnym mieszkańcom Kazimierza, którzy nie mogą go wysłuchać wraz z nami. Ja miałam jednak metafizyczne poczucie, że ONI tam są, że nam towarzyszą. Jak w „Pieśni o zamordowanym żydowskim narodzie” Icchaka Kacnelsona czułam, że „otaczają mnie zewsząd, słuchają Żydów miliony, miliony wymordowanych, ogromny tłum przy mnie stoi!”.

O literaturze emigracyjnej i nadmiarze krytyki

Wokół literatury emigracyjnej robi się coraz tłoczniej. Co chwilę jakiś krytyk chwyta za pióro, aby dorzucić na jej temat swoje trzy grosze, choć te „grosze” nie zawsze wzbogacają zasób naszej wiedzy o przedmiocie. Niekiedy te „wkłady” pochodzą z najbardziej niespodziewanych źródeł, jak np. w wypadku Mariana Stępnia, autora *Dalekich dróg literatury polskiej* (wyraziłem swój stosunek do tej książki na łamach *World Literature Today*, tom 65, nr 1, 1991), autora prac, o ile mnie pamięć nie myli, o tzw. polskiej literaturze „rewolucyjnej” czy „lewicowej” w Związku Sowieckim. Gdzie Rzym, gdzie Krym! Sądzę, że wyszłoby to literaturze emigracyjnej na dobre, gdyby M. Stępień pozostał przy swoich dawnych zainteresowaniach. Pisanie o literaturze „lewicowej” w Związku Sowieckim i to w okresie Polski Ludowej było rzeczą znacznie łatwiejszą, a już z pewnością nie wymagało tylu zabiegów manipulacyjnych, jak to obserwujemy w jego książce o polskim piśmiennictwie na Zachodzie. Ale nie o tym chcę pisać. Chciałbym podzielić się kilkoma dygresjami na marginesie recenzji L. Szarugi oraz A. Czerniawskiego zamieszczonych na łamach *Kultury* (nr 5 i 6 z 1992 r.) a poświęconych wydanym niedawno w kraju pracom o literaturze emigracyjnej. Chodzi o *Leksykon* J. Zielińskiego oraz *Panoramę* K. Dybciaka. Wpadł mi niedawno do ręki podręcznik Dybciaka. Jest to praca bardzo powierzchowna, pisana jak na kolanach, w pośpiechu, i zgadzam się z uwagami krytycznymi zarówno A. Czerniawskiego jak i L. Szarugi. Zastanawiam się jednak, dlaczego tak się dzieje? Skąd bierze się ten pośpiech i dlaczego?

Zauważyłem, że wielu autorów w Polsce wyróżnia się jakąś nadzwyczajną płodnością pisarską, wydają sporo książek, publikują w czasopiśmie. Pisanie przychodzi im z podejrzaną wręcz łatwością. Kiedy oni znajdują czas na czytanie, nie mówiąc już o konieczności przygotowania zajęć, bo przecież wielu z nich wyklada na uczelniach? Czy chodzi im o honoraria, czy o honory, czy też o jedno i drugie? Nie sądzę jednak, aby ten pośpiech wpływał dodatnio na poziom niektórych prac ogłaszanych drukiem i zastanawiam się, czy nie przydałaby się jakaś anglosaska samokontrola i oszczędność czy też wstrzemięźliwość w przelewaniu swych myśli na papier. Michał Głowiński, jeden z najwybitniejszych współczesnych teoretyków i krytyków w Polsce, nakreślił niedawno na łamach *Tekstów drugich* mniej więcej taki schemat kryteriów, które decydują o jakości prac, cytując: „Przedstawiciele nauk przyrodniczych utrzymują, że o poziomie prac uczonego świadczy to, czy są publikowane i przywoływane w międzynarodowych czasopiśmie o najwyższej

renomie. Kryterium to nie obejmuje oczywiście historii literatury polskiej, bo tu działa akurat sprawdzian odwrotny (zagraniczni poloniści uważają za miarę aprobaty i sukcesu opublikowanie tekstu w Polsce), obejmuje jednak w jakiejś mierze teorię literatury. Dawniej dostępne na świecie były tylko prace Romana Ingardena. W ostatnim ćwierćwieczu nikt wprawdzie mu nie dorównał, ale w renomowanych czasopiśmie i książkach zbiorowych ukazują się prace kilku polskich teoretyków literatury”. (*Teksty drugie*, nr 5/6, 1990, str. 149). To co pisze M. Głowiński w odniesieniu do autorów polskich drukujących poza granicami kraju i uzyskujących w ten sposób międzynarodowy prestiż jest słuszne i da się potwierdzić, ale już droga odwrotna (tzn. publikowanie prac, na przykład, przez polonistów zza granicy w Polsce) niekoniecznie przynosi laury, choć tak nakazywałaby logika. I w tym wypadku rację wydają się mieć przedstawiciele nauk przyrodniczych. Jako kierownik Katedry Literatury Porównawczej jednego z największych uniwersytetów kanadyjskich (University of Alberta) uczestniczyłem przez pięć lat w dorocznych posiedzeniach i pracach komitetu do spraw podwyżki płac i awansów naukowych. Co roku każdy pracownik naukowy na wydziale jest oceniany na podstawie publikacji i efektywności nauczania. Po pierwsze, patrzy się zawsze na liczbę publikacji. Z reguły podchodziło z pewną rezerwą do tych, którzy wyróżniali się nadmierną produktywnością. W takich wypadkach pytano zwykle o jakość lub poziom intelektualny publikacji, a po drugie... czy nadmierne koncentrowanie się na publikacjach naukowych nie odbiło się ujemnie na pracy dydaktycznej. Następnie zwracano uwagę na to, w jakich czasopiśmie prace były ogłaszane. Czy były to pisma o zasięgu lub autorytecie międzynarodowym czy też krajowe. Nie trzeba tłumaczyć, że czasopiśmie specjalistyczne (fachowe) publikowane w języku angielskim, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, Anglii, Kanadzie itd. uznawano z racji języka niemal automatycznie za pisma międzynarodowe, bo otwarte na cały świat. Ktokolwiek publikował w takich czasopiśmie, od razu zyskiwał jak gdyby dodatkowe uznanie. Natomiast z pewnym sceptycyzmem, a zdarzało się nawet że i z niechęcią ustosunkowywano się do prac drukowanych w krajach, w których naukowcy podlegający dorocznej ocenie specjalizowali się. Jeśli ktoś zajmujący się literaturą rosyjską ogłosił coś drukiem w czasopiśmie rosyjskim w Związku Sowieckim, niech nawet i najlepszym, to nie zawsze przynosiło to uznanie. Podaję to tylko jako przykład, bo podobnie ustosunkowywano się do tych, którzy drukowali w czasopiśmie „narodowych” (tzw. *national journals*) innych krajów. Gdy chodzi o Polskę, to chwalebny wyjątkiem była paryska *Kultura*, zawsze ciesząca się wielkim autorytetem, ale *Kultura* nie była czasopiśmie krajowym.

Piszę o tym nie po to, aby pouczać, ale po to, aby podzielić się odmiennym i pod wieloma względami pożytecznym chyba doświadczeniem, pozwalającym zrozumieć mechanizm funkcjonowania struktur organizacyjnych na uniwersytetach amerykańskich (powo-

li wywołują one także zainteresowanie w krajach Europy Zachodniej). Może w przyszłości z doświadczeń tych będą mogli skorzystać młodzi polscy naukowcy, którzy zechcą stanąć w szranki o międzynarodowe sukcesy?

Na zakończenie krótki komentarz do A. Czerniawskiego i jego zdziwienia tytułem wydanej w Kanadzie antologii poezji polskiej *Seven Polish Canadian Poets*. „Cóż za tytuł!”, woła ze zdumieniem Czerniawski. Rzeczywiście, co znaczy ten tytuł brzmiący zapewne w polskim przekładzie jeszcze dziwniej: „Siedmiu polsko-kanadyjskich poetów”? Otóż sprawa jest dosyć prosta, jeśli się zna główne założenia kanadyjskiej polityki wielokulturowości. W myśl jej zasad różnorodni twórcy Kanady uważani są za współtwórców kultury kanadyjskiej i wchodzi w skład jej wieloetnicznej mozaiki. Pisarz piszący po polsku w Kanadzie i osiadły w tym kraju na stałe może ubiegać się o różnego rodzaju stypendia twórcze na równi ze swymi kolegami piszącymi po angielsku czy po francusku (a więc w dwóch oficjalnych językach kraju), bo uważany jest za autora kanadyjskiego piszącego po polsku. Przed paroma laty zorganizowane zostało sympozjum na uniwersytecie Alberta w Edmonton na temat właśnie tzw. *literatures of lesser diffusion* (tzn. literatur węższego zasięgu), na którym niżej podpisany wygłosił referat pt. „Ethnic or National (?): Polish Literature in Canada” (całość materiałów wydana została w specjalnym tomie *Canadian Review of Comparative Literature*). W przygotowywanej wielkiej historii literatury w Kanadzie polska literatura pisana przez pisarzy mieszkających tam na stałe ma być włączona i rozpatrywana jako część składowa literatury kanadyjskiej. Analogicznie mają być traktowani inni autorzy piszący np. po ukraińsku, niemiecku, włosku, chińsku itd. Czy należy z tego powodu rozpaczać, że ktoś nam „kradnie” pisarzy? Sądzę, że nie. Polska literatura z tego powodu nie zbiednieje, jest dostatecznie bogata, aby dzielić się swym bogactwem z innymi, zwłaszcza że pisarze włączeni do obiegu kanadyjskiego i tak pozostaną częścią literatury polskiej. Widzę w tym nawet pewien zysk, bo byłby to prawdopodobnie pierwszy wypadek, kiedy literatura pisana w języku polskim zostałaby zaliczona jako część składowa dorobku kulturalnego innego kraju, a więc w jakimś stopniu przyczyniłaby się do swego szerszego upowszechnienia. Warto przypomnieć, że późniejsza twórczość B. Czaykowskiego, W. Iwaniuka, F. Śmieji czerpie niejednokrotnie inspirację z gleby kanadyjskiej, co znajduje także odzwierciedlenie w tym, że niekiedy piszą oni po angielsku (porównaj np. piękny wiersz F. Śmieji „Not A Tourist”). Mam nadzieję, że to co tu powiedziałem wyjaśnia ów „dziwny” tytuł, o którym wspomina A. Czerniawski.

I na zakończenie pewna sugestia. Dotychczas ukazała się za ledwie jedna w pełni wartościowa książka o literaturze emigracyjnej. Mam na myśli *Szkice o literaturze emigracyjnej* Marii Danilewicz Zielińskiej (1978). Czy nie należałoby zastanowić się nad zbiorową pracą poświęconą literaturze emigracyjnej z udziałem naukowców z

krajów, w których literatura ta rozwijała się po drugiej wojnie światowej? A więc z USA, Kanady, Francji, Anglii, Niemiec itd. Oczywiście potrzebny byłby jakiś ośrodek koordynacyjny. Sądzę, że taką rolę mógłby ewentualnie spełnić Instytut Badań Literackich w Warszawie. Miejmy nadzieję, że ta placówka naukowa nie ulegnie jakiejś nierozsądnej restrukturalizacji lub likwidacji w wyniku cięć budżetowych. Może realizacja takiego projektu uzyskałaby poparcie finansowe kół emigracyjnych?

O literaturze emigracyjnej pisze się dużo, ale krytycy wciąż wyrażają niezadowolenie z poziomu naukowego ogłaszanych prac i niekiedy przypomina to reakcję łańcuchową: B. Szaruga krytykuje K. Dybciaka i J. Zielińskiego, A. Czerniawski Szarugę, J. Jurkszus-Tomaszewska wytyka wiele braków książce J. Zielińskiego... Przypomina to trochę sytuację z rosyjskiej bajki ludowej o rzepce, której dziadek sam nie mógł wyciągnąć z ziemi: „Dziadek za rzepkę, babka za dziadka, wnuczka za babkę”... itd. Więc może w końcu da się tę rzepkę wyciągnąć wspólnym wysiłkiem i w całej pełni ukazać jej wielkość?

Edward MOŻEJKO

KOMUNIKAT

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM W W-WIE

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek przekazanych w lipcu i sierpniu 1992 r. Dziękujemy:

- Panu Jerzemu Giedroycowi za 45 egz. książek,
- Panu Andrzejowi Wasiakowi za 88 egz. książek/pism,
- Panu Bronisławowi Wildsteinowi za 257 egz. książek/pism,
- Panu Henrykowi Sawoniakowi za 325 egz. książek/pism,
- Pani Danieli Głowackiej za 72 egz. książek/pism,
- Panu Henrykowi Wójcikowi z Polskiego Funduszu w Kanadzie za 50 egz. książek.
- Panu Markowi Krawczykowi — Oficyna Wydawnicza PoMOST — za 117 egz. książek/pism,
- Fundacji Kultury za 3.436 egz. książek (książki przekazane przez WaiF za pośrednictwem Fundacji Kultury).

Dyrektor
Krzysztof KOPCZYŃSKI

Ci, co odeszli

Edda Werfel

Dzieciństwo i pierwsze lata młodości w Wiedniu, młodość we Lwowie i w Warszawie, podczas drugiej wojny światowej pobyt w Uzbekistanie i w Moskwie, powrót w r. 1944 do Polski, wreszcie wyjazd na stałe z Warszawy do Wiednia w r. 1969, szczególnie po to, by aresztowaną podczas wypadków marcowych młodzieńką jeszcze córkę uchronić od dalszych niespodzianek czy urazów — to kolejne odcinki życia Eddy Werfel, zmarłej 23 maja tego roku.

Związana przed wojną z ruchem komunistycznym, „wierząca komunistka” jeszcze w pierwszych latach PRL, przeżywała proces odchodzenia od swych idei stopniowo, a zarazem burzliwie. Nic z bezszmerowego przystosowania się do „etapów”. Od pierwszych odruchów sceptycyzmu, dotyczących najprzód tylko fragmentów całości, potem od rozczarowania do rozczarowania, od wstrząsu do wstrząsu i — nie waham się użyć tego słowa — rozpacz do rozpacz, dotarła tą niewygodną drogą do swojej ostatniej nadziei na naprawę systemu, do polskiego Października. Gdy jednak zachwiał się Październik, co w zakresie ograniczeń wolności słowa zapowiadało się już w listopadzie tego samego 1956-go roku, zaczęła wydierać z siebie kolejno wszelkie złudzenia, a w końcu wszelkie uczucia identyfikacyjne. Definitywnie odrzuciła komunizm, negując jakiegokolwiek warianty jego realizacji.

W okresie przed- i popaździernikowym Edda Werfel reprezentowała zatem ewolucję pewnych odłamów określonego środowiska, a w tych ramach przynajmniej dwóch jego pokoleń. Reprezentowała ją, jako świetna publicystka, z wielkim talentem i temperamentem, zaczeplenie i nieustępliwie, stając się jedną z czołowych postaci tego nurtu w prasie polskiej. Pewne urywki jej publikacji czy jej wystąpienia w częstych wówczas zebraniach dziennikarzy pozostały we wspomnieniach do dzisiaj. Kiedy np. obelżywą odpowiedź w *Neues Deutschland* pióra znanego działacza

SED na jej esej o ówczesnych polskich przemianach (zamieszczony, jeśli dobrze pamiętam, w *Przeglądzie Kulturalnym*) skwitowała krótkim listem do swej redakcji, zakończonym słowami; „Wolę być łzona za życia niż rehabilitowana po śmierci”. Albo kiedy zapytana na zebraniu dziennikarzy przez któregoś ze stróżów ideologii, czy naprawdę nie widzi żadnych cech negatywnych na Zachodzie, odcięła się z miejsca: „Oczywiście widzę, ale nie napiszę więcej jednego krytycznego słowa o Zachodzie, jeśli nie wolno mi będzie pisać prawdziwego o Wschodzie”. Jej wysiłki uprawiania obiektywnego dziennikarstwa musiały wcześniej czy później spalić na panewce. Skończyło się na zakazie druku.

Ale i dawniej, w okresie wiary, nie ogarniając jeszcze wtedy rozmiaru krzywd, wyrządzanych przez nową władzę ogółowi społeczeństwa, była naskórkowo uczulona na krzywdy jednostkowe. Atakowanych lub zagrożonych ludzi broniła, jeśli się dało, piórem, a w innych wypadkach, korzystając ze swych kontaktów (później dopiero zerwanych) w kręgach władzy, szła od drzwi do drzwi, wyklócała się miesiącami, nie pozwalając się spławić, o niesprawiedliwości, szykany, dyskwalifikacje i dyskryminacje, popełniane w stosunku do konkretnych osób. Kto nie znał jej bliżej, nie przypuszczał nawet, ile się kryło współczującego zaangażowania w sprawy i losy poszczególnego człowieka pod wybuchową i szorstką czasem (poczytywaną jej zresztą przez niektórych za arogancję) formą jej wypowiedzi. W swoich przyjaźniach dochowywała serdecznej i czynnej wierności tak uczestnikom Armii Krajowej, jak nieposłusznym czy niewygodnym dla władzy komunistom, a więc obu kategoriom więźniów politycznych z lat 40-tych i początku 50-tych. W gorzko-żartobliwym określeniu Polski jako „najbardziej znośnego baraku w obozie” tkwiła część i jej zasługi.

Równocześnie z działalnością publicystyczną Edda Werfel, praktycznie dwujęzyczna dzięki dzieciństwu spędzonemu w Austrii, tłumaczyła ma polski literaturę niemiecką. Zapewniło jej to niezależność materialną, gdy zabroniono jej drukować. Po osiedleniu się w Wiedniu tłumaczyła nadal, tym razem literaturę polską na niemiecki, utrzymując w ten sposób siebie i do pewnego czasu także córkę, studiującą w Anglii, a potem osiadłą tam i pracującą. Za swoje doskonałe tłumaczenia otrzymała austriacką nagrodę państwową. Równolegle współpracowała z wychodzącym w Wiedniu czasopismem *Europäische Rundschau*, poświęconym problemom Środkowej Europy. Z publicystyki własnej zrezygnowała (ku żalowi wielu przyjaciół) z powodu skomplikowanej sytuacji rodzinnej.

Ostre zakręty swego życia Edda Werfel pokonywała z sobą właściwą, prawie hardą godnością. Niczego nie upiększając, nie

przywołując okoliczności łagodzących, spierając się z innymi i szamocząc się sama z sobą, brała pełną odpowiedzialność za swój błąd pierwotny, za dawną wiarę w komunizm. Uważała ją także za grzech intelektu, i tym bardziej ją sobie wyrzucała, że miała poczucie własnej w tym względzie wartości. Zarazem jednak wpadała w furię, gdy ktokolwiek usiłował odebrać jej prawo głosu dlatego, że w przeszłości myślała inaczej. „Z tego, że kiedyś mówiłam tak — wykrzyczała kiedyś gorliwemu polemiście — nie wynika, że dziś nie wolno mi mówić nie”.

Odrzucając komunizm, nie wyrzekła się nigdy swojej przez komunizm właśnie zdradzonej motywacji osobistej, która ją kiedyś w jego stronę popchnęła — dążenia do obrony słabszych czy pokrzywdzonych warstw lub grup społecznych. Wbudowanie takiej obrony w wolnorynkowe struktury gospodarcze uważała za jeden z koniecznych warunków rozwoju nowoczesnego państwa. Śledząc dokładnie sprawy polskie, wzlot i rozpad „Solidarności”, ubolewała do końca, że to co w Europie Zachodniej funkcjonuje już od dość dawna, przy różnych układach politycznych, z mniejszą lub większą sprawnością — jest dla Polski, w obliczu trudności realnych i zawinionych, tak jeszcze dalekie.

Kamila CHYLIŃSKA

Jerzy Lerski

Dowiadujemy się, że 16 września br. zmarł nagle w San Francisco w wieku 75 lat Jerzy Lerski (pseudonim „Jur”). W czasie wojny spadochroniarz, skakał do okupowanej Polski jako specjalny wysłannik gen. Sikorskiego i Rządu RP. Po wojnie doktoryzował się na uniwersytecie Georgetown i wykładał na uniwersytetach: w Cejlonie, Pakistanie i Japonii, a ostatnio na uniwersytecie w San Francisco, gdzie był profesorem historii. Jerzy Lerski był bardzo czynnym działaczem politycznym emigracji polskiej, wydał szereg książek i opracowań z zakresu historii i zagadnień politycznych.

REDAKCJA

Książki

Gdańskie tytuły

Od zawsze jestem wielkim zwolennikiem podziałów, ale nie w formie „wojny na górze” — najbzdurniejszego sloganu, jaki od czasów „złotej wolności” został wymyślony w tym nieszczęsnym kraju — lecz w sensie mnożenia się środowisk, zwłaszcza w dziedzinie kultury. Ogromna stolica, nawet tak piękna i zwodnicza jak Paryż, wysysa z kraju energię twórczą, ogoląca prowincję z udziału w życiu umysłowym, ograniczając je do „Warszawki” (*tout Varsovie*), ale dopiero w okresie komunistów centralizm rozkwitł na dobre, choć reżim udawał, że popiera rozmaite regionalizmy: finansował jakieś pisemka, utrzymywał teatryki, najbardziej kochał grupy folklorystyczne i Domy Kultury. Dopiero od 1989 r. zaczął się ruch autentyczny, wychodzący nie z centrali, lecz z lokalnych środowisk i podsycający ich ambicje. Tym wszystkim działaniom należy przyklasnąć, zwłaszcza, że najciekawsze rodzą się tam, gdzie istnieje własna tradycja historyczna oraz wyższe uczelnie.

„Ziemią jałową” było przez dłuższy czas Trójmiasto — pomimo dobrej swego czasu malarskiej szkoły sopockiej i dobrego teatru oraz muzyki. Żyli tu pisarze, ale rzec można w jakimś sensie, że żyli sporadycznie i z trudem przebijali się do warszawskich elit, nie dosłownie ale nawet gdy chodzi tylko o salonowe uznanie. Władza popierała — umiarkowanie — kaszubski regionalizm, ale i on nabrał rumieńców dopiero wówczas, gdy sam zmęźniał i gdy poparciem obdarzył go Kościół.

Tyle wstępu. Bo właśnie leżą przede mną ostatnie numery kwartalnika *Tytuł* — jak się sam określa — pisma literacko-artystycznego, które zastąpiło (czy: nastąpiło po) poprzedni gdański kwartalnik — *Autograf*. Zmniejszyła się może w stosunku do tamtego skala zainteresowań plastycznych, poszerzyła

jednak zdecydowanie perspektywa zagadnień. Zespół redakcyjny (redaktor naczelny: Krystyna Chwin, zespół: Marek Adamiec, Aleksander Jurewicz, Zbigniew Majchrowski, Kazimierz Nowosielski, Paweł Zbierski) stara się utrzymać ogólnopolski zestaw autorów (m.in. piszą tu Błoński, Woroszyński, Głowiński i in.), ale pielęgnuje pisarzy lokalnych (np. Bolesław Fac, Ewa Nawrocka i cała plajada poetów i polonistów — względnie poeto-polonistów), a przede wszystkim stara się nawiązać do największej lokalnej tradycji, do portu-emporium, w którym krzyżowała się nie tylko wymiana towarów, ale myśli. Każdy numer przynosi albo materiały dotyczące artystycznych czy ogólniej — kulturalnych składników owej tradycji (teksty Hanny Domańskiej), teksty (np. Horsta Bienka) lub omówienia piarstwa pisarzy niemieckich związanych z obecną Polską swym miejscem urodzenia (artykuł Władysława Szulista o koneksjach Güntera Grassa z kaszubskim kręgiem kulturalnym).

Oczywiście, jak we wszystkich tego rodzaju pismach, sporo miejsca zajmuje poezja, ale po pierwsze: nie przesadnie, a po drugie: trafnie. *Tytuł* nie drukuje absolutnych juveniliów; jeśli już kogoś popiera, to znaczy, że ten ktoś godzien jest zauważenia. A poza tym gdzieś w końcu musi się znaleźć kącik dla wierszokletów (piszę, bom smutny i sam pełen winy).

Jest to więc pismo ciekawe, żywe, wszechstronne, nie wyłącznie — na szczęście — literacko-artystyczne, ale szukające problemów na różnych poziomach i w różnych kierunkach. Mądry regionalizm i rozsądnie kultywowana europejskość „to jest to”. Wydaje mi się, że takie pisma (a jest ich już w większych miastach naszego kraju pół tuzina lub nawet cały tuzin) spełniają ważną rolę odkorkowywania kultury zbyt elitarnej, a przez to zbyt zaściankowej. Każde pismo musi przekazywać maksimum informacji, a *Tytuł*, przez swoją obfitą i różnorodną zawartość, taką rolę właśnie pełni. No i dobrze, wypada życzyć powodzenia, zresztą nie tylko *Tytułowi*, ale *Tytułowi* przede wszystkim dlatego, że wyszedł (podobnie jak sąsiadka, olsztyńska *Borussia*) naprzeciw rozmaitym dotychczasowym tabu (problematyka niemiecka, pisarze urodzeni na tych ziemiach), a zarazem próbuje podejmować tradycję lokalną, lub raczej budować nową na miejscu i wedle wytycznych tej, która tu niegdyś przez tyle stuleci kwitła.

Na marginesie pewna uwaga, która mi przyszła do głowy, niedawno bowiem z tegoż właśnie gdańskiego (wrzeszczowoliwskiego) środowiska wyszły dwie książki, z których jedna już zrobiła ogromną karierę, a druga zwróciła jak na razie uwagę krytyków i wytrawniejszych czytelników. Ta pierwsza to oczywiście „Weiser Dawidek” Pawła Huelle, ta druga to „Krótka historia pewnego żartu (Sceny z Europy Środkowoschodniej)”

Stefana Chwina (małżonka pani redaktor *Tytułu*). Pomędzy obydwoma istnieje zasadnicza różnica; ujmując najgruboskórniej: w pierwszej dzieje się, pogmatwanie i poszarpanie, ale dzieje i to dużo, w drugiej nic się nie dzieje, bo wszystko jest dzianiem się, nie narracyjnym ale pamięciowym strumieniem świadomości. Za to podobieństwa zdumiewające: obie książki wychodzą z doświadczenia dzieciństwa (jakże im zazdrościć, że tak niewiele więcej mają do zapamiętania, gdy ja się już pod własną pamięcią uginam w okrutnej niemocy) i starają się weryfikować, bo nie tylko karykaturyzować (co czynią wybornie) ten ich własny, dzielszy świat pt. III Rzplita. Obaj dobrze pamiętają szczegóły topograficzno-obyczajowe i obyczajowo-polityczne tamtej minionej epoki, którą dziś rodacy wspólnym wezbraniem głupoty starają się odtworzyć. Obaj coś wiedzą o ogromnym przekładaniu społecznym, jaki się wytworzył w miejscach, w których przyszli na świat, choć ich rodzice całkiem gdzie indziej wykonywali tę czynność. Jestem admiratorem piarstwa obu tych pisarzy, którzy ukazali nam nowe spojrzenie, nie zaś stylistyczne fioritury. Chciałbym zwrócić uwagę na opowiadanie Huelle, drukowane całkiem niedawno (nr 21 z 24 maja *Tygodnika Powszechnego*), a ukazujące w sposób niebywale śmieszny wcale niewesołe wspomniane wyżej wezbranie narodowej głupoty.

Tytuł drukuje gdańska oficyna wydawnicza „Atekst”, która ma wcale ciekawe plany w zakresie współczesnej literatury pięknej: Kafka pospołu ze Styronem, a Szałamow z Singerem. Właśnie ukazał się tom opowiadań tego ostatniego „Pasje”, w dobrym przekładzie Elżbiety Petrajtis-O’Neil. Potwierdza on raz jeszcze to, co powszechnie wiadomo, że ten noblista był świetnym nowelistą, a znacznie gorszym powieściopisarzem. W tomie są perełki na miarę Maupassanta z Biłgoraja lub Ruskich Piasków.

Tadeusz CHRZANOWSKI

Znad Niemna do Kornwalii — o poezji Zofii Ilińskiej

Wiersz zamykający niedawno wydany zbiór poezji Zofii Ilińskiej, poetki polskiego pochodzenia, od wielu lat piszącej i publikującej po angielsku, nosi tytuł: *When I return to Poland* („Kiedy powrócę do Polski”). Poetka istotnie wróciła niedawno w rodzinne

strony w nowogrodzkim, po 50-ciu latach życia na emigracji w Anglii, z czego ostatnie cztery dekady upłynęły jej na odludziu w odległym zakątku Kornwalii — regionu, z którym się uczuciowo identyfikuje i którego piękno przywołuje w swojej poezji.

Zofia Ilińska (jest to pseudonim literacki, nazwisko po 1-szym mężu, lotniku, który zginął w 1943 r.) z pewnością nie zaprzepaściła swego niewątpliwego talentu poetyckiego. Jej osobowość poetycka pozostała ta sama, choć zmieniła się materia językowa, w jakiej się wypowiada. Jej wczesne wiersze, w języku polskim, zebrane w tomiku *Wichry w zbożu* (wydanym w Londynie w 1969 r. nakładem Oficyny Poetów i Malarzy) szumią pogłosami poetów młodopolskich, Kasprowicza, Tetmajera, młodego Staffa. Bo proszę tylko posłuchać:

*Gdzie ostry zakręt rzeki, przy pokracznej sośnie
Której woda i wichry wypruły korzenie
Lubię wieczorem dumać patrząc w oddalenie
Zamglone — Smętne śpiewy snują się żałośnie*

*Po łakach gdzieś dalekich okrążonych borem.
O wodę uśmiechniętą która zaraz usnie,
To ryba niespokojna ostrą pletwą pluśnie,
to znów wiośło rybaka.*

Wieczór nad Niemnem

Co do wzorów literackich trudno wątpić: z młodopolską tradycją dzieli Ilińska nie tylko głębokie uczucie do rodzinnego krajo-
brazu, ale także wysokie walory melodyczno-rytmiczne.

Obecny tom poezji, po angielsku, zatytułowany *Horoscope of the Moon* dzieli jednak od tych wczesnych poezji polskich parę epok literackich. Z biogramu dowiadujemy się, że Ilińska studio-
wała anglistykę; jej poezja pisana po angielsku zainspirowana jest zgoła inną tradycją literacką, sygnalizowaną nazwiskami poetów, których Ilińska ambitnie tłumaczyła na polski, jak Gerald Manley Hopkins (jest to dla tłumacza odpowiednik wspięcia się na Mount Everest) czy T.S. Eliot. W jej własnej twórczości, od lat 60-tych już tylko anglojęzycznej, zmienia się nie tylko stylistyka i rytmika wierszy, pisanych typowym dla współczesnej poezji *blank verse*, ale też zakres zainteresowań, bliższy sprawom współczesnego świata. Przykładem może być wiersz *Refugee* (cytowany tu w przekładzie Beaty Obertyńskiej) a dotyczący problemu, dobrze znanego tyłu z nas z osobistego doświadczenia:

*Przyjechałaś tu dwadzieścia lat temu jako refugee
Dziś masz brytyjski paszport
i prawo do starczej pensji (...)*

*Rozumiesz język zięcia i synowych. Oni —
z twego — opanowali już „tak” i „nie”.*

Żadne z wnucząt (...)

nie zna twojej rodzinnej mowy;

nauczyły się tylko do ciebie mówić „babciu”.

I to jest jedno z najszcześniejszych twoich słów.

Czasem śmiesz cię ta mieszanina rodzinna.

Czasem myślisz: „Jakie to wszystko dziwne”

*Czasem bierzesz jeszcze do kościoła twój dawny mszał
ale rzadko i raczej przypadkiem...*

*Zwierzyłaś się raz komuś, że sny twoje mówią już...
po angielsku...*

Angielska poezja Ilińskiej, tak jak jej wczesna polska, jest poezją przeżyć osobistych (szczególnie wzruszający jest cykl wierszy oplakujących śmierć 22-letniego syna w katastrofie samochodowej). Inspiracją jednak jej najlepszych wierszy jest przyroda przybranej nowej ojczyzny, Kornwalii. Zdumiewa w nich, zważywszy, że angielski nie jest ojczystym językiem poetki, duża różnorodność wzorów rytmicznych i silna melodyczność jej wierszy. Nade wszystko jednak podziwiam imponującą świeżość wyobraźni — to najgłębsze źródło oryginalnej twórczości poetyckiej. Oto Ilińska w wenie żartobliwej, we fragmencie uroczego, moim zdaniem, wiersza: „Scarecrow” (Strach na wróble): (cytuje po angielsku; angielsi będą mieli przyjemność posmakowania wyrafinowanej gry słowno-rytmicznej):

*I wish there was no thought in me.
This head of thought exhausteth me.
this head of trouble, head of thought...
Could I but wear a scarecrow's coat
and left alone, without a care
flap at the passing world and stare
at leaf and bird and pigeon wing,
or nothing, no thing, not a thing...
I wish there was no thought in me.
This head of thought exhausteth me.*

(Życzyłabym sobie nie mieć myśli w głowie / Ta głowa pełna myśli męczy mnie okropnie / Zakłopotana, myśląca głowa... / Gdybymże to ja mogła przywdziać płaszcz stracha na wróble / I tak postawiona sobie, bez najmniejszej troski / machać do zajętego sobą świata i gapić się / na liście, ptaki i przelatujące gołębie / lub też na nic, zwyczajnie na nic... / Życzyłabym sobie nie mieć myśli w głowie. / Ta myśląca głowa okropnie mnie męczy.)

W sprawozdaniu z okazji oficjalnej promocji *Horoscope of the Moon* (na której gościem był m.in. noblista Willam Golding) cytowany jest znany historyk i krytyk szekspirowski, A.L. Rowse, tak jak

Zofia Ilińska osiadły w Kornwalii. Nazywa on jej poezję „dziełem czystego geniuszu”.

Inna znana postać brytyjskiego świata literackiego, Penelope Tremayne, tak podsumowała osiągnięcia Zofii Ilińskiej: „Dzięki swoim polskim korzeniom i mistrzowskiej angielszczyźnie, poprzez sztukę rytmu i równowagi, przybliżyła ona wielu ludziom sztukę współczesnej poezji”.

Teresa HALIKOWSKA-SMITH

Biogramy Polonii kanadyjskiej

Ukazał się pierwszy tom* planowanego trzutomowego słownika biograficznego, który zawiera biogramy osób zamieszkałych w prowincji Ontario, gdzie mieszka większość Polaków. Następny tom obejmie ludzi zamieszkałych w pozostałych dziewięciu prowincjach, a trzeci ukaże się w języku angielskim i zawierać będzie biogramy poprzednich tomów. Przedsięwzięcie poważne i trudne, ale — jak piszą w listach gratulacyjnych do wydawnictwa panowie sen. Haidasz i posłowie Flis (Izba Gmin) oraz Ruprecht (Ontaryjska Izba Ustawodawcza) — „ważne, pożyteczne, służy lepszemu wzajemnemu poznaniu, uświadamia znaczenie Polonii, jest dokumentem zbiorowego dorobku Polonii Kanadyjskiej”.

Zespół wydawniczy w słowie wstępnym tłumaczy, iż publikacja „w zamyśle redakcji była próbą udokumentowania zbiorowego dorobku szerokiej reprezentacji Polaków w Kanadzie”. Ambitny plan został tylko częściowo zrealizowany, chyba nie tylko z winy zespołu wydawniczego, jako że wysłano ok. 4.300 ankiet do wybranych osób z prowincji Ontario, a tylko 450 wypełniło je. Brak więc w tym tomie biogramów wielu zasłużonych działaczy okresu przedwojennego, powojennego i ostatniego — lat 80-tych. Np. brak biogramów trzech kolejnych byłych prezesów Zarządu Głównego Kongresu Polonii, obecnych przewodniczących Funduszu Wieczystego, Fundacji Mickiewicza, Fundacji Reymonta, Kan.-Polskiego Instytutu Badawczego, Pol.-Kan. Funduszu Wydawniczego, prezesów SPK, ZPwK, redaktorów niektórych pism i autorów. Mimo to tom pozostaje interesującą — choć fragmentaryczną — prezentacją Polonii.

Ponad połowę stanowią biogramy osób przybyłych do Kanady między 1980 a 1991 rokiem. Jest ich ok. 236.

* *Kto jest kim w Polonii kanadyjskiej 1992 r. Słownik biograficzny.* KTO Publishing Inc., Toronto 1992, str. 264.

Biogramy — co należy podkreślić — to wypełnione przez adresatów ankiety. Zespół redakcyjny jedynie przystosował materiał do wymogów tego rodzaju publikacji. Respondenci prezentują się sami.

Struktura zawodowa nowej polskiej imigracji jest bardzo zróżnicowana. Zresztą nie tylko polskiej, ale ta ostatnia z Polski wręcz wyjątkowa: największy odsetek osób z wyższym wykształceniem, wielka liczba specjalistów technicznych, pewna liczba pracowników naukowych, artystów. Inżynierów różnych specjalności łącznie z architekturą jest 55. Prawie wszyscy pracują w swoich zawodach, niektórzy na kierowniczych stanowiskach w przedsiębiorstwach publicznych, samorządzie oraz samodzielnie.

Drugą największą grupę zawodową stanowią biznesmeni — jest ich 44. Są wśród nich sprzedawcy nieruchomości, właściciele różnych firm, sklepów żywnościowych, przemysłowych, muzycznych, motelu. W tej grupie znajdują się osoby, które w Polsce zajmowały się czymś innym. Kolejną grupę 20 osób stanowią dziennikarze. Znalazły się tutaj biogramy redaktorów trzech pism torontońskich oraz licznych — chyba luźnych — współpracowników. Jest 16 lekarzy; wszyscy wkrótce po przybyciu złożyli odpowiednie egzaminy i pracują w swoich specjalnościach. Dalej widnieją biogramy 9 naukowców, 9 sportowców zawodowych, w tym trener sportów walki, trener narciarski, trener kolarzy. Sportowcy pracują w odpowiednich drużynach czy klubach kanadyjskich. Jest 9 muzyków, w tym kompozytor, dyrygent chóru. Licznie prezentuje się sztuka: 23 artystów — plastycy, rzeźbiarz, graficy użytkowi, filmowi, aktorzy i reżyserzy sceniczni i filmowi. Jeden z tych ostatnich przybył do Kanady już ze Stanów Zjednoczonych, gdzie reżyserował kilka filmów i ma już na swoim koncie kilka kanadyjskich.

Kilka przykładów karier w Kanadzie:

inżynier przybył po dwuletnim pobycie w Anglii w 1981 r. W Polsce pracownik naukowy Instytutu Fizyki Jądrowej w Krakowie, tutaj pracownik Ontario Hydro;

naukowiec, biolog, neurofizjolog, w Polsce pracownik nauko-wo-dydaktyczny w dziedzinie fizjologii, Uniw. Łódzki. Tutaj od 1982 r. dwuletni trening postdoktorski — obecnie profesor nadzwyczajny i pracownik naukowy na Western Ontario Univ. w London.

W Polsce do 1989 r. w wydawnictwie PAX, Polskiej Agencji Prasowej, filolog, specjalność jęz. portugalski, tutaj od 1991 r. nauczycielka francuskiego w szkole średniej, współpracowniczka *Gazety*.

Inżynier elektronik w Kanadzie od 1988 r., a od następnego roku pracownik Ontario Bus Inc. na odpowiedzialnym stanowisku.

I jeszcze jeden: reżyser filmowy, scenarzysta, historyk, dziennikarz — tutaj od 1989 r. — pracuje jako robotnik budowlany, przygotowując mikro-powieść „Okno”, zbiór opowiadań i scenariusz komedii „Naręczona”.

Z osobistych przekazów wynika, iż proces przystosowania się do nowych warunków przebiegał względnie łagodnie, jakkolwiek

zmieniał się zawód. Chwymano się różnych dorywczych prac. Tylko kilkoro z tej fali imigracyjnej przystąpiło do starych organizacji polonijnych, natomiast założyli teatr, szkołę baletową, inicjują imprezy artystyczne, wydają kilka pism.

Krótki rzut oka na osiadłych. Znalazły się również biogramy rdzennych, a więc drugiego pokolenia: są wśród nich profesorowie uniwersytetów, kierownicy instytutów badawczych, pracownicy urzędów federalnych, prowincjonalnych i samorządowych. Ale tylko jeden urodzony w Polsce w 1937 r., lecz wychowany w Kanadzie, jest dyplomata. Piastował szereg stanowisk w centrali, był przedstawicielem Kanady w różnych państwach, w tym ambasadorem w Iraku.

Biogramy te są autentycznym materiałem, lecz ani pełnym ani obiektywnym. Mimo to są dobrym, wycinkowym źródłem informacji o Polonii w Ontario.

Benedykt HEYDENKORN

Arka podziurawiona?

Książka Jana Walca o Mickiewiczu pt. „Architekt Arki” zyskała już rozgłos. Nie tyle dzięki swej swadzie i istic gombrowiczowskiej postawie wobec Wieszcza, co dzięki szarzy, jaką wykonał na nią prof. Przybylski. Trzeba oddać Profesorowi, że wziął w obronę poetę, który zdaje się nie należy do jego ulubionych; niestety jego krytyka sprowadza się w zasadzie do okrzyku-przestrogi: przyjdzie Walc i wyrówna! (historię literatury polskiej).

To, że atak naszego polonistycznego Ferdurke wywoła kontratak profesora Pimki było do przewidzenia, choć przyznaję, że jego forma mogła zaskoczyć nawet stałych czytelników *Gazety Wyborczej*. Jeśli jednak chciałbym się tu ująć za porywczym Strażnikiem Tradycji, to nie ze względu na jego wielkie zasługi, ale z uwagi na to, że w samej rzeczy czytelnikowi Walca zjeżyć się może włos. Oto dowiadujemy się, że Mickiewicz — 1. zobowiązał się donosić; 2. nie wiadomo jakim cudem dostał paszport; 3. a do tego wszystkiego nie wiadomo dokładnie za co podróżował następnie po Europie w całkiem wygodnych warunkach. A przecież sędzia śledczy mógłby jeszcze zapytać, jak to się właściwie stało, że cenzura puściła „Konrada Wallenroda”...

No tak. Jak mówi młodzież: można zwątpić. Ale Walc jest bezlitosny i idzie dalej: rekonstruuje poglądy Mickiewicza — z których wyłania się ktoś na kształt Andrzeja Walickiego pomieszanego

z Janem Dobraczyńskim. A jeśli dodamy do tego związek z Andrzejem Towiańskim, o którym na 99% wiadomo, że był agentem III Oddziału Cesarskiej Kancelarii...

Przynajmy Profesorowi: miał prawo się zdenerwować.

Może nie świadczy to najlepiej o moim charakterze, ale muszę wyznać otwarcie, że mnie te wszystkie rewelacje z nóg nie ścinają. A to z prostego powodu: odróżniam mianowicie twórczość od twórcy. Gdybyśmy bowiem zaczęli mierzyć arcydzieła moralnością ich autorów — to ile by ich nam zostało? Policzmy tylko tych największych: rzeźmieszek Villon, awanturnik Cellini, służący Borgiom Leonardo, wysługujący się hiszpańskim okupantom Rubens, zabójca Caravaggio, wypisujący oszczerstwa o Joannie d'Arc Szekspir, kadzący despotom Voltaire i Diderot, pochlebca i „agitator”, Hasek kradnący i sprzedający psy, Jean Genet okradający swych klientów i kochanków... doprawdy, ciężka byłaby to operacja. O ludziach i czasach nam bliższych dałoby się zaś napisać tyle, że z litości zamilczmy — kto na przykład wypomina dziś Mochackiemu, że podpisał lojalną i był *de facto* cenzorem?

Walc prezentuje nam Mickiewicza jako bohatera wielkiego i całkiem współczesnego dramatu, i to takiego, którego fabuła ciągle nie jest jasna. Filomatę widzi jako postać ze Stendhala czy Balzaka: młodego, niezwykle zdolnego człowieka (ileż znał języków!), który za wszelką cenę chce wyrwać się ze swojej prowincji do wielkiego świata. I tu od razu natykamy się na zagadkę, która powinna zaintrygować Walca, ale której on ledwie dotyka — dlaczego Mickiewicz, gdy wreszcie dostał się na owe europejskie salony, tak szybko z nich uciekł? Czy to rzeczywistość tak bardzo odbiegała od młodzieńczych wyobrażeń? Czy np. fakt że nasz poeta tak lekceważąco odniósł się do Hegla, świadczy o jego zaściankowości, czy o przenikliwości?

Czy ów młodzieniec z prowincji był rzeczywiście takim salonowym lwem, jakim opisuje go Jan Walc; czy faktycznie zdobył tyle serc i łózek, jak sugeruje? Jeśli nawet, to nie czyni go to jeszcze Rastignakiem. Mój główny zarzut pod adresem tej (świetnie napisanej) książki to jałowość procedury jaką autor zastosował — jego „szkiełko i oko” wydaje się bardzo sterylne i bezkompromisowe, ale wymyka mu się to, dlaczego w ogóle nas zajmuje ten człowiek, którego nie wiadomo czemu aż cztery miasta w różnych krajach upamiętniły pomnikami, i którego czytał w wolnych chwilach ten strajkujący stoczniovec z 1980 roku; jeden z bohaterów znakomitego reportażu Małgorzaty Szejnert. Wygląda bowiem na to, że nasz przenikliwy analityk zatruł się marksizmem, który tak długo zwalczał: Mickiewicz istnieje u niego niemal wyłącznie jako *homo politicus*. Jako taki interesowałby jednak wyłącznie historyków. Mickiewicz jest dla nas ważny dlatego, że jest wspaniałym poetą — i to ile miał kochanek naprawdę nie ma najmniejszego znaczenia. Zaangażowany w swoją biograficzną pracę, Walc zdaje się zapominać, że obcuje z tajemnicą twórczości — tajemnicą, wobec której sami twórcy stają bezradni.

Kompromitujący jest wręcz wynik tej metody, gdy przykłada ją do wiersza-symbolu: „Do Matki Polki”. Wiersz ten żyć będzie w literaturze polskiej tak długo jak ona sama nie dlatego, że wyraża nastroje jakiejś grupy społecznej, gdyż możemy całkowicie zgodzić się z Walcem, że tych nastrojów nie wyraża w najmniejszej mierze. Wiersz ten przenika nas dreszczem — tak jak przenikał bohaterów „Jeziora Bodeńskiego”, choć tak bardzo chcieli pozostawać chłodni i ironiczni — dlatego, że w nieodgadniony sposób antycypuje i męczeństwo Szymona Konarskiego, i rok 1863, i — przede wszystkim — straszne lata 1939-1956. Jak Jeremiasz, Mickiewicz na chwilę odstąpił przyszłość — i próżno dociekać, czemu to właśnie jemu została dana owa wieszczka zdolność.

Nawet tam, gdzie całkowicie się zgadzam z tezami autora „Architekta arki”, jak w wypadku jego głębokiej analizy stosunku Mickiewicza do Rosji — mam pretensję o brak nawet wzmianki o „Wykładach z literatury słowiańskiej”, gdzie tę sprawę można chyba prześledzić najlepiej. Tu akurat można bez trudu udowodnić przenikliwość poety — i obronić jego trzeźwy stosunek do życia: jeśli przyjąć tezę Walca, iż taki właśnie posiadał.

Ale główny punkt zapalny to oczywiście interpretacja „Dziadów”.

Jan Walc, znakomity publicysta, krytyk i drukarz (podziemny), znany jest z tego, że zajmuje się sprawami naprawdę ważnymi — przypuszczam więc, że na lekturę pism typu *Przekrój* po prostu szkoda mu czasu. A tymczasem właśnie w *Przekroju* ukazał się wywiad z prof. Konradem Górskim na krótko przed zakończeniem jego niemal 100-letniego i niemal w całości poświęconego Mickiewiczowi życia. Otóż profesor twierdzi w tym wywiadzie — który, jak tego zażądał, ukazał się dopiero po jego śmierci — że znalazł wreszcie, na progu śmierci, klucz do „Dziadów”: a dokładnie do Wielkiej Improwizacji. Kluczem tym jest GNOSTYCYZM.

Albowiem w pewnym momencie Konrad mówi wyraźnie: Ty, Boże, nie od samego siebie masz swą siłę: dał Ci ją KTOŚ WYŻSZY OD CIEBIE.

Cała moc, cała — chciałoby się rzec — furia monologu Konrada stąd właśnie się bierze. Bóg, z którym się spiera, nie jest Bogiem katolickim: jest Demiurgiem gnostyków, który wymknął się spod kontroli Boga-Absolutu i stworzył świat równie jak on sam ułomny.

Mickiewicz zwierzył się komuś, że Wielką Improwizację pisał w transie i że po jej zakończeniu — zemdlął. Jeśli to prawda, to mamy tu do czynienia z doświadczeniem *quasi*-ezoterycznym — i to tłumaczy tak charakterystyczną dla mistyków niejasność, na jaką skarży się Walc. Fakt, że — jak dowiadujemy się z książki — Mickiewicz miał aż nadto powodów do skrajnego napięcia bynajmniej nie przeczy tej tezie, ale właśnie ją potwierdza: przypomnijmy tylko okoliczności religijnego przełomu Pascala. Zresztą nie była to sprawa tej jednej drezdeńskiej nocy, gdyż wiadomo, że Mickiewicz

rozczytywał się wówczas w Kabale i wiadomo, że sławne „czterdzieści i cztery” to kabalistyczny symbol Adama — Ojca Rodu Ludzkiego. Chodzi tu więc, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, o pojawienie się Nowego Człowieka; nowej, lepszej odmiany naszego gatunku.

Wielka Improwizacja nie jest zatem bełkotliwym wybuchem zawiedzionego w swoich ambicjach i odepchniętego przez opinię genialnego młodzieńca — jak zdaje się sugerować Walc. Wielka Improwizacja jest niezwykle polifonicznym utworem złożonym z trzech przeplatających się warstw. Pierwszą z nich jest filozoficzna diatryba na temat Boga i Szatana — którego gnostycy utożsamiali właśnie z Demiurgiem. Drugą jest obietnica lepszej przyszłości dla Polski i całej ludzkości. I trzecią, najważniejszą, jest przesłanie o ukrytej boskości człowieka: i tu — dla obrony Mickiewicza przed obecnym nie tylko u Walca zarzutem bluźnierstwa — przywołać trzeba zdanie Chrystusa: „Pamiętajcie, żeście bogami”.

Urodzony w niewoli, okuty w powiciu

Ja jedną miałem tylko taką noc w mym życiu

— mógłby powiedzieć ten uczeń Śniadeckich, admirał Woltera i pilny czytelnik Machiavellego.

Nie wiemy dlaczego niektórzy ludzie, tacy jak my, tworzą rzeczy, które zdają się przerastać ich samych. Wielu twórców zwierza się, że czują się wtedy jedynie pośrednikami siły, która przez nich sływa na papier, płótno czy kamień. Walc zapewne ma słuszność, gdy obsadza tego młodego człowieka (bo przecież oryginalną twórczość kończy Mickiewicz w wieku lat 34...) w roli polskiego Juliana Sorela. W tym, że się pewnego dnia wyrusza do Paryża, Petersburga czy Damaszku nie ma jednak nic nadzwyczajnego. Nadzwyczajne jest to, co się niektórym zdarza po drodze: ale czemu to właśnie im, a nie tym „od nich godniejszym” — to już wie kto inny.

Piotr SKÓRZYŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

CISEK (Janusz). *Kalendarium działalności Józefa Piłsudskiego. Uzupełnienie do „Kroniki życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935”*. Str. 389 i 8 nlb. (Wyd. Piłsudski Institute of America, Nowy Jork 1992).

MAREK (Edmund). *Sekcja Polska na Państwowym Uniwersytecie w Lille, jej powstanie i działalność w latach 1927-1939, a tożsamość etniczna Polonii francuskiej*. Str. 44. (Wyd. Club Polonia-Nord, Lille 1992).

- LURCZYŃSKI (Mieczysław). *Złota korona. Wiersze napisane po śmierci żony. Zofii*. Str. 48. (Wyd. Caldra House, 1992).
- Deutsches Polen-Institut. 1980-1990. Sprawozdanie z dziesięciolecia działalności*. Opr. Albrecht Lempp. Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 1992).
- Mały oxfordzki słownik historii świata w XX wieku*. Str. 729 i 3 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1992).
- SCHORR (Mojżesz). *Żydzi w Przemysłu do końca XVIII wieku*. Str. 297 i 5 nlb. (Wyd. Hebrew University of Jerusalem, Jerozolima 1991).
- DOSTOJEWSKI (Fiodor). *Biesy*. Przeł. T. Zagórski, Zb. Podgórzec. Str. 684 i 4 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1992).
- DOSTOJEWSKI (Fiodor). *Wspomnienia z domu umarłych*. Przeł. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski. Str. 270 i 2 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1992).
- DOBRYŃSKI (Zbigniew). *Obrządek słowiański w dawnej Polsce*. Cz. I-III, str. łącznie 538. (Wyd. Warszawska Metropolia Prawosławna, Warszawa 1989).
- Ethos*, nry 13/14 i 15/16. Str. 284 i 320. (Wyd. Instytut Jana Pawła II KUL, Lublin, i Fundacja Jana Pawła II, Rzym, 1991).
- ZIÓŁKOWSKA (Aleksandra). *Nie tylko Ameryka*. Str. 155 i 5 nlb. (Wyd. Dom Książki, Warszawa 1992).
- TARCZYŃSKI (Marek, red.). *Zbrodnia katyńska. Droga do prawdy. Historia, archeologia, kryminalistyka, polityka, prawo*. Str. 432. (Wyd. Niezależny Komitet Historyczny Badania Zbrodni Katyńskiej, Dep. Prokuratury Ministerstwa Sprawiedliwości, Tow. Naukowe Kryminalistyczne, Wojskowy Instytut Historyczny. Warszawa 1992).
- TARGOWSKI (Andrew). *Chwilowy koniec historii. Cywilizacja i kultura Polski widziana z nad jeziora Michigan*. Str. 246 i fotografie. (Wyd. Nowe Wydawnictwo Polskie, Warszawa 1991).
- WINNICKI (Zdzisław J.). *Rada Regencyjna Królestwa Polskiego i jej organy (1917-1918)*. Str. 352 i 106 i 22. (Wyd. „Wektory”, Wrocław 1991).
- KARPIŃSKI (Jakub). *Między komunizmem a demokracją*. Str. 208. (Wyd. Verba, Chotomów 1992).
- MIANOWSKI (Krzysztof Maciej). *Wybór opowiadań*. Str. 62. (Wyd. na prawach rękopisu, Warszawa 1992).
- CZAPSKI (Józef). *Józef Pankiewicz, życie i dzieło. Wypowiedzi o sztuce*. Str. 206. (Wyd. FIS, Lublin 1992).
- BAŁABAN (Majer). *Żydowskie miasto w Lublinie*. Str. 136. (Wyd. FIS, Lublin 1991).
- Czesław Odo MOSTOWSKI i jego troje gości. *Fraszki o panach i paniach, pocziwczach i draniach oraz gościnne fraszki Marii de Préval-Chajes, Jerzego Maciejewskiego i Rocha Mostowskiego*. Str. 202 i 6 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1991).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Homo polonicus*. Str. 62. (Wyd. PoMost, Warszawa 1992).
- GŁOMB (Jacek). *Zielony Jasiek. O Janie Bielatowiczu*. Str. 242 i 2 nlb. (Wyd. Tarnowskie Towarzystwo Kulturalne, Tarnów 1991).
- BASHEVIS SINGER (Isaac). *Namiętności*. Opowiadania. Przeł. Elżbieta Petrajtis-O'Neil. Str. 353. (Wyd. Atext, Gdańsk 1992).
- Hana. Pamiętnik polskiej Żydówki*. Str. 132. (Wyd. Atext, Gdańsk 1992).
- Mannheim (Karl). *Ideologia i utopia*. Przeł. Jan Miziński. Str. 260 i 6 nlb. (Wyd. Test, Lublin 1992).
- DAKOWSKI (Mirostław), PRZYSTAWA (Jerzy). *Via Bank i FOZZ. O rabunku finansów Polski*. Str. 256. (Wyd. Antyk, Komorów 1992).

- Jan Lebenstein. Album wydany z okazji wystawy retrospekcyjnej w Warszawie, kwiecień-maj 1992, Galeria Zachęta. Str. nlb. (Wyd. Wydawnictwo Galerii Zachęta, Warszawa 1992).
- SUTZKEVER (Abraham). *Zielone akwarium*. Przeł. Michał Friedman. Str. 164 i 6 nlb. (Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1992).
- WEŁNA (Matylda). *Smak dzikich czereśni*. Str. 140. (Wyd. nie podane, Lublin 1992).
- SASKI (Witold). *Przez wiele mostów*. Str. 272. (Wyd. Vademecum, Warszawa 1992).
- Polonica zagraniczne. Bibliografia za okres od września 1939 do 1955 roku*. Tomy I-III. Str. odpowiednio 412, 448 i 382. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1991).
- PAJAŁ (Henryk). *Za samostijną Ukrainę*. Str. 228. (Wyd. nakładem Autora, Lublin 1992).
- Rocznik Polskiej Akademii Umiejętności, rok 1990/1991*. Str. 180. (Wyd. „Secesja”, Kraków 1992).
- LABUDA (Gerard). *Mieszko II król Polski (1025-1034). Czasy przełomu w dziejach państwa polskiego*. Str. 212 i 6 nlb. (Wyd. Polska Akademia Umiejętności, Kraków 1992).
- PRZYBYLSKI (Henryk). *Paderewski między muzyką a polityką*. Str. 392. (Wyd. UNIA, Katowice 1992).
- HERBERT (Zbigniew). *Rovigo*. Str. 59 i 5 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1992).
- KUNERT (Andrzej K.). *Ostatnie dni marszałka Śmigłego*. Str. 70 i 2 nlb. (Wyd. PWN, Warszawa 1992).
- FEDOROWICZ (Tadeusz, ks.). *Drogi Opatrzności*. Str. 264. (Wyd. Norbertinum, Lublin 1991).
- SULIKOWSKI (Andrzej). *„Nie można świata zostawić w spokoju”. O twórczości Jana Józefa Szczepańskiego*. Str. 348 i 4 nlb. (Wyd. Tow. Naukowe KUL-u, Lublin 1992).
- FROMM (Erich). *Dogmat Chrystusa i inne pisma religioznawcze*. Str. 123 i 3 nlb. (Wyd. Test, Lublin 1992).
- KAMIŃSKI (Marek Kazimierz). *Od wojny do zniewolenia. Polska a Związek Sowiecki: stosunki polityczne 1939-1945*. Str. 104. (Wyd. „Oświata”, Warszawa 1992).
- JEZIOROWSKI (Tadeusz), JEZIOROWSKI (Andrzej). *Mundur wojewódzkie Rzeczypospolitej Obojga Narodów*. Str. nlb. (Wyd. Pelta, Warszawa 1992).
- BOCHEŃSKI (J.M.). *Podręcznik mądrości tego świata*. Str. 104. (Wyd. „Philed”, Kraków 1992).
- WASIAK (Marek). *Wydawnictwo „Solidarność Walcząca”, Wydawnictwo Społeczne „Fakt”*; Łódzki Zespół Oświaty Niezależnej — materiały bibliograficzne. Str. 32. (Wyd. nakładem Autora, Łódź 1991).
- TYSZKA (Juliusz). *Na wschód czyli kilkanaście rozmówek międzyludzkich z epoki mniejszego zła*. Str. 32. (Wyd. nakładem Autora, Poznań 1992).
- STANISŁAWCZYK (Barbara), WILCZAK (Dariusz). *Pajęczyna*. Str. 112. (Wyd. Krag, Warszawa 1992).
- Le salut était à l'Est*. Entretiens avec Julian STRYJKOWSKI recueillis par Piotr SZEWC. Przeł. Eric Morin-Aguilar. Str. 362 i 6 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1992).
- BEDNARSKI (Betty). *Autour de Ferron. Littérature, traduction, altérité*. Str. 153 i 7 nlb. (Wyd. Editions du GREF, Toronto 1989).
- BARTOSZEWSKI (Władysław). *Żegota. Juifs et Polonais, dans la résistance 1939-1944*. Préface de Bronisław Geremek. Przeł. Christian Merlin. Str. 333 i 5 nlb. (Wyd. Criterion, Paryż 1992).
- BRANDYS (Kazimierz). *Hotel d'Alsace et autres adresses*. Przeł. Jean-Yves Erhel. Str. 188 i 4 nlb. (Wyd. Gallimard, Paryż 1992).

- PIASECKI (Sergiusz). *L'Amant de la Grande Ourse*. Przeł. Jacqueline Kochan. Str. 393 i 7 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1992).
- GRUDZIŃSKA-GROSS (Irena). *Custine, Tocqueville, and the Romantic Imagination*. Str. 192. (Wyd. University of California Press, Berkeley-Los Angeles-Oxford, 1992).
- BAUM (Anna). *Procession: Stories from a Polish Past*. Str. 160. (Wyd. Childe Thirsdar, Toronto 1990).
- HALSKI (Czesław). *Folk Music in Poland. Songs, dances and instruments*. Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. Polish Cultural Foundation, London 1992).
- HALECKI (Oscar). *Jadwiga of Anjou and the Rise of East Central Europe*. Str. 400 i 6 nlb. (Wyd. Polish Institute of Arts and Sciences of America, USA 1991).
- ILIŃSKA (Zofia). *Horoscope of the Moon*. Str. 88 (Wyd. Tabb House, Padstow, Kornwallia 1992).
- FELSZTYŃSKI (Jurij). *Kruszenje mirowej rewolucji. Oczierk pierwyj: Briestskej mir, oktiabr 1917-nojabr 1918*. Str. 655 i 1 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1991).
- MAKŁAKOW (W.A.). *Wtoraja Gosudarstwienaja Duma. (Wospominanija sowriemiennika)*. Str. 258 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1991).
- POKROWSKI (M.N.). *Diplomatija i wojny carskoj Rossiji w XIX stuleti. Sbornik statiej*. Str. 390. i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1991).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Inoj mir. Sowietkije zapiski*. Przeł. z polskiego Natalia Gorbaniewska. Str. 237 i 3 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Progress, Moskwa 1991).
- BERLIN (Isaiah). *Czetyrie esse o swobodzie*. Przeł. z angielskiego Sima Weksler. Str. 396. (Wyd. OPI, Londyn 1992).
- ROZANOW (W.W.). *Literaturnyje izgnanniki*. Str. 548. (Wyd. OPI, Londyn 1992).
- STIEPUN (Fiodor). *Wstriecki i razmyslenia*. Str. 288. (Wyd. OPI, Londyn 1992).
- ARSIENIEW (N.S.). *Iz ruskaj kulturnoj i tworczej tradicii*. Str. 302. (Wyd. OPI, Londyn 1992).
- NAJMAN (Anatolij). *Statua komandira i drugije rasskazy*. Str. 229 i 3 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1992).
- KUZNIECOW (Paweł). *Archeolog*. Powieść. Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1992).
- CZALIKOWA (Wiktoria). *Utopia rozdajetsia iz utopii. Esse raznych liet*. Str. 216 i 4 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1992).
- ŻILGIEWICZ (Jewgienija), FILLI-POW (Boris). Trzy kasety zatytułowane: *Boris Pasternak, Russkaja intelligencja i O tworczej Borisa Fillipowa* oraz uzupełniająca je broszurka pod tymi samymi tytułami. (Wyd. OPI, Londyn 1992).
- ACTON (Lord). *Oczerki stanowlenja swobody*. Przeł. Jurij Kolker. Str. 208. (Wyd. OPI, Londyn 1992).
- HUIZINGA (Johan). *Ob istoriczeskich zizniennych idealach*. Przeł. Irina Michajłowa. Str. 220. (Wyd. OPI, Londyn 1992).
- SYSOJEW (Wiacesław). *Utka na zimniej daczce ili za wami slediat*. Str. 160. (Wyd. OPI, Londyn 1992).
- MACKIEWICZ (Józef). *Ot Wilii do Izara. Statji i oczerki (1945-1985)*. Przeł. Natalia Gorbaniewska. Str. 508. (Wyd. OPI, Londyn 1992).
- MOLEWA (Nina M.). *Kogda otzumiela ottepel..* Str. 165 i 3 nlb. (Wyd. MPI, Moskwa 1991).
- MOLEWA (Nina M.). *Dwie zagadki*. Str. 80. (Wyd. IPC SP „Bazar-Ferro”, Moskwa 1991).
- KARSOW (Nina), SZECHTER (Szymon). *Dniewnik Niny Karsow*. Str. 292 i 4 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1992).
- Lyrisches Quintett. Fünf Themen der polnischen Dichtung*. Opr. Karl Dedecius. Str. 363 i 7 nlb. (Wyd. Suhrkamp Vlg, Frankfurt/M 1992).

Wolna trybuna

Nowe oblicze „Kultury”

Po przeczytaniu „Nieznanego fragmentu z Dziennika” Witolda Gombrowicza w czerwcowej *Kulturze* (1992) umocniłem się w przekonaniu, kielkującym we mnie od pewnego czasu, że obecna *Kultura* to już nie ten sam miesięcznik, którym zachwycałem się przez ponad cztery dekady mego emigracyjnego bytu. To już nie są *szkice, sprawozdania i opowiadania* z okresu Mieroszewskiego, Gombrowicza, Łobodowskiego, Iwaniuka, Kisielewskiego i tylu innych, których można znaleźć w grubych tomach Bibliografii opracowanej przez Marię Danilewicz Zielińską. Nawiasem mówiąc nie jestem pewny, czy istnieje drugi miesięcznik, który mógłby sobie zamówić tego rodzaju bibliografię — z taką ilością i takiej jakości autorów z niemal każdego zakątka kuli ziemskiej, od Brazylii do Afryki Południowej, od Szwecji do włoskiej Campanii, gdzie po dziś dzień żyje jeden z najwierniejszych współpracowników, Herling-Schöngeist-Grudziński, który już w 1958 otrzymał nagrodę literacką *Kultury*.

Powiem od razu, że wolę tę dawną *Kulturę*, którą bez przesady można było określić jako walczącą — miesięcznik, który przy wysokim poziomie literackim był jednak przede wszystkim organem politycznym o zasięgu światowym; może nawet jedynym tego rodzaju estetycznym narzędziem walki z komunizmem.

Pisma polityczne są przeważnie ciężkobrojne, dogmatyczne, często pompacyjne, nierzadko nudnawe i literacko niestrawne. *Kultura* potrafiła jakoś tego uniknąć i ta zdolność redakcji w doborze istotnie ciekawego materiału politycznego jest niewątpliwie jedną z podstaw jej poczytności. A nie tak łatwo jest utrzymać wysoki poziom pisarski w publicystyce politycznej, gdzie dominują slogany, tromtadacja i nastawienie raczej reakcyjne.

W tym czasie, który śmiało można nazwać złotym okresem, pisały dla *Kultury* najlepsze polskie (i niepolskie) pióra, two-

rzące dla wyższej klasy czytelnika. Powiedzmy sobie szczerze: pismo z Maisons-Laffitte nie było redagowane dla pospolitaków; raczej dla elity umiejącej ocenić świadomą kontrowersyjność, tematyczną wielobarwność i dziennikarską łatwostrawność przy jednoczesnym utrzymywaniu należytego poziomu argumentacji. Spotykałem ludzi, którzy po prostu chwalili się, że prenumerują *Kulturę* i takich, którzy uważali sobie za zaszczyt, gdy ich prace były w niej zamieszczone. Prawie każdy czytelnik zdawał sobie sprawę z roli tego pisma na polskiej — i światowej — arenie politycznej.

Zmiany, których wynikiem jest obecna *Kultura*, nie nastąpiły nagle i nie były nieoczekiwane. Pierwszą przyczyną odmiany było stopniowe i naturalne odpadanie starszych współpracowników, już dawno nie tak młodych. To było do przewidzenia w publikacji wychodzącej od blisko pół wieku. Tu też trzeba wymienić drugi objaw, naturalny dla pisma *par excellence* emigracyjnego i figurującego na krajowych listach proskrypcyjnych — objaw powolnego wymierania czytelników, których — na odpowiednim dla pisma poziomie — nie ma znów tak wiele.

Jednak dominującą przyczyną ukształtowania się nowego oblicza był chyba upadek komunizmu, przypieczętowany w Europie przez Gorbaczowa. *Kultura* straciła swój dotychczasowy *spiritus movens* — zniknął z areny adwersarz, zwalczany konsekwentnie od tylu lat. Inną świeżej daty zmianą sytuacyjną było rozpowszechnianie jej wpływów na rynku krajowym i udostępnienie swobodnej współpracy dla obserwatorów w uwolnionej ojczyźnie. Nowa sytuacja — nie tylko redakcyjno-nakładowa, ale też jakościowa. Albowiem ten nowy czytelnik i nowy typ współpracownika — nazwijmy go nadwiślańskim — jest też inny niż dotychczasowi, zachodnioeuropejscy, amerykańscy i inni. Bo choć nasi rodacy w tzw. III Rzeczypospolitej chętnie i przy każdej okazji akcentują swą świeżo malowaną demokratyczność — są jednak dopiero, od prezydenta w dół, w stadium uczenia się propedeutyki zachodnich rządów parlamentarnych, czego dowodem są niedawne wybory do sejmiku. Nim ogół krajowy przejdzie nawet do poziomu małej matury (czytaj: dojrzałości) w tym przedmiocie — mogą potrwać długie miesiące lub lata. Może nawet potrzebne będzie całe pokolenie, nim demokratyzacja nadwiślańska zrozumie się w tej materii z kolegą z Tamizy.

Tymczasem *Kultura* obserwuje, subtelnie krytykuje, delikatnie poucza, ironizuje dydaktycznie — i redaguje pismo paralelne, i dla emigrantów i — przy pomocy lokalnych ekspertów — dla krajowej rzeszy czytelniczej. Dlatego jest inna niż dawniejsza.

Nie wiem, ilu jest tych nowych czytelników krajowych i ilu ich pozostało na emigracji. Wiem, że całkowity zanik tych ostatnich jest nieunikniony i nie tak daleki. Co postawi *Kulturę*

przed problemem: kontynuować w obecnej formie aż do odpadnięcia ogółu emigracyjnych odbiorców, lub już przedtem stopniowo przestawiać się na rynek krajowy i na reorganizację personalną — albowiem obecna Redakcja nie jest już taka młoda.

Żadna z alternatyw nie jest łatwa — lecz wygląda na to, że problem jest realny, nie teoretyczny; może nawet naglący. Nie ulega wątpliwości, że Redakcja zdaje sobie z tego sprawę i przypuszczalnie ma już opracowane plany.

Lipiec, 1992

Adam NASIELSKI

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOŻ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłozza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego” bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288

Cena F. 145,00

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego
w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128

Cena F. 70,00

KRAJ — BLOK WSCHODNI

20. 8. 92

Zmarła w Warszawie w wieku 72 lat Danuta Bienkowska, pisarka i tłumaczka. ■ Oo. Salezianie w Polsce wystąpili z wnioskiem o zgodę na uruchomienie ogólnopolskiej telewizji. Wniosek ten został poparty przez Episkopat. Kościół katolicki jest jedyną instytucją w Polsce, która ma prawo do uruchomienia stacji radiowych i telewizyjnych. Jak dotąd uzyskano zgodę na uruchomienie 17-tu stacji.

21. 8. 92

Andrzej Ananicz został mianowany podsekretarzem stanu w MSZ. Jednocześnie zostali odwołani ze stanowisk podsekretarzy stanu pp. Aleksander Krzemiński, Andrzej Kostarczyk i Jan Majewski.

5. 9. 92

Zmarł w Warszawie w wieku 87 lat Bohdan Korzeniewski, reżyser, kierownik literacki, profesor — dziekan wydziału reżyserii Warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, publicysta, redaktor *Teatru, Areny* oraz długoletni redaktor naczelny *Pamiętnika Teatralnego*.

7. 9. 92

W Galerii ZPAP na Mazowieckiej w Warszawie została otwarta wystawa rzeźby Emilie Benes Brzezińskiej, żony Zbigniewa Brzezińskiego.

8. 9. 92

Zmarł w Warszawie w wieku 78 lat Jerzy Albrecht, działacz partyjny PRL, b. minister finansów.

14. 9. 92

W Muzeum Niepodległości w Warszawie została otwarta wystawa „Inni wśród swoich” (fotografie z lat 1863-1991), zorganizowana przez IBL, Uniwersytet Jagielloński i Polskie Towarzystwo Historyczne. ■ W Łącznie miała miejsce międzynarodowa konferencja naukowa „Galicja i jej dziedzictwo”.

18. 9. 92

W Krakowie odbyła się sesja zorganizowana przez Uniwersytet Jagielloński i Polskie Towarzystwo Historyczne poświęcona problemom narodowościowym i etnicznym pt. „Integracja Europy Zachodniej — dezintegracja Europy Wschodniej”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

29. 5. 92

Fundacja architektoniczna w Brukseli przyznała europejską nagrodę architektoniczną Piotrowi Choynowskiemu z Oslo za rekonstrukcję historycznej dzielnicy Oslo. Nagroda ta jest przyznawana co pięć lat za projekty zrealizo-

wane, nawiązujące do europejskiej tradycji architektonicznej i urbanistycznej. Nagrody będą wręczane w październiku br. w Brukseli.

19. 8. 92

Zmarł w Oslo w wielu 84 lat Ivar Lunde, wielki przyjaciel Polaków, tłumacz na język norweski utworów Czesława Miłosza, Sł. Mrożka, Marka Nowakowskiego, Kunickiego i in. Ivar Lunde, którego matka była Polką, władał wieloma językami — w tym polskim. Był przed wojną ostatnim konsulem norweskim w Gdańsku. Po wojnie był ambasadorem norweskim w wielu stolicach i w ONZ.

10. 9. 92

W Instytucie Polskim w Paryżu dyrektor biura studiów międzynarodowych w Senacie RP, Jerzy Marek Nowakowski, wygłosił odczyt „Nouveau ordre politique en Europe Centrale et Orientale”. ■ Dyrektor Instytutu Polskiego w Paryżu, Bogusław Sonik, otrzymał od francuskiego ministra kultury Jacka Langa order „Sztuki i literatury”.

14. 9. 92

W Centre du Dialogue w Paryżu prof. Stanisław Grygiel wygłosił odczyt na temat: Jan Paweł II — 14 lat myślenia o człowieku. Ponadto 25 września ks. prof. Janusz Pasierb wygłosił odczyt „Kościół i elity twórcze w Polsce — wczoraj i dziś”, zaś 27 września zostanie odprawiona w kościele akademickim msza św. za śp. Stefana Kisielewskiego w pierwszą rocznicę Jego śmierci.

15. 9. 92

Prasa francuska podaje, że stowarzyszenie *Trans-Europe Entreprises* (TEE) organizuje w Warszawie, między 6 a 7 listopada br., spotkanie małych i średnich przedsiębiorstw francuskich i polskich. Spotkanie to ma ułatwić francuskiemu przedsiębiorstwu nawiązanie kontaktów z myślą o przyszłym partnerstwie z ich polskimi odpowiednikami z tych samych dziedzin (rolno-spożywczej, chemicznej i farmaceutycznej, budownictwa i ochrony środowiska). Telefon TEE: 48 01 76 76.

17. 9. 92

Zmarła w Chislehurst, Kent (W. Brytania) Stefania Mitkiewicz-Żółtek, wdowa po płk. dypl. Mitkiewicz-Żółtek, attaché wojskowym w Kownie i zastępcy Szefa Sztabu NW w czasie II wojny.

21. 9. 92

Staraniem Wspólnoty Polsko-Francuskiej z pomocą Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu odbył się Uniwersytet Letni. Zostały na nim wygłoszone następujące referaty: Julia Hartwig „Guillaume de Kostrowitzki, dit Appolinaire”, André du Couedic „Le baron Haussmann, créateur du Paris moderne”, Louis Leprince-Ringuet „Noces d'argent avec l'atome”, Olivier Mazerolle „La Pologne et les Pays de l'Est sont-ils assez attractifs pour l'Europe de l'Ouest?”, Jean Lacouture „Quelques Français et l'Europe”. Odbył się też *table ronde* uczestników Wspólnoty Polsko-Francuskiej, którzy brali udział w kongresie polonijnym w Krakowie 19 sierpnia br. ■ Staraniem Instytutu Polskiego w Paryżu w Maison des Ecrivains odbyło się spotkanie z Andrzejem Kuśniewiczem z wprowadzeniem Zofii Bobowicz.

25. 9. 92.

Prof. Jerzy Skowronek z Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego wygłosił odczyt zorganizowany przez Stowarzyszenie Polskie w Genewie pt. „Europa Środkowo-Wschodnia — dylematy przeszłości a model przyszłości”.

1. 10. 92

W ramach obchodów 50-lecia Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce odbyło się uroczyste spotkanie akademickie w Pierpoint Morgan Library w Nowym Jorku.

PODZIĘKOWANIE

Drodzy Przyjaciele!

Trzy lata temu czasopismo *Kontynent* niespodziewanie znalazło się w dramatycznej sytuacji materialnej, zagrażającej jego dalszemu istnieniu. Propaganda sowiecka i współdziałające z nią ośrodki zachodnie przedwcześnie triumfowały z powodu zwycięstwa nad jednym z najbardziej znieawidzonych organów antykomunistycznej prasy.

Redakcja i kolegium redakcyjne wspólnie i indywidualnie — w osobach takich swoich przyjaciół i autorów, jak Andrzej Sacharow, Josif Brodskij, Mstisław Rostropowicz, Milovan Džilas, Czesław Miłosz, Eugène Ionesco — zwróciły się wówczas do licznych europejskich i amerykańskich organizacji z prośbą o pomoc.

Pierwszy odezwał się Fundusz Bradley'a. Patrząc dziś na niedawną przeszłość, musimy otwarcie przyznać: *Kontynent* przetrwał ostatnie lata tylko dzięki Waszej wielkodusznej podporze. Zapewniamy Was, drodzy Przyjaciele, że nigdy tego nie zapomnimy.

Obecnie pismo wróciło do ojczyzny. Trudno przewidzieć, czy zdoła wyżyć w warunkach duchowego i ekonomicznego chaosu jaki panuje w byłym Związku Sowieckim, jeśli jednak mimo wszystko przetrwa, będzie w tym i Wasza nieoceniona zasługa.

Raz jeszcze serdecznie dziękujemy, drodzy Przyjaciele, i życzymy jak największych sukcesów w Waszej bezinteresownej i absolutnie niezbędnej działalności na rzecz demokracji i kultury w świecie.

Redakcja i kolegium redakcyjne *KONTYNETU*

Listy do Redakcji

Podkowa Leśna, 6 września 1992 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Do mojej wypowiedzi w ankiecie „Pisarze niedocenieni — pisarze przecenieni” (*Kultura* nr 7/8, lipiec-sierpień 1992) zakradły się błędy. Będę wdzięczny za ich sprostowanie.

I tak w akapicie poświęconym Wierzyńskiemu chodzi o „nadzwyczaj klarowną moralnie a politycznie dalekowzroczną wykładnię *militarno-dyplomatycznych* wydarzeń bieżących”, nie zaś o nadzwyczaj klarowną moralnie i politycznie dalekowzroczną wykładnię moralnie-dyplomatyczną bieżących wydarzeń — jak wydrukowano.

Z kolei w akapicie poświęconym powieściom użyłem zwrotu o rozmijaniu się „z przyciasną optyką”, a nie „z przyciszoną optyką”.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

Tomasz BUREK

Panie Profesorze,

W artykule Pańskim, zamieszczonym w 6 numerze *Kultury* z tego roku, a zatytułowanym „Polacy, Polonusy, Polusy” zaatakował Pan *Arkę* za sondaż pt. „Polowanie na intelektualistów” i nas, *Czas Kultury*, za skierowane m.in. do Pana — jako znawcy przedmiotu — pytanie o sarmatyzm w polskiej współczesności. Odpowiedź Pańską otrzymaliśmy i opublikowaliśmy w ostatnim, po części sarmatyzmowi poświęconym numerze, zatem zapewne dzięki egzemplarzowi autorskiemu poznał Pan już nieco nasze niesforne czasopismo i dostrzeżę, iż we wspomnianym artykule przypuścił Pan atak nie na nas, ale na wyimaginowanego wroga. Wytoczył Pan przeciwko niemu ciężkie armaty, zarzucił nieznajomość historii, zadufanie narodowo-katolickie, naiwny providencjonalizm i uleganie stereotypom, trafił go Pan wielokrotnie, rozniósł doszczętnie, tylko że tarcza była drewniana i w bigosie — w którym tekst Pański znajduje gatunkowy odpowiednik — zamiast mięsa nieokrzesanego zwierza mamy wióry i drzazgi z makiety.

Bigos na takiej podstawie zupełnie się nie udał i byłaby to przede wszystkim Pańska strata, gdyby nie to, że (zdanie nieczytelne — red.) skóry i mózgowej kory, skoro nawet Pan miesza prorocтва z błażenstwami i postępuje jakby sowidrzzał?

Panie Profesorze! Czy musiał się i Pan wpisywać w ten polski kraj-obraz podczas zaćmienia umysłów, który starał się Pan z pozycji niezależnej scharakteryzować?

Łącząc wyrazy szacunku w imieniu redakcji *Czasu Kultury*

Radostaw OKULICZ-KOZARYN

1. Pytanie brzmiało: Czy kultura polska będzie mogła odnaleźć odrębny charakter, jeżeli nie podejmie tradycji sarmackiej, jedynej w przeszłości oryginalnej polskiej formy kulturowej?
2. Ze względu na chude lata musieliśmy zmienić się w dwumiesięcznik.

Cne Młodziki,

wybaczyć poufały *incipit*, ale sami przedstawiacie się jako „młodzi duchem”, ja mam swe belferskie narowy, a do jakiego (sarmackiego!) utworu nawiązuję — zgadnijcie sami. List Wasz wymaga trzech objaśnień.

1. *Czasowi Kultury* poświęciłem jeden i tylko jeden akapit, w którym skrytykowałem sformułowanie ankietowego pytania za to, że zawierało już gotową odpowiedź. Na dobitkę — całkowicie niesłuszną. Na ten zarzut nie odpowiadacie, bo odpowiedzieć nie możecie. Jest bowiem słuszny.

2. Chcielibyście za to przechwycić całą resztę mych wywodów i odczytać jako atak na Wasze skądinąd sympatyczne i wcale nie tak niekonwencjonalne pismo. Czy nie przesada? Moje uwagi tyczyły Polaków (łącznie z Polusami i Polonusami), a Was nigdy nie traktowałem jako reprezentację tychże. Rozumiem, że korzystacie z okazji, aby sobie zafundować maluśką autoreklamę. Nic z tego. Nie o Was pisałem, lecz o wszystkich rodakach moich. Święta Megalomania nie módl się za nami! To samo dotyczy *Arki*; o niej w ogóle nie pisałem — pisałem o niektórych respondentach ankiety, w której także wziąłem udział. A jeszcze zapomnieliście o *Gazecie Wyborczej*, bo jej też nie „atakowałem”.

3. Polemika metaforyczna jest fajna, jeśli stosuje się metafory odkrywcze — wasze bigosy i tarcze pomysłowe nie są. Co gorsze: pisząc o drewnianych tarczach sądźcie, że mnie w ten sposób polemicznie unicestwiacie. Tymczasem wykazujecie podstawową nieznaną historii dawnej broni. Cytuję wg najlepszego u nas znawcy przedmiotu: Z. Żygułski jr. Broń w dawnej Polsce, Warszawa 1975, s. 109: „W ciągu wieku XIV rycerze nadal używali trójkątnej drewnianej tarczy obciążonej skórą, czasem pokrytej warstwą twardego stiuku (*gesso duro*), z reguły malowanej w znaki heraldyczne”. Przypomnieć tu chciałbym słynne słowa: *Disce puer latine, ego te faciam Mocium Panie* — a kto i do kogo je wypowiedział, ustalacie sami.

Reasumując: pomiędzy niekonwencjonalnością a arogancją rozciąga się obszar płaski i rozległy jak lechickie ziemie, obszar gier i zabaw trefionego umysłu. Pismo wydajecie ciekawe i wartościowe, więc życzę wam sukcesów, a moją reprimendę przyjmijcie nie jako „atak”, ale jako ekshortację, która wiele Mości Panom przydać się w przyszłości może.

Tadeusz CHRZANOWSKI

9 września 1992

Przygotowuję do druku antologię utworów literackich poświęconych tematyce katyńskiej w najszerszym tego słowa znaczeniu. Zamierzam włączyć do antologii teksty poetyckie, opowiadania, fragmenty powieści, eseje z literatury nie tylko polskiej, ale w tłumaczeniu także z amerykańskiej, angielskiej, białoruskiej, izraelskiej, niemieckiej, rosyjskiej, węgierskiej i włoskiej, tzn. z tych, w których dotychczas udało mi się odnaleźć stosowne materiały. Projektowana antologia poszerzy więc znacznie wydane ostatnio dwa tomiki poezji o tematyce katyńskiej, zamierzam bowiem włączyć do niej teksty znalezione przy zwłokach zamordowanych oficerów, teksty zbiorzone po czasopiśmie i wybrane z dzieł literackich. Dotychczasowe zbiory zawdzięczam przyjaznej pomocy wielu osób z wielu krajów, mam jednak nadzieję, że w odpowiedzi na ten komunikat odezwą się liczni respondenci, którym bliska jest idea zebrania pod jedną okładką utworów stanowiących trwałe pomniki wzniesiony dla uczczenia pamięci poległych w Rosji Sowieckiej. Wszystkie przesyłki potwierdzone zostaną z wdzięcznością i imiennie w tekście projektowanej antologii.

Będę wdzięczny za nadsyłanie materiałów i sugestii pod adresem

Prof. Jerzy R. Krzyżanowski
c/o Instytut Katyński
ul. Szujskiego 11 m. 3
31-123 Kraków

Warszawa, dn. 1992-07-27

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Powszechnie znane jest Pańskie zainteresowanie oraz stosunek do naszych wschodnich sąsiadów, zawsze oparty na wnikliwej i obiektywnej analizie skomplikowanych racji historycznych oraz świadomości licznych związków z nimi „uczuleń”. Wiemy także o wrażliwości Pana na losy znajdującego się tam dziedzictwa kulturalnego Polaków, która wyraziła się, między innymi, w licznych publikacjach kierowanego przez Pana Instytutu Literackiego. Dlatego też nie można pominąć milczeniem artykułu pióra Włodzimierza Odojewskiego „Co robi pewien urząd?” zawartego w numerze 4/535 (wydanie krajowe) *Kultury*, w którym zawarte są poważne nieścisłości oraz podane informacje zupełnie nie odpowiadające prawdzie. Mając zatem na względzie także polską opinię publiczną oraz autorytet miesięcznika, proszę o zamieszczenie na jego łamach niniejszego sprostowania.

Wbrew twierdzeniom autora artykułu urząd pełnomocnika rządu do spraw polskiego dziedzictwa kulturalnego za granicą nie rezygnuje bynajmniej z odzyskania dóbr kultury wywiezionych do Rosji, w tym w szczególności przez wojska sowieckie w czasie drugiej wojny światowej. Zasadnicze negocjacje w tej sprawie przeprowadził osobiście w Moskwie pełnomocnik z początkiem tego roku i zakończyły się one uzyskaniem stosownego zapisu o ich zwrocie w polsko-rosyjskiej deklaracji o współpracy kulturalnej i naukowej. Problematyką tą obecny pełnomocnik dr hab. Wojciech Kowalski zajął się na długo przed utworzeniem obecnego urzędu, pracując wówczas jako

adiunkt w Katedrze Prawa Międzynarodowego Publicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Zgromadzona w tym czasie dokumentacja strat wojennych kultury polskiej oraz mechanizmu grabieży i zasad restytucji jest dzisiaj podstawą działalności kierowanego przezeń biura i powoduje, między innymi, że obecne prace nie muszą być zaczynane od początku. Jako prawnik, dr hab. Wojciech Kowalski zawsze prawidłowo kwalifikował działalność różnych państw wobec naszej kultury, czego dowodem są Jego publikacje, jak choćby wspomniane przez W. Odojewskiego artykuły publikowane w prasie emigracyjnej. W jednym z nich, zatytułowanym „Tropami utraconych dzieł sztuki” (*Dziennik Polski*, Londyn, 1. II. 1991) tak oto pisał: (...) „Na stosunki w omawianym zakresie z ZSRR składają się kwestie wynikające z niepełnego wykonania Traktatu Ryskiego, wywiezienia przez Armię Czerwoną z Niemiec pewnej ilości dzieł sztuki pochodzenia polskiego, które znalazły się tam w wyniku rabunków niemieckich w Polsce oraz wywiezienia pokazanych zbiorów ze Śląska i Pomorza, a w sporadycznych przypadkach również i z Polski centralnej. Nie zapominamy także, iż istotną część wytworzonego przez nasz naród dorobku kulturalnego pozostała na dawnych rubieżach wschodnich Rzeczypospolitej po zmianie granic”.

Wszystkie zarysowane wówczas problemy znajdują się obecnie w polu zainteresowania pełnomocnika i prowadzi on stosowne działania w celu ich odpowiedniego załatwienia.

Podstawą wszelkich roszczeń restytucyjnych zawsze była i być musi nadal odpowiednia dokumentacja strat. Przez wiele lat po wojnie inwentaryzowano utracone dzieła sztuki, na przykład we Włoszech a dzisiaj najbardziej zaawansowane są w tych pracach Niemcy. Aktualnie intensywnie gromadzą materiały o stratach dwie specjalistyczne placówki w Berlinie (jedna utworzona rok temu podlega niemieckiemu ministerstwu spraw wewnętrznych), a w Bremie organizuje się trzecia. W Polsce prace nad inwentaryzacją strat wojennych kultury zamknięto definitywnie w 1950 roku i potem w sposób zorganizowany już nie kontynuowano. Można więc powiedzieć, że wobec potrzeb zmienionej sytuacji politycznej jesteśmy bardzo opóźnieni. Dlatego też jednym z głównych zadań urzędu pełnomocnika jest możliwe rychłe przygotowanie katalogu straconych dóbr kultury — oczywiście tych, które mogą być na Zachodzie, jak i na Wschodzie. Katalogi opublikowane na przełomie lat 1940-tych i 50-tych są już przecież mocno zdezaktualizowane.

Opracowanie zatem możliwie pełnego wykazu tych strat, który będzie owocem współpracy setek naszych muzeów, bibliotek, kościołów i innych organizacji i instytucji nie może być ocenione — jak chce W. Odojewski — jako dublowanie wcześniejszych prac innych placówek, czy też marnowanie pieniędzy podatnika, lecz należy się ze względów oczywistych polskiej kulturze i nauce. Publikacja tego rodzaju będzie także miała zasadnicze znaczenie praktyczne. Ostrożnie przewiduję, że już wkrótce o takich praktycznych wynikach będzie można poinformować opinię publiczną.

Wbrew twierdzeniu W. Odojewskiego, w ostatnich latach były ZSSR ani obecna Rosja nie zwróciły do Niemiec żadnych zbiorów sztuki ani książek mimo, że traktat między tymi krajami przewidujący taki zwrot podpisany został znacznie wcześniej niż z Polską. Tym bardziej nie mogły być Niemcom przekazane przez Rosję jakiegokolwiek polskie książki. Problem ten uchodzi zresztą w Niemczech za jeden z trudniejszych do rozwiązania. Wspomniane przez tegoż Autora wielkopolskie tablice brązowe znalazły się nie w Moskwie, a w magazynach Ermitażu. Trafiły tam w wyniku wywozu z Niemiec, gdyż z Poznania zrabowane zostały wcześniej przez hitlerowców. Powrót ich na swoje pradawne miejsce nie miał nic wspólnego — jak to

twierdzi W. Odojewski — z wizytą generała Jaruzelskiego w ZSSR. Na czele delegacji ekspertów, którzy identyfikowali tablice w ówczesnym Leninogradzie w połowie 1990 roku i negocjowali zasady zwrotu do Polski stał natomiast obecny pełnomocnik rządu.

Jeden ze wspomnianych już tekstów W. Kowalskiego, „Trudne powroty naszych zabytków” opublikowany w *Tygodniu Polskim* w Londynie (23.03.91) jest szczególnie relacją o tym szczęśliwym zdarzeniu.

Na zakończenie pozwolę sobie wyrazić żal, że doszło do publikacji artykułu, którego ton i tak nieścista warstwa informacyjna podważa zaufanie opinii publicznej do urzędu pełnomocnika podczas gdy ochrona dobra wspólnego, jakim jest polskie dziedzictwo kultury wymaga wspólnego wysiłku wszystkich Polaków — tych w Polsce, jak i żyjących na emigracji. Nie wyobrażamy sobie przecież naszej pracy bez jak najszerzej pomocy społeczeństwa. Informacji o pracach pełnomocnika i zabiegom o pomoc w zdobywaniu wiadomości o stratach wojennych służą coraz częstsze wystąpienia publiczne pełnomocnika w telewizji, radiu i na łamach prasy. Liczę, że Pański i poczytny i opiniotwórczy miesięcznik również się do rozwoju takiej współpracy dla naszej kultury przyczyni.

Aleksander MANN
Rzecznik prasowy
Radca Ministra

Madryt, sierpień 1992

Szanowny Panie Redaktorze

Od kilkudziesięciu lat prenumeruję *Kulturę*, dlatego też czuję się zobowiązany, aby przestać Panu Redaktorowi moje uwagi w związku z wypowiedzią na temat telekomunikacji w Polsce zamieszczoną w czerwcowym wydaniu *Kultury* w dziale „Polemiki”, mimo, że ten tekst nie spełnia warunków, aby z nim polemizować.

Pokrótce tylko streszczę moje uwagi:

1. Zaskoczyło mnie to, że *Kultura* drukuje tego rodzaju wypowiedzi, które do pewnego stopnia odzwierciedlają konkurencyjną walkę na polskim rynku telekomunikacyjnym, oraz popiera pewne firmy potępiając inne. Do tego rodzaju akcji *Kultura* nie powinna się przylączać.

2. Jeżeli chodzi o rozwój telekomunikacji w ostatnich dwóch latach w porównaniu z poprzednim okresem, to można zasięgnąć opinii niezależnej od firm produkcyjnych, na zasadnicze tematy takie jak:

- Roczna ilość numerów dodanych do sieci abonenckiej.
- Wzrost usług na komunikację międzynarodową.
- Rozwój usług dla firm zagranicznych i krajowych, które powstają w Polsce.

— Projekty obecnie w realizacji i plany na przyszłe lata.

Dziękując za zamieszczenie tego listu w *Kulturze*, pozostaję z poważaniem.

Stanisław SERDAKOWSKI

Warszawa, 8. IX. 1992

Wielce Szanowny Panie Redaktorze

Odpowiadam na list pana St. Serdakowskiego:

1. Tekst mój istotnie odzwierciedla walkę na polskim rynku telekomunikacyjnym, tyle tylko, że nie jest to walka konkurencyjna, bowiem nie wszyscy partnerzy mają jednakowe szanse, co — wydaje mi się — przedstawiłem jasno.

2. Znane mi opracowania na temat rozwoju telekomunikacji polskiej w ostatnich dwóch latach (takie m. innymi jak: raporty Banku Światowego z 10 kwietnia i 24 września 1991 roku, raport Najwyższej Izby Kontroli z dnia 8 sierpnia 1991 roku, stanowiska Biura Interwencji i Kancelarii Senatu RP z kwietnia 1991 roku i 9 stycznia 1992 roku, słowo w sprawie polityki telekomunikacyjnej Katolickiego Stowarzyszenia Społeczno-Gospodarczego Diecezji Warmińskiej z grudnia 1991 roku) uwzględniające wymienione przez pana Serdakowskiego parametry są niemal równie krytyczne, a sugestie w nich poczynione lekceważone przez kolejne rządy RP. To, co się działo w polskiej telekomunikacji, opisałem szczegółowo w pracy pt. „Książka telefoniczna” (wyd. ONA, W-wa 1991) a obecnie przygotowuję na ten temat rozprawę doktorską.

Tego, że nie jestem w związku z jakąkolwiek firmą produkcyjną udowodnić nie będę. Nie jestem też wielbłądem.

Łączę wyrazy szacunku

Andrzej KOWALCZYK

Warszawa 1992.09.10.

Jerzy Giedroyc
Redaktor Naczelny
Kultury Paryskiej

Adw. Marcjanna Rejman
indywidualna kancelaria adwokacka
00-953 Warszawa, ul. Gałczyńskiego 4
skr. poczt. 23
pełnomocnik Macieja Zalewskiego
zam. Warszawa, ul. Modzelewskiego 8 m. 29

W związku z artykułem „Historia w biegu” Krzysztofa Wolickiego zamieszczonym w numerze 7/8 z 1992 *Kultury*, na zasadzie art. 31 i 32 prawa prasowego (Dz. U. 5/84 poz. 24) proszę o opublikowanie następującego sprostowania:

Ponieważ ukazują się w prasie nieprawdziwe informacje dotyczące kontaktów p. Macieja Zalewskiego z przedstawicielami spółki Art-B, a w szczególności w związku z nieprawdziwym pomówieniem jakoby Maciej Zalewski uprzedził B. Bagsika i Andrzeja Gąsiorowskiego o mającym nastąpić aresztowaniu został złożony pozew do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, I Wydział Cywilny o ochronę dóbr osobistych (sygn. akt I C 1296/92). O skierowaniu sprawy do sądu p. Maciej Zalewski wielokrotnie mówił m.in. w Telewizji, a także w prasie w artykule „Polityk i pieniądze” — *Gazeta Wy-*

borcza nr 167 z dn. 17 VII 92 r., „Zderzak — rozmowa z posłem Maciejem Zalewskim” — *Ekspres Wieczorny* nr 139 z dn. 18, 19, 20 VII 92 r., „Art-B — nowe wątki. Nie potwierdzają się zarzuty Gąsiorowskiego i Bagsika wysuwane wobec Macieja Zalewskiego” — *Życie Warszawy* z dn. 24 VII 92 r.

Ponieważ wypowiedź redaktora Krzysztofa Wolickiego w części dotyczącej osoby Macieja Zalewskiego jest nieprawdziwa i narusza jego dobra osobiste, żądanie sprostowania jest całkowicie uzasadnione (art. 31 prawa prasowego).

Marcjanna REJMAN
Adwokat

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

J.R., Polska — Pana szkic o Wojciechu Bąku jest bardzo interesujący. Prawdopodobnie wydrukujemy.

J.S.-K., Polska — Przeszkodą w druku fragmentów powieści „Pręgieryz” nie jest Pana deklarowany „libertynizm”, lecz prosty fakt, że te wyrwane z kontekstu rozdziały są zanadto zawieszane w próżni. O wydaniu całej powieści nie ma mowy.

A.S., Polska — O krakowskiej sesji poświęconej Schulzowi należałoby napisać łącznie ze sprawozdaniem z sesji lubelskiej (Lublin-Lwów-Drohobycz). Sprawozdanie musiałyby być bardzo zwięzłe.

A.J.A., USA; A.G., Polska — Z wierszy nie skorzystamy.

Z.M., Czechosłowacja — Pana wiersz „Droga na Północ” zapewne wydrukujemy.

A.R., Francja — Pana nota o nauczaniu architektury jest chyba zbyt ogólnikowa.

H.J., Kanada — Nie drukujemy tego rodzaju komunikatów.

T.P., Polska — Bardzo charakterystyczne są Pana przygody wydawniczo-teatralne.

WOLNA TRYBUNA

Adam Nasielski:	<i>Nowe oblicze „Kultury”</i>	147
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	150
Redakcja „Kontynentu”:	<i>Podziękowanie</i>	152
T. Burek, R. Okulicz-Kozaryn, T. Chrzanowski, J.R. Krzyżanowski, A. Mann, St. Serdakowski, A. Ko-walczyk, M. Rejman:	<i>Listy do Redakcji</i>	153
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^e trimestre 1992.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.

42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France

N° d'imprimeur 706-1992

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna roczna

Ceny na rok 1992

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$A. 12,00	\$A. 70,00	\$A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	F1h 20,00	F1h 100,00	F1h 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 12,00	\$ can. 65,00	\$ can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstrasse 39/41, Postfach 3401 08, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgratan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: Alma Shipping Co., Inc., Christina Szala 9 East 48th Str., Bayonne, N.J. 07002; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 10,00	\$ US 55,00	\$ US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk



Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertz, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00



TOM 475 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO PIERWSZY

zawiera prace: Tomasz Kizny: *Martwa Droga*; Z.S. Siemaszko: *Problemy podziemia pod okupacją sowiecką (1939-1941)*; Tadeusz Wyrwa: *Stosunki rządu generała Sikorskiego z rządem Pétaina*; Hanna Świdorska: *Z dziejów polskiej prasy opozycyjnej w Londynie 1941-45*; Władysław Kijuć: *Rzeczywistość i mity polskolitewskie*; Andrzej M. Kobos (opr.): *Gen. Fieldorf „Nil” (wspomnienia żony)*; Rudolf M. Falkowski: *Polacy w Armii Czerwonej (1940-1945)*; Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia (dok.)*; Teresa Torańska: *Rozmowa z Wiktorem Kulerskim; Mowa króla JMCI Jana Kazimierza ostatnia przy abdykacji*; Władysław Bartoszewski: *Mowa dziękczynna po otrzymaniu obywatelstwa honorowego Izraela* oraz DZIAŁY: d.c. OKRUCHÓW HISTORII, RECENZJE I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 50 F